



złp

1920 - 2020

LITERAT KRAKOWSKI

Pismo Krakowskiego Oddziału
Związku Literatów Polskich

Nr 13/2020

ISSN 1689-8990



LITERAT KRAKOWSKI

Nr 13/2020

LITERAT KRAKOWSKI

Nr 13/2020

Kraków 2020

© Copyright by
Krakowski Oddział ZLP & Autorzy



BIBLIOTEKA KRAKOWSKIEGO ODDZIAŁU ZLP, 26

Redaguje zespół w składzie:

Danuta Sułkowska
Anna Pituch-Noworolska
Danuta Perier-Berska
Leszek Konarski

Fotografie Krakowa:

Na okładce i stronie tytułowej – Anna Pituch-Noworolska
Wewnątrz czasopisma (str. 6, 56, 76, 120, 140, 149) – Andrzej Walter

Projekt okładki, projekt typograficzny i skład:

Danuta Sułkowska

Wydawca:

Krakowski Oddział Związku Literatów Polskich
www.zlp-krakow.pl

ISSN 1689-8990

Druk:

Drukarnia Towarzystwa Słowaków w Polsce
ul. św. Filipa 7, 31-150 Kraków
www.tsp.org.pl

ROZWAŻANIA O LITERATURZE

Każdy czytelnik, który postanawia wziąć do ręki powieść, wybiera lustrzane odbicie rzeczywistości zgodnie z własnymi upodobaniami”.

Orhan Pamuk

W jesienne popołudnie, gdy mgła i deszcz odbierają chęci do spacerów, sięgamy po książki. Jesteśmy twórcami, ale i odbiorcami. Pisząc o twórcach i odbiorcach, Orhan Pamuk dzieli ich na naiwnych i refleksyjnych. Naiwny to ten, który po przeczytaniu powieści, na spotkaniu pyta autora, czy to wszystko przeżył, czy to prawda. Ten refleksyjny próbuje oddzielić w powieści to, co jest lub było prawdą, od tego co autor stworzył z własnej wyobraźni, choć tworząc zazwyczaj odnosimy się, nawet podświadomie do własnych przeżyć i doświadczeń.

Wracając do książki, po którą sięgnęliśmy w jesienne popołudnie, spróbujmy spojrzeć na siebie samych jak na czytelników.

Czy powieść, którą wzięliśmy do ręki to lekka opowieść o losach ludzi bez wielkich dramatów z opisami podróży, codziennego życia, (np. Francis Mayes – Pod słońcem Toskanii) stanowiąca wspaniały dodatek do pachnącej kawy i szarlotki.

A jeśli to powieści sensacyjne, szpiegowskie (np. Ken Follet – Igła, Frederick Forsyth – Pieśń boga, Dzień szakala) to czy to oznacza, że czytelnik jest człowiekiem spokojnym, wiodącym ustabilizowany tryb życia i brakuje mu odrobiny ekscytacji, niezwykłych zdarzeń i tajemnicy.

Co w takiej sytuacji powiedzieć o czytelnikach powieści historycznych (Ken Follet – Niech stanie się światłość, Filary ziemi, Umberto Eco – Imię róży, Cmentarz w Pradze, Ildefonso Falcones – Katedra w Barcelonie), w których znaczną część stanowią sytuacje, ludzie i realia wymyślone przez autora choć oparte o dane historyczne. Istnieje wiele możliwych podziałów pisarzy i czytelników, ale dla mnie ciekawy jest podział na tych, którzy poszukują powieści o szybkiej, wartkiej akcji, o zdarzeniach nieistniejących (fantasy i science-fiction) i takich którzy czytają, smakując słowa, a ich ulubionym gatunkiem są powieści „niespieszne” (Virginia Woolf – Pani Dalloway, Thomas Mann – Buddenbrookowie, Albert Camus – Upadek, Obcy, Gabriel Garcia Marques – Sto lat samotności). Kiedyś wysunięto taką hipotezę, że dobór literatury jest uzupełnieniem potrzeb intelektualnych danego czytelnika, a więc po książki akcji sięgnie człowiek prowadzący usystematyzowany, by nie powiedzieć nudny tryb życia, a po powieści biograficzne, wielotomowe sagi, człowiek, któremu spokoju brakuje. Czy tak jest w rzeczywistości, wie ten, kto czyta, bo wie, dlaczego sięga po taką, a nie inną powieść, dlaczego lubi tego, a nie innego autora.

Jako twórcy czytamy zwracając uwagę jeszcze na inny aspekt czytanych powieści – warsztat autora, umiejętność prowadzenia akcji, opisu postaci i ich psychologicznych portretów, umiejscowienie tzw. punktu centralnego powieści. Nawet nie zdając sobie z tego sprawy, często czerpiemy wzory z twórczości ulubionych autorów. A jeśli powieść nas wciągnie, urzeknie swoją urodą, nie brońmy się przed ucieczką od rzeczywistości w świat stworzony przez autora. Przecież tworzył go dla nas, tak jak i my tworzymy dla naszych czytelników.

Anna Pituch-Noworolska



ANDRZEJ MARIA HRABIEC

TAJEMNICE KAMIENICY



Fragmenty scenariusza na jednego już nieistniejącego dzieciaka, który nie zdążył odkryć wszystkich tajemnic, ale nadal się stara.

Wybrane kadry

Kadr nr 2.

Smuga światła wpadająca przez wysoko umieszczone okno do sutereny pachnącej czystości i dobroci. Smuga jest dziwnie materialna, mieszają się w niej drobiny kurzu, dym z papierosa, ze słonecznym promieniem. Krąg światła wydobywa z półmroku blat biurka i klucz od szuflady, po przekręceniu, którego odsłaniają się ukryte tajemne przedmioty. Ich nieznana funkcja i wzbraniana dostępność jedynie wzmacnia zaciekawienie, pożądanie dotknięcia historii zmaterializowanej didaskalią prostych czynności, które już przeminęły. Ich faktura, wyszukana forma wierci w głowie, rozbudza wyobraźnię, wymusza kolejną serię pytań. Odpowiedzi na te pytania stanowić mają kompendium wiedzy o rodzinnym ja.

Na biurku, rozrzucone w pozornym bezładzie, leżą części starego, właśnie naprawianego zegara z ubitym porcelanowym cyferblatem, na którym labędzie goniły parę chowającą się za krzew magnolii kwitnącej. Zapach terpentyny nanoszonej przez dziadka piórkiem, zgubionym przez białego gołębia uciekającego ze studni podwórka, na zębatki mega skomplikowanych mechanizmów. Papieros czyni salto w tył na deski podłogi, okulary lec w ich ślad, by zarechotać turlającym się szkiełkiem. A, dziadzio niepostrzeżenie wsunął spory kęs czasu do kieszeni kamizelki, by móc rozpocząć kolejną lekcję z musztry słów układanych w równe szeregi dat.

Zamian za chwilę ciszy, smak „Danusi” w nagrodę za chwilę milczenia za zjedzenie zasmażki, gdyż przecież byłem kimś naprawdę ważnym, ofiarowywana codzienna porcja opowieści wciaga. Codzienne grzeczności, wsłuchanie, zastępujące poznanie historii własnej na dłoni.

Kadr nr 3.

Skrzypienie, ciemność, tajemniczy strach, wychylające się z mroku uspokajające dłonie pachnące mlekiem i mydlinami, spracowane, acz delikatne, nie tylko gestem pełnym dobroci i poświęcenia, lecz przez swą gładkość dotyku zabijając obawy i usypiając słodko, w oczekiwaniu jajeczka na śniadanie, bo to zdrowo, gdyby nie skaza.

Pomimo choinki ze słodkimi ozdobami na kredensie, poświęconego koszyczka z kolorowymi jajami na stole, zapachu makowca i pieczonego karpia, tak podniecającego

zmysły. Wysmarowany kaszką dopiąłem muchę pod szyj, poprawiłem trzyczęściowy garnitur, wygładziłem kantki na spodniach i ruszyłem przez świat, od szafy po kredens i z powrotem.

Kadr nr 4.

Kiedy wchodziło się do dziadków długi korytarz prowadzący do kuchni podzielony był zasłonką, za którą znajdowała się spiżarnia i wcale nie najważniejsze były półki z woreczkami mąki, cukru w zapasie na miesiące (na wszelki wypadek), niewielka ciemno zielona skrzynia, nigdy nieotwierana, czy kryształowe lustro stanowiące babcine wiano, ale rzeźba przedstawiająca dziewczynę i to dziewczynę całkowicie nagą! Jej nagość zwykle przykryta była szarym dziurawym fartuchem (tak dla przyzwoitości), spod którego wystawała głowa i ramiona, a na jednej dłoni przysiadł na chwilę gipsowy motyl. Obecność tej rzeźby wymuszała konieczność niepostrzeżonego zaglądania, sprawdzania czy tam jest i czy motyl nie odleciał. Jej wypukłości kształtów wzbudzały pierwsze pożądanias i świadomość różnicy tektoniki budowy człowieka. Babcina opowieść dotycząca tej rzeźby mówiła o córce dentysty, która pozowała do kuszącego przedstawienia, o złotych zębach wstawionych rodzinie rzeźbiarki, w zamian za konterfekt. Nie potrafiła tylko nigdy wyjaśnić, kto te zęby im wybił i gdzie podziela się ta młoda dziewczyna?

Kadr nr 5.

Uczepiony babcinej spódnicy, w towarzystwie „Muszki” (wiernego, czarnego kundelka – artystki, co błędem jest pisanie przez małe „a”, gdyż była ona Artystką teatralną, w teatrze nie całkiem „Bagatelny”, w którym miała swą gaź, miejsce w autobusie i opiekunkę, a na przedstawieniach nie tylko machała ogonkiem, ale dawała nawet głos w odpowiednim miejscu, co wywoływało owacje na stojąco, szczególnie publiki w moim wieku) oraz kurki, (która uratowała swe życie znosząc „jajeczko” w drodze, między Kleparzem, a garnkiem) zwiedzałem zaczarowane krainy mrocznych pomieszczeń ogromnej kamienicy.

Wyprawa do „pralni” po soczek lub powidła, niosła ona za sobą możliwość zajrzenia za przegrodzenie z długich, nie całkiem pionowo ustawionych desek, gdzie znajdowała się graciarnia rzeczy wielkich i cennych, a których nie powinien oglądać współczesny świat. To tu umieszczony był parawan z bambusowych ram wypełnionych zetlałym jedwabiem w fascynujące esy-floresy, pod stert skrzyń i pudeł kryła się największa tajemnica, która przetrwała wszelkie wojny. Była tam szabla dziadka i kawaleryjski karabin (bez magazynka), którego zardzewiała lufa lekko wystawa z napisem „Tęcza” – atrament antracenowy, wyrób krajowy” (cóż to za tajemnica, która wystaje?). Pełno tam było przedmiotów, których przeznaczenia nie mogłem zrozumieć, jak wielkiej szklanej bańki z metalowymi walcami w środku i gwintem, jak w zwykłej małej żarówce, lecz prawie tak dużej, jak ja. Wyprawy te argumentowane były chęcią pomocy w wyciąganiu z półek (tych niższych, by babcia nie musiała się schylać) konkretnych zaczarowanych „witaminek” zakłetych w butelki, słoiczki, a każda była z celofankiem

i karteczką, na której ołówkiem kopiowym zapisano datę powstania, produkt przetworzony oraz metodę, dzięki której w zimowe wieczory można było zająć się, napychać się, wyżerać słoneczne poziomki i inne delikatesy. Ceremonia wybierania związana z układaniem domowego menu w babcinej głowie musiała trwać, długie szeregi i rzędy szyjek z korkami, wieczek metalowych zakrętek błyszczały w świetle słabej żarówki, czasem latarki, której snop światła kolejno, systematycznie odkrywał ich zawartość – dżemów, soków, galaretek o mocnych jednoznacznych kolorach. Te chwile wahania pozwalały na zgłębienie się w tajemniczym wnętrzu za przepierzeniem, oświetlonym jedynie pasemkami światła wpadającymi przez szpary w deskach.

Kadr nr 6.

Zbliżające się święta poprzedzało zawsze generalne szorowanie dodatkowych, drewnianych klatek schodowych w oficynach. Była to okazja do zwiedzania poddasza, strychu i tajemniczych pomieszczeń „kucki” (kapitałnej zabawy), która zawsze kończyła się awanturą, ale było warto! Rozpoczynało się od alpinistycznego wyczynu dużej miary, trzeba było wziąć ze sobą wiadra, gorącą wodę, liny, raki i ciepłe ubranie (nigdy nie wiadomo, jak pogodę zastanie się tam w górze) wałówka też była wielce pożądana.

Lewa klatka prowadziła skrzypiącymi schodami, obok dodatkowych wejść do mieszkań do drugiej pralni, która od zewnątrz (kiedy zadarło się głowę na podwórku) przypominała wielką gablotę – akwarium i do kucki – pomieszczenia, którego przeznaczenia wtedy nie mogłem zrozumieć. Kucka, do której wchodziło się niezwykle rzadko (głównie na moje żądanie) posiadała dziwne urządzenie pozwalające na uniesienie fragmentu dachu, na ścianach ślady po przedwojennych właścicielach rodzinie Lauterbachów przebijały się przez późniejsze przemalówki. Ślady te stanowiły kolejną niewyjaśnioną tajemnicę, która jedynie pogłębiała się przy próbach wyjaśnienia i opowieściach dziadka o płaczkach, modłach pod gołym niebem i tłumaczeniach, co to jest gwiazda Syjonu.

Prawa klatka (nie wiem czemu o wiele mniej skrzypiąca i raczej w dur) kończyła się metalowymi odrzwiami strychu, na którym zawsze pełno było gołębi i starych mebli. To tu trzeba było niezłego wysiłku, by przekraczać kolejne tramy, nie dało się przebiec go jednym szusem, po pokonaniu wszystkich grzbietów, żlebów, przeszkód związanych z fascynacją sankami, ławeczkami i gniazdami pełnymi piskląt, po osiągnięciu szczytu docierało się do maszynowni windy, którą nie wolno było mi jeździć. Wielkie koło, które nigdy nie wiadomo, kiedy wprawiało się w ruch z łomotem i wysiłkiem nawijało linę ciągnącą secesyjną kabinę windy, z dwoma parami drzwi o kryształowych szybkach i złotymi klamkami.

Kiedy rozpoczynało się szorowanie, woda w kolorze bieli spływała kaskadami po ciemno szarych schodach. Wtedy zaczynała się cała frajda kierowaniem palcem strumienia wody w te miejsca, gdzie jeszcze nie dotarła lub tworzenia kałuż, jezior lub wodospadów. Zabawa ta miała fatalny skutek dla ubrania, które nasiąkało wodą z mydlinami, czasem już mocno przybrudzoną, ale przecież niczym nie różniło się to od

prania – czy mycia w balii. Nie mogłem nigdy zrozumieć tych wrzasków, które następowały, kiedy docierałem na sam dół z kolejną strugą mydlin. Przecież ja starałem się tylko pomóc.

Pod schodami znajdował się schowek, bez światła, w którym nie można się było wyprostować (będąc dorosłym oczywiście, po co oni tak rosną). Tutaj zachowane zostały „szpargały” innego typu, bardziej cenne hołubione, choć zapomniane. To tu przeczytać, o ile ktoś już to umiał, było można ostatnie wiadomości sprzed wojny, z pogrzebu Wodza, przemieszane z ogłoszeniami o tym, że kupię, że sprzedam, lub poszukuję zaginionego. Znajdowały się tu obrazy, portrety w ramach ozdobnych, przysypane kurzem czasu i niepomietania, o twarzach poważnych i dziwnie podobnych.

Po drodze do piwnicy mijało się mieszkanie Resi, która była dziwną personą tolerowaną przez babcię i nielubianą przez dziadka, ze względu na jej przyzwyczajenia, znoszenia do kamienicy worów z różnościami. Nie mogłem tego zrozumieć, przecież nie ma nic ciekawszego niż szperać w różnościach, zaś dziadek z założonymi do tyłu rękoma zwykle na nią „forykował”, że znowu naznosiła „gratów”, a on będzie musiał dopilnować, by wszystko wynieśli śmieciarze, czyniąc kredą znaki na framudze bramy do podwórca, o ilość których będzie się z nimi kłócić. Nie to jednak było istotą wędrówki do piwnicy, tylko możliwość zajrzenia czasem do jej mieszkania i otwieranie wielkim kluczem stalowych podwoi, z obco brzmiącym napisem „Luftschutzraum” wymalowanym na czerwono. Za drzwiami kryły się korytarze, komórki, sterty drewna, starych kaffi, Boże! Ile wspaniałych możliwości brudzenia się i poznawania świata.

Kadr nr 8.

Zbliżały się dziewięćdziesiąte urodziny babci, życzenia stu lat wydawały się nie na miejscu. Przygotowania do imprezy były w pełnym toku, przyszedłem sprawdzić stan ich zaawansowania, może w czymś pomóc? Babcia podążyła niegdysiejszą moją drogą, ręce jej fruwały wykonując nieskończenie wiele czynności w tej samej chwili, cała jest wściekła, zdenerwowana. W tym biegu wokół kuchennego stołu rzuca w powietrze *Dzień dobry*, zamiast normalnego *Witam Kochanie!* Co się dzieje? Czyżbym czymś się naraził? Czyżbym o czymś zapomniał? Rachunek sumienia następuje błyskawicznie. Problem (!) Żadnych grzechów więcej nie pamiętam. Prosząc o rozgrzeszenie.

– *Czemu Babciu dzisiaj brak codziennego uśmiechu?*

– *Bo nie mogę wytrzymać z T dziewczyn od mycia okien. Ja w jej wieku wszystkie okna myłam w godzinę, zimną wodą, a tu dla niej wodę trzeba podgrzewać, śniadanie pierwsze robić, drugie robić i jeszcze nie skończone! Kochanie, mam tego dość!*

Ulga, to nie ja. Zastanowiło mnie jednak to szuranie za drzwiami, odgłosy krzątania odbywającej się całkiem rześko.

– *Babciu, a ile lat ma ta Twoja dziewczyna od mycia okien?*

– *Nie wiesz? Przecież to Zezowata, spod trójki. Dokładnie nie pamiętam, ale chyba gdzieś koło osiemdziesięciu pięciu – sześciu lat. Tak, gdzieś tyle.*

Nie miałem więcej pytań w tym dniu.

Kadr nr 10.

Z obrazu patrzyły na mnie poważne oczy kobiety podobnej do babci, może trochę bardziej pełnej na twarzy, może trochę bardziej srogiej, może groźnej lub smutnej, nie raczej poważnej i przejętej rolą, którą musiała spełnić pozując do zdjęcia. Zdjęcia, które w czasach kiedy było robione sto lat temu, nie było czymś zwyczajnym, czymś co robi się na każdym rogu ulic, czekając na gotowe trzy minuty w czterech egzemplarzach za równowartość dziesięciu biletów tramwajowych. W czasach, o których mowa, kiedy wykonano zdjęcie, które przedstawiało damę, mieszkankę patrzącą teraz na mnie, decyzja o pójściu do zakładu fotograficznego było rodzajem święta, uroczystości, na którą specjalnie przygotowywano się przez dłuższy czas, na który czekano i wyjście oraz odbycie sesji zdjęciowej pamiętano, czasem do końca życia.

Wracając do damy, której wzrok tak mnie przyciągnął, była ona w rozkwicie wieku, z włosami spiętymi wysoko, niczym czarna lawa wypływająca spod bogatego czepca ozdobionego kwiatami i piórkami. Ubrana była dostojnie, w białą płócienną bluzkę z koronkowym kołnierzykiem i gorsetem wykończonym wstążkami i kokardą pod szyją. Dama była tajemnicza z półśmiechem i nigdy nie dowiedziałem się, kim była. Pewne jest, że w kamienicy lub po sąsiedztwu znajdował się jeden z pierwszych koncesjonowanych zakładów fotograficznych, gdzie klisze przechowywane miały być dla dalszych zamówień, a czas sprawił, iż zamienione w migotliwy czarno – kryształowe ułamki zaścieniały całą podłogę, by odejść w niepamięć, do edenu zapomnianych obrazów.

Tak było i z tą fascynacją fotografią, kiedy to Tato oznajmił, iż będzie robił zdjęcia. Jak to nie wyjdziemy do zakładu? Wspomnienia z ostatniego zakładu, do którego wyszliśmy nie były zbyt miłe, było tam tyle przerażających rzeczy, które straszyły swymi ostrzami, chromami, zapachami, iż musiano mnie łapać dwie ulice dalej. W zakładzie fryzjerskim strzyżono wielkich – małych ludzi wsadzając przekładkę na fotel, było to tak nieznośnie upokarzające. Jeszcze nie wiedziałem w jak wielkim błędzie pozostaję. Oznajmienie „będę robił” zdjęcia groziło czymś zapierającym dech, czymś nowym, a po parte zostało całą serią magicznych przygotowań, z których próba uspokojenia moich loków była najmniej uciążliwa. A oto jedno ze zdjęć wykonanych w tej kuchennej sesji zdjęciowej.

Czarny trójnóg wysunął swe nogi, by wkręcić się w pudełko zdobne chromami firmy Kodak. Skonstruowanie miniaturowego aparatu odebrało bajkową radość wizyty u fotografa, bo fotograf w odróżnieniu od fryzjera to całkiem przyjemny zawód, co niewątpliwie rzutuje na charakter i osobowość danego człowieka. Mimo to pozostało w tych aparatach coś z magii, kiedy wysunięta została z trzaskiem soczewka obiektywu znajdująca się na końcu misternie poskładanego mieszka, a przeróżne kółka i dźwignie zostały rozpostarte na całą swą długość, a na koniec podniesiona została zdwojona ramka celownika i padło: „Uwaga – robię” Kuchnia zamieniła się w atelier, taborecik w fotel, drzwiczki kredensu stanowiły tło, a świat jakoś dziko i niewymiernie wstrząśnięty zareagował blaskiem na świętokradczą chęć zatrzymania ułamków sekund i rozciągnięcie ich „dla potomności”, utrwalenie ich w papierzanych obrazkach o koronkowych brzegach.

Coś pozostało do dnia obecnego, czy to, tak wczesne spotkanie z fotografią, czy uwiedzenie magią przeciwstawienia się czasowi, fascynacja trwa.

Kadr nr 13.

O ile w kuchni królował despotycznie piec z fraucymerem szafek i dworem szlacheckich kredensów, o tyle pokój był państwem rządzonym przez podwójne metalowe łóżko dziadków, które rozpychało się na pół pokoju. Łóżko było ogromne, ciemno zielone z wymalowanymi bukietami polnych kwiatów, a cóż to były za kwiaty, rwać by je można garściami, tylko zapachu im było brak. Szeleściły żółcią kaczęńców, pąsowały purpurą maków i chłodziły błękitem chabrow, a przewiązane były złotą wstęgą, która wila się i opłatała niczym rzeka w górzystym pejzażu o zachodzie słońca, a odmalowana z uczuciem, nie byle jak na odczep.

Przygotowania do wejścia do łóżka trwały długo, niczym obóz treningowy przed wyprawą w Himalaje, a to grzanie wody i kąpiele, mycie części różnych, a to przebieranie się w uniform godny, a to przygotowanie, czegoś na podkurek, bo komu chce się wychodzić z łóżka, kiedy w nocy zgłodnieje. Wchodziło się do łóżka nie tak prosto, wspinaczkę najlepiej było zacząć od przytachania krzeselka, na które można było wejść i dopiero z niego uczynić skok, by przekroczyć brzeg Rubikonu. A na drugim brzegu można było skakać, trzeszczeć, czy w końcu być wchłoniętym przez wielkie, stromo piętrzące się piargi góry, o wielu szczytach, z nakrochmalonym grzbietem i stroszącym się koronkowo Jaśkiem na samym wierzchu.

Czy zauważyliście, iż kołdra, koc, czy nowomodny śpiwór otula Was, przejmując Wasze kształty, kradnie je upodabniając się do nich. Ta przedziwna mimikra kołdry powoduje, że z czasem przejmuje ona Wasze cechy, staje się Wami. Inaczej dzieje się z pierzyną, to ona wchłania Was, ustępuje Wam miejsca, uważnie ale roztropnie i uprzejmie, nie zmienia swej ogólnej formy. Przyjmuje Was gościnnie, przyjmuje Was do siebie, nie odbiera Wam niczego i nie odbierając Wam niczego ofiarowuje Wam ciepło, zachowując jednak dystans i niezależność. Pierzyna jest samoistna tworzy własną przestrzeń, w której jesteście tylko i aż gośćmi, klientami w poszukiwaniu uśpionych zmysłów oraz spokoju czasem nawet wiecznego.

Taka właśnie przygoda czekała na niezmordowanego wędrowca po całym dniu znoju w łóżku dziadków. Śnieżno białe Himalaje prześcieradeł, pierzyn, piernatów, poduszek, jaśków w krochmalonych poszewkach z błękitnymi monogramami w zaułkach dolinek, wąwozów.

Wtulić się w te góry i usnąć i śnić.

A wejście za Rubikon na pola babcine w ubraniu, niepostrzeżenie, było profanacją, która kusila, o jak kusila dokonania czynu bohaterskiego, ukradkowego skalania sacrum, nikczemnie wręcz bezczeszczącego bezwstydnie utarte zwyczaje, równocześnie łamiąc reguły gry o wzajemnej nieinterwencji, paktu podpisanego a priori i trwającego do końca. Gry od wieków prowadzonej pomiędzy dwoma wrogimi grupami, nas dzieci i ich (pisać powinienem ICH) dorosłych i nieważne ile kto ma lat. Istota rzeczy polega na istnieniu lub utracie świadomości istnienia drobnych niezależnych sił rządzących świa-

tem, a doprowadzających do małych radości i niewielkich smuteczków, bez których życie staje się jedynie egzystencją. W dużym uproszczeniu można pokusić się do stwierdzenia, iż jest się w obozie dzieciaków do chwili, w której jest się jeszcze przekonany, iż małe co nieco składające się z dżemiku truskawkowego (a poszukiwanie całej truskawki w słoiku jest egzorcyzmem na wszelkie stresy) na kajzerce ciepłych wspomnień, popijane bajkowym *kakaukiem* jest ważniejsze od braku debetu na koncie teraźniejszości w banku trzeźwości realizmu. Wracając do gry, to reguły jej są wieczne, jak i sama gra, kto kogo i na jak wiele zrobi w osła. Jedna strona próbuje wmówić nam, przekonać nas do potrzeby (ciulania grosza) i skuteczności (ich metod walki na śmierć, o krzesło, do żłobu) przyjęcia sposobu życia ludzi dorosłych, czytaj jedynie mądrych. Druga strona udowadnia nieśmiało, że świat to nie tylko praca i wiara w realność nagiej prawdy plotki pieniądza, że jeszcze wschody słońca, kiedy skowronek w górze a bażanty w wysokiej trawie, że jeszcze gorące południe w pól niezżętego żyta i zapach orgazmu kłosów zboża przed burzą, że zachody we dwoje trzymając się za ręce od tak dla organoleptycznej przyjemności pocucia czyjejś akceptującej obecności. Walka ta trwa od zawsze i nie możemy się spodziewać jej rychłego końca, dokąd paskożercy będą stawiać do kąta najwspanialsze chwile szaleństwa, a młodość myśli będzie przewiną, dotąd cała rzesza wkraczających z pierwszym okrzykiem do ataku na cudownie wręcz obrzydliwe życie będzie zawiedziona brakiem partnerów w ostatecznej bitwie o szczęście.

Świadomość czekających mnie przyszłych bojów parła mnie do wkraczania na szaniec pierzyny, który zapadał się z lekkim poszumem huzarskich skrzydeł, ikarowy lot między brzegiem, a poduchami dawał niezapomniane chwile swobody. Potem, po sturlaniu się na podłogę, następowała dopiero refleksja otrzeźwienia i wtedy pojawiał się cień nad materialną smugą światła wpadającego przez okno i brał mnie podnosił, stawiał na nogi, a potem bez słowa skargi, pracownicy, delikatnie rozpoczynała się praca nad ukształtowaniem szczytów, wierchów, piargów wyniośle piętrzących się znad kwietnej polany łózka.

Kadr 2020

Taboret dziadka był zaczarowanym światem mojego dzieciństwa. Taboret o kwadratowym siedzisku, obitym ceratą w kolorze kiedyś zielonym, obecnie był to kolor szaro-buro, nieznanym, z meandrami plam nieoczywistego pochodzenia. Wysoki był na pół metra, co stanowiło problem, aby się na niego wspiąć, a co dopiero na nim zasiąść, ale to nie o to chodziło. Cała tajemnica polegała na tym, że to siedzisko unosiło się! A wtedy oczom ukazywał się makrokosmos śrubek, galaktyki muterek, niepoliczalna liczba (czyli powyżej 10) komety gwoździ oraz mgławice innego rodzaju *przydasiów*. *Przydasie* to oddzielny rodzaj elementów, całkiem spory alembik blaszek, drucików, skórek, czy złączy, których się nie wyrzuca, bo nikt nie wie, nie jest w stanie prorokować, czy kiedyś nie przydadzą się przy naprawie *cosia*. Coś to wyjątkowa, bardzo przydatna rzecz, bez której nie da się ani żyć, ani funkcjonować, a kiedy zepsuje

się trzeba to szybko naprawić i wtedy! Wtedy potrzebujemy posiadać *przydasia*, który uratuje, pozwoli w mig, błyskawicznie na rewitalizację *cosia*. *Przydasie* przywracają *cosie* do życia, bez nich trudno było myśleć o spokojnym życiu. Piękno tej skrytki polegała właśnie na tym, że trudno było przewidzieć, kiedy dziadek będzie potrzebował go otworzyć, aby coś naprawić.

Mikołaj (fajnie jest mieć dziadka o tym imieniu, toż to święta cały rok i jak nie wierzyć w Mikołaja) *napraw w końcu ten ronderek*, lub *a kiedy naprawisz mi ten kran?* Mówiła babcia, a dziadek z godnością lepszej sprawy unosił siedzisko i odnajdywał potrzebną do naprawy rzecz. Czy to podkładkę, czy odpowiednią śrubkę, czy zwój konopi, aby uszczelnić połączenie rury z kolankiem. Zawsze bezbłędnie odnajdywał to coś, co pozwalało mu zreperować uszkodzony wichajster, czy też uszkodzoną w butach zelówkę, lub obcas. *Awaria* to było wtedy moje ulubione słowo, gdyż wiązało się z chwilową możliwością zerknięcia w bezdenne zapasy wszechogarniających rupieci.

Oddzielnym rozdziałem było regularne konserwowanie przez dziadka zegara. O, tak naprawa, lub konserwacja zegara to były czarodziejskie chwile, przepełnione zapachem nafty, nakładanej gołębim piórkiem. A! zapomniałem dodać, że przed tą magiczną chwilą, pełną trybików, sprężyn i łańcuszków szliśmy z dziadkiem na planty, na polowanie, by szukać zgubionych przez ptaki piórek. Poszukiwania ich w tamtych czasach wcale nie były proste, czasem trwały i pół dnia, pełnego napięcia i oczekiwania, kto znajdzie pierwszy. A nie było proste z błahego powodu, tak jak nas dzieciaki ścigał plantowy, by nie łązić po strzyżonej trawie, tak na wiosnę na planty przyjeżdżała straż pożarna i za pomocą sikawek zrzucała wszystkie ptasie gniazda, aby nie srały na dostojne spacerujące głowy. W tamtych czasach nie było ekologów i dla dobra wspólnego nikt się temu nie sprzeciwiał, z przyczyn oczywistych.

ROMA JEGOR

DOBRANOCKI DLA ZNAJOMYCH



Pisz krótko

Tak mi się przypomniało. Bo chyba ostatnio zaczęłam być rozwlekła w mowie i uczynkach, jak stary sweter. A tu jesień idzie i zwartym trzeba być, ogacić szare komórki i cienkościenne zastawki.

Pisz krótko. Tnij zdania. I tak tylko co setne jest twoje. Pilnuj. Śmiej wątpić. Choć wątpiący zawsze poniewierają się w swoim piekle i nie dostępują objawienia, odpuszczenia, wsenswstąpienia. Nie chciej półśrodków. Półdań. Półrozumień. Nie jesteś pogodą, nagrodą, pocieszeniem. Pociesza się psa przed porzuceniem, chorego przed końcem świata, kobietę przed rozstaniem. „Nie jestem dla ciebie najlepszy, nie trafiam za tobą”... Nietrafiony – zatopiony. Koła ratunkowe rzucamy w piątki i środy.

Pisz jakby to była recepta na koniec i na początek. Gorzki wątek. Może czasem potkną się o te nitki, prątki miłe złego początku. Co drugi jest twój. Bo jesteś wciąż od nowa. Jak kamizelka. Koronkowa. Wełniana. Haftowana. Kuloodporna. Oporna jak owce. Chociaż i tak zakłada kto chce.

Dzbanuszek

„Wszystko zmieści się do dzbanuszka, jeśli tylko wiesz, jak to ułożyć”. To nie ja, to Lupe Marin.

Może tak. Może świat się składa z samych mikroelementów, mikrośladów, mikropraw i tylko my jesteśmy jak ten pojemnik z gazem i ze wszystkiego chcemy robić golem, balony, słońca, kosmosy. A potem to nas depcze, ogłusza, oślepia.

Znowu przychodzi mi na myśl maksyma mojej Teściowej, że trzeba „małą łyżeczką do syta”. Żeby się nie udławić, nie zatkać, „niezapazernić”. Nie czytała żadnych magazynów „damskich” i nie wiedziała, że organizm odczuwa sytość dopiero po dwudziestu minutach. Ale wiedziała, że wytrzymać, pomiędzy dużymi łyżkami, dwadzieścia minut, to raczej niewykonalne. I zanim zorientujesz się, że już powinnaś być syta, spokojna, zadowolona – to jeszcze ładujesz, zbierasz, gromadzisz, upychasz w policzkach, w szufladach, w szafach, na parapetach, w myślach i uczynkach... Jak susał przed zimą, jak ten niedźwiedź (co to „gryzli i strielali”), jak strumień, który wciąż zabiera białe kamienie i rybki złote, i szary żwirek. I gna, i nabiera szybkości, a potem to „uściubione” traci po drodze, bo jak upilnować wszystko naraz, kiedy tyle tego... Jak

ucieszyć się z muszelki, z wafelka, z plasterka, z nowej, zielonej tasiemki. Jak się poruszać pomiędzy i kości sobie nie posiniaczyć...

Pamiętam moje przedpotopowe „słodkości”. Pojedyncze były i zdarzały się „po łyżeczce”, więc łatwe były do zapamiętania, do cieszenia, do zmieszczenia w dzbanuszk. Oczekiwanie na niedzielną mamina szarlotkę, pięćdziesiąt groszy od babci na lizaka, składkę z koleżankami na ciastko tortowe i jedną Pepsi (poprosimy trzy łyżeczki i trzy słomki!) I jeszcze pierwszą parasolkę „trzyrazyskładaną”, nowe nylony, białe szpilki, bilet do teatru i inne... profitrolki.

Wczoraj, wiesz, stłukł mi się dzbanuszek. Ten niebieski, co to jeszcze po babci. I w co ja się teraz spakuję z tym wszystkim?

Jeżowisko

Nie wierzyłam, że to już koniec lata. Przecież jeszcze ta jasność, słońce i pogoda... Nie wierzyłam do dzisiejszego popołudnia, kiedy zobaczyłam za oknem śmigającą po naszym trawniku wiewiórkę. A więc jednak. Zbiera, znosi, bo się zanosi...

Niepokój gęstnieje w żywopłotach, w żwirkach i muchomorach. Dziki zaczynają napadać na ścieżki. Kot zjada podwójne miseczki. Pająki pchają się do domu. I jesień wisi nad lasem, jak mały rudy balonik. Bez maseczki.

Od zeszłego roku boję się początków jesieni. Utrwaliła we mnie, że to czas tracenia, odchodzenia. Może dlatego tak wkręcamy się, tropem przyrody, w robienie zapasów, w te wszystkie dzemy, kompoty, pikle, ogórki i grzyby. Pakujemy w słoiki swoje nadzieje na to, że lato da się zatrzymać. Utrwalić, przedłużyć, zapeklować. Że nie będzie jesiennych odlotów, odchodzenia, rozdzielenia.

Już sama nie wiem kogo karmię tej jesieni. Naszego kota, czy przychodnego jeża, albo wiewiórkę. A może wysypuję na miseczką każdego poranka i popołudnia swoją smutność i żal, że moje lato się skończyło. Że nastał czas bilansu i robienia rachunku strat, bo zysków już nigdy nie będzie. Dziergania wełnianych szalików i skarpet, klejenia kolaży ze zdjęć rodzinnych, pisania łzawych wierszyków i śmiesznych rodzinnych dykteryjek, na psa budę.

Kiedyś, jesienią, szykowaliśmy się do odlotów, do podróży, planowaliśmy kolejną wiosnę i letnie wyprawy. Teraz coraz mocniej stajemy się przetrwalnikiem, dziuplą, jeżowiskiem, schroniskiem. Dla tego czegoś, co było i jeszcze pali się w nas (po tych wszystkich stratach i ikarowych latach), jak rudy ogon wiewiórki, na naszym rozczochronym trawniku.

Umiłowanie trzeba mieć

Trzeba mieć umiłowane wiersze, powieści, obrazy, filmy z ekranów szerokich i wąskich. I muzykę – w mono, stereo, kwadro, łakową, polową. Albo tę z Szopena. Albo z wojen międygwiezdnych.

Trzeba to trzymać w podsierstku, w głowie, w brzuchu, w majtkach, pilnować, choćby one same (te ulubione) nie mogły za nami nadążyć.

Oburzasz się, że w brzuchu? Że w majtkach, a nie w myślach? Że nie w sercu, albo duszy? Posłuchaj siebie, popatrz jak bulgocze ci w podbrzuszu, ze wzruszenia, albo z euforii, jak skręca ci się żołądek z żalu, z bólu, z przerażenia. Jak cierpną ci pośladki z zachwyty, albo kiedy strach szuka sobie w tobie miejsca.

Ale tak, one, te uczucia, są też w duszy, w myślach, w sercu i wątrobie. Wystraszyć się, a zbieleją ci usta i paznokcie, uciesz się, a policzki ci spąsowieją, jak główki maków po deszczu. Czemu więc się dziwię, kiedy mięknie mi dusza i łyż mi płyną z powodu, „że obraz albo dźwięk”, że tam jakiś „chór niewolników”, a tu zachód nad jeziorem taki że ożywi Dawida z Michałem Aniołem, „wespół w zespół”.

Nie wiem skąd się bierze wrażliwość i dlaczego pułkownik Kwiatkowski płacze na widok biustu Renaty, a mnie odnawia się naskórek razem ze ścieżką dźwiękową do Imperium Słońca. I dlaczego w Pianiście mięknie od muzyki jeden człowiek „niedokończaniedobry”, a Marteczka siedzi przed rysunkiem gołąbka jednego Picassa i oczy ma bardziej niebieskie od wszystkich jego „okresów”.

Ważne, że tak mamy. Że jest w nas ta plastelina, glina. Może to ją miał w palcach Wielki Początek, kiedy nas stwarzał na wzór. Jeśli tworzył z natury, to wyrabiał tę glinę na kamieniu, na piasku, na mchu i paproci. Przy schodach, wschodach i zachodach. Przy pogrzmotach, grzechotach, piorunach, ciszach i śpiewach wody. Mamy więc w sobie wszystkie te dźwięki, kolory, obrazy, zapachy i smaki. Taka kapsułka życia. Witamina. Kosmos nas sobie zażywa trzy razy dziennie.

– Puść „Mazowsze”. Tata będzie wniebowzięty.

– Tato lubisz?

– Nie wiem. Ale ładnie. I wiesz, zdejmij mi już ten sweter, bo zrobiło się teraz jakby cieplej. Dużo cieplej.

Łososie

...Na Pacyfiku zbierają się w ławice łososie. Pokonają ponad 1500 km żeby trafić do miejsca gdzie przyszyły na świat. Rybom kierunek wskazuje pole magnetyczne ziemi. Być może to dzięki namagnesowanym cząstkom żelaza w ich czaszkach, które działają jak kompas.

Zanim popłyną w górę rzeki muszą się przystosować do słodkiej wody. Ostatnie lata spędziły przecież w oceanie. Wyczuwają zapach wody!

Tak sobie zapisałam, po jakimś filmie na „geografiku”, albo „planet”. Bo mnie zachwycił ten rybi fenomen.

Wiedzieć, że musisz się zgromadzić, bo sam jesteś bezradny i samotny...jak ten łosoś. Znać cel, o którym nigdy nie mówili ci dziadkowie, wujowie, ani rodzice, a „planet” nigdy nie oglądałeś. Przystosować się, czyli pokonać własną niemoc i te, no, bariery. Biologiczne. Psychologiczne. I umieć wyczuwać! Rany boskie! Zapach wody! Mamusi! Przyroda jest cudowna.

Wiem, tam gdzieś w środku, w skrzelach, że każdy musiał być kiedyś rybą. Takim lososiem. Kiedyś, wcześniej, zanim rozsypaliśmy się jak wyschnięta piaskowa łacha i zanikły w nas te cząstki żelaza – najpierw po to żebyśmy mogli, tacy rozsypani, szukać własnych bezdroży, a później żebyśmy nie umarli z tęsknoty, skoro już nie będziemy umieli wrócić do tego domku z krzywymi jabłonkami i nitkami astrów zarośniętych po same główki.

Ech

Pora jest szarobura, śpiąca. Były trzy kawy i żadnych przejaśnień. Nawet koty chodzą pijane po ścianach jak pręgowane pająki. Ech... wytrzymać. I niech nas nic nie boli – żaden kręgosłup, ostrosłup, żadna pogoda, niezgoda, żadne słowo, co to rzucone jak kotu żwirek.

Pomijaj lodowce, góry, smogi, smoki i własne straty, strachy i tę palącą przyprawę, co to ma wszystko w jednym I jedno w pojemniku wielkości musztardy. Trzeba sobie radzić. Jak Ev, która na diecie poooperacyjnej tak głębokiej, że kisiel teraz to rarytas.

– Matka, ty się katujesz na własne życzenie tymi programami kulinarnymi! – to córka Ev.

– Nie, te programy to moje zapachy i smaki. I mój apetyt na wyzdrowienie. Każdy ma swój apetyt i swoje sposoby na wojnę i pokój.

Wojny jest tyle, że pokój musi być jasny, ciepły i pachnący.

Już wszystko nie w porządku, moja droga. Już nic więcej nie może nam się stać. Teraz więc może być tylko lepiej – nawet z twoją nieprawdziwą, bo wirtualną, kuchnią czyichś dwóch rąk, pięciu smaków, dziesięciu małych paluszków. Albo tylko z gołą, bez omasty smaku, pamięcią o pypzach i kopytkach, które tak kocha twoje podniebienie...

Zakamarki

„Dwadzieścia lat w tym samym pokoju... Postradałbym zmysły!” To z filmu.

Termin minął, a ja wciąż lubię swoje biurko, biblioteczkę, zakamarki, mrówki, pająki, drzewa za oknem, oleandry, lawendy, przychodne koty (albo to już może ich synowie, lub wnuki) ... I tę rysę na ścianie (Bea, pamiętasz?), co od kilku lat wytycza swoją drogę, nie zważając na remonty i malowanie. Uparta jest. Jak my.

Tyle korzeni, że szkoda by było odrąbać sobie taki wielki kawałek. Może kiedyś. Ale jeszcze gromadzę wszystkie pamięci pochowane po szufladach, za obrazami, w fugach, framugach, dziurkach od kluczy, widoku zza firanki, odlupanym kawałku przy furtce, banalnym skrzypieniu schodów, w rytmie każdym... I własne zasy. Listonosza, Pana Od Licznika Gazu, sklep na rogu, co to niby spożywczy, a ma i Gazetę Prawną i Miłkołowską i pastę do zębów, i rajstopy na wypadek... Własny dym od sąsiadów, który po tylu latach wciąż karmi nasz "własny" las.

Jak to wszystko spakować? Ponieść gdzieś indziej? Zwyczajnie „niedasie” – póki co. Jak zniedołężnieję i wykończą mnie schody, mrówki, przeciągi i dym – pomyślę nad pakowaniem. Może do tego czasu wymyślą sposób.

*

Dopiszę jeszcze tylko, że podróże i tęsknota za nimi wciąż nas gdzieś nosi. Ale w podróżach czasem najlepsze są powroty.

Wszystkiego pogodnego.

Okna

Dom, jaki jest, każdy widzi...

Uwielbiam wieczorne zagłądanie w obce, świecące okna. Takie „bez zobowiązań” bratanie się z cudzym wnętrzem, oddychanie cudzą chwilą. Wiem, że to nieładnie tak podglądać, ale nie umiem się powstrzymać. Poza tym, nie patrzę na ludzi, tylko na to jasne miejsce w ramce okna. Na krążki abażurów, odcienie tapet, krągłości foteli, na cienie bibelotów, ramy obrazów, albo zwykłe korkowe tablice z mnóstwem „zapamiętajek”. Czasem na jakieś cienie – pochylone nad stołem, albo pomalowane światłem monitora, albo plazmy... I „dopisuję” sobie do tego... ludzi.

Dom bez swoich ukochanych mieszkańców nie ma specjalnego znaczenia. Ale i oni bez niego, tego prawdziwego, tacy jacyś... bezradni, roztopieni, beztwarzowi.

Trzeba pamiętać o powrotach. Żeby ściany „nie wychłodyły”, jak mówiła babcia Sabina.

Dobranoc.



BRONISŁAW KOZIŃSKI

BAJKA O CZŁOWIEKU

(ciąg dalszy)

Piekielko.

Uboga skorupka ziemi, którą łaskawy wiatr okrył z czasem gołe kamienie leżące nad potokiem, czego dowodem były ich białe piszczelki tuż nad lustrem wody, gdy ta wartko szorując w dół, oczyszczała je, wystawiając na widok niczym wiejska dziewczka grube kolaniska podczas dojenia krów albo skrobania ziemniaków.

Skąd wzięła się ta nazwa. Czort jeden wie.

Jednak na mój rozum zaczerpnięty z bajek, jak nic, właścicielem albo zarządcą tego miejsca był jakiś olbrzym o imieniu Piekiel.

Dobry musiał być i przyjazny dla środowiska, o czym świadczą ostatnie dwie litery z nazwy tego małego zakątka przy wodzie, bo gdyby nie one, szkoda gadać i włos się jeży na głowie. Skoro był dobry, na pewno w korycie rzeki miał zainstalowane ogromne młyńskie koło służące do mielenia ziarna całej wiosce. Miał też potężny chlebowy piec wydłubany we wnętrzu zbocza wznoszącego się bystro, aż pod Równicę.

Szkoda, że ktoś obudził mnie zbyt późno. Na pewno znalazłoby się jakieś zajęcie nawet dla małego chłopca w tym mocno rozwiniętym kombinacie olbrzyma.

Szkoda, że ktoś obudził mnie zbyt późno. Na pewno znalazłoby się jakieś zajęcie nawet dla małego chłopca w tym mocno rozwiniętym kombinacie olbrzyma.

Sprzątałbym mu tę jego ogromną młynnicę. Nie zmarnował ani jednego ziarnka zboża. Ani jednej skibki rozsypanej mąki. Zeskrobywał codziennie mech obrastający kolisko. Drugą połówką dnia miesiłbym w wielkiej dzieży ciasto na bochny. Szlifował łopaciska do wsadzania ich w piec a wieczorami, kiedy już wszystko gotowe roznosił po wsi darmowe rumiane chleby z białą etykietką opisującą proces tworzenia, instrukcją spożywania z wieczną datą ważności nigdy nieprzeterminowanego produktu. W niedzielę, kiedy i inni szczęśliwi, nie głodni, odmodleni za dobry tydzień, dary nieba i piekła. Sam czułbym się jak w raj. Zostawiając w spokoju pana, leżącego jak długi przy swoim piecu. Na młyńskim kole bym się huśtał, najpiękniej przy tym na liściu grając.

Prawdą jest, że ta wieś, leżąca na końcu świata, (choć z każdej strony otacza ją co najmniej siedem gór i rzek) oszukana musiała zostać, kiedy Stwórca dzielił ziemią i równinami wszystkie inne. Zaledwie dwa większe koryta rzeczne, dolinami zwane, przy których prócz kamienistych szlaków ostało się miejscami jakieś szersze miejsce na zagrodę. Jakieś liche poletko pod ziemniaki, owies czy karpiele. Poza tym las, krzaki i odwieczna walka z nimi. Wojna na śmierć i życie.

Marne te gazdówki, w których mizerni gospodarze lub baby nienauczone trzymać ostrej siekiery, motyki w garści. Smutne okna w tych chatkach, kiedy głód twarzą drzew w nie

zagląda. Korzeniami wypija wodę ze studni a nocą sowim hukaniem wieszczy czyjąś śmierć dreszczami przeszytą.

Nawet niebo nad ich głowami, świetlisty ołtarz, do którego co dzień wznoszą modlitwy i spracowane ręce okrojony górami im został. Zasłonięty konarami szalejących drzew, które ledwie poczują wiatr, zaczynają swój chocholi taniec, doprowadzając chłopski korowód do pomieszania zmysłów sen i otepienie.

Prawdą jest, że inaczej jak gdzieś za Dunajcem, niewiele jest tutaj równych miejsc pod zabudowę. Niemniej Piekiełko było ostatnim nadającym się do tego celu.

Dlaczego właśnie tam postanowił sklecić małą lepiankę i uczynić z niej swoje małe gniazdko na tym nadrzecznym leż padole?

Tego nie sposób odgadnąć, a tym którzy nie słuchali bajek, nawet się domyślić.

Jak i tajemniczej postaci Jana. Zwanego też i Apostołem, kiedy czasem z pustelni zechciał wyjść do ludzi i niektórym wybrańcom głosić swoje prawdy. A może tylko własnym językiem nowe bajki opowiadać.

Kiedy go poznałem, był już najstarszym człowiekiem w okolicy. Chodziły słuchy, że najstarszym był on tutaj od zawsze. Nawet prawie dziewięćdziesięcioletni Wiktor Łabuda nie miał co do tego żadnej wątpliwości: Jan Pustelnik przyszedł tutaj jako najstarszy. Żyje jako najbardziej sędziwy i tak zostanie do końca, o ile ten koniec kiedyś nadejdzie – mawiał Wiktor, przyklepując i kończąc krótką metrykę wiecznego starca, gdy komuś zapytać o to przyszło. Nie pytałem o niego nikogo, miałem na to swój sprawdzony wcześniej sposób. Tak, aby fakty z mitami, maszerując prosto, jak po sznurku układały się w logiczną całość. Choćby tylko na własny użytek i zadośćuczynienie swoim wątpliwościom, czego dobitnym przykładem była nieznana innym historia Piekiełka.

Doświadczony w podobnych sytuacjach. Zaplątanych niczym gordyjskie węzły. Zwyczajnie sięgnąłem po ten cienki sznureczek i powoli, powoli po nitce do kłębka zacząłem rozplątywać tajemniczy żywot Jana.

Siwe, rzadkie włosy do ramion. Podobnie broda, podczas porywu wiatru daleko za ramiona sięgająca. Wysmukła chuda postać, kapelusz i laska. Nie! Moja wioska, to nie jakaś mroczna kraina Mordoru, choć przypominająca położeniem tamtą, gdyż otaczające siedmiogóry jak najbardziej śródziemni ją stanowiły.

Powie ktoś, że tym razem mity wzięły górę nad faktami wyplątanych z cienkiego sznureczka. Niech mówią, niech się śmieją, prawda i tak zostanie po mojej stronie.

A prawda jest jedna. Jan Pustelnik, czasem Apostołem zwany nie był nikim innym, jak najzwyklejszym czarownikiem.

Może trochę bardziej niż najzwyklejszym. Choćby z racji nieprzemijającej starości swojej, czy też miejsca na ziemskie bytowanie, jakie sobie wybrał. Czarodziej pospolity w dzisiejszych czasach to typowe zjawisko. Przede wszystkim na ziemiach oddalonych od świątyń, kiedy jeszcze nie wymyślono kropideł długich na kilkanaście mil morskich, a kadzidło ze świętego ognia więcej żaru niż dymu wydziela. Kiedy większość cywilizowanych ksiąg za grubymi murami Jagiellońskimi pozamykano lub wtrącono w podziemia Watykanu. Wypowiadając przy tym magiczne zaklęcie: „Idź złoto do złota”. Tam ci ciepłej będzie.

Czarodziei od zabrania krowie mleka. Od zesłania czarów na zdrowo rosnące dzieci nie-lubianych sąsiadów. Uroków rzucanych na domowe zwierzę, czy samych gospodarzy jest co niemiara. Szczególnie wśród baców, jak i wiedźmowatych bab, którym nigdy nie udało się wskrzesić własnego domowego ogniska, więc z czasem same, przeklinając to wszystko, mają się magii, aby te wszystkie ogniska pogasić.

Owszem, budzą strach a czasami i szacunek ich ponadludzkie wyczyny. Ale coraz większe rzesze wieśniaków są w stanie znaleźć antidotum na ich czarodziejskie fokus-pokus, czary-mary czy to w konkurencyjnej działalności magicznych agencji, a w razie konieczności u znachora w Ośrodku Zdrowia za Dunajcem.

Jak pewnie nietrudno zauważyć, powyżej sklasyfikowałem te dwa gatunki na czarodziei pospolitych oraz czarowników. Nie był to błąd popełniony przez wsiowego małolata, ale najprawdźniejsze stwierdzenie zaobserwowanych faktów.

Faktem więc jest, że: czarodzieje, to po prostu pospolite beztalencia, po których zabiegach, coś tylko się dzieje. Działalność, nawet zwyczajnego czarownika wyróżnia się tym, że z zastosowania jego talentu, mówiąc najogólniej, coś wynika.

Pewnie nigdy nie uda mi się rozwiązać ostatniego węzła z długiego sznureczka żywota Jana. Nie dbam jednak o to. Inaczej niechybnie musiałbym życzyć mu śmierci.

Nie życzyłem jej jeszcze nikomu i chociaż wiem nawet po sobie, iż często może ona być ulgą i wybawieniem dla nieszczęśnika utrudzonego ciężkim losem ziemskiej niedoli, to i tak pewien nie jestem, co dalej. Czy aby właśnie ta ziemską niedolą nie jest obiecany w końcu niebem. Tym bardziej, że nie wysłuchałem jeszcze nigdy w życiu bajki, w której ludzie bywają do końca szczęśliwi. Nie mając niczego, o tak niewiele prosimy a każda cząstka nam darowana, bywa największym skarbem, jaki może przytrafić się nieoczekującym tego. Czym jest ta mała cząsteczka darowana bogaczom, których prośby i oczekiwania przewyższają rozmiarem najwyższe szczyty sięgające nieba? Inną istotą sprawy jest ta, że choćbym nawet życzył, kto pochyli się, aby wysłuchać prośby małego robaczka, którego najczęstszymi są te, aby znaleźć jakiekolwiek zajęcie, dach nad głową czy odrobinę pożywienia, jako zapłatę za pracę.

Jedno mnie zastanawia. Rozplątując sznureczek żywota Jana, nie dowiedziałem się niczego o jego pochodzeniu, młodości, jego rodzinie.

Czyżby był kolejną jak ja nienarodzoną a tylko przebudzoną istotą w tej wiosce?

Niech było, jak chciało. To nasza bajka i piszmy ją dalej po swojemu.

Nie mam w tej chwili co ze sobą zrobić. Nie wiem gdzie pójść. Gdzie pytać o pracę.

Jestem bez zajęcia, więc na użytek naszego wspólnego dzieła pozwól, że wcielę się w jego postać. Nieważne, jaki to będzie moment istnienia. W zasadzie i tak nie mam wyboru, skoro Jan Pustelnik nie mając młodości, od zawsze za starca był tutaj postrzegany. Uważaj, zasną teraz na nowo. Ty zbudź, jak tam na miedzy, i sam zacznij o mnie opowiadać, a ja jak potrafię najlepiej, poprowadzę twoje słowa tak, aby wiarygodnie oddać ducha tamtych czasów.

A gdybym to ja był dzieckiem,
które mój ojciec porzucił,

by, stać się królem niebieskim,
zamiast mnie życia nauczyć.

Pewnie bym krzywo dorastał,
pijakiem został lub łotrem,
wygnańcem z własnego miasta
pustynnym gadem lub ostem.

Nikt by przede mną nie klękał,
zaś wszyscy, co wszystko wiedzą,
wołaliby na mnie bękart,
bo nie nazywam się Jezus.

Kim mógłby być Jan, gdyby urodził się zwyczajnie. Tak jak inne maleńkie dzieci, które z postaci matek, ojców pochylających się nad kołyską odczytują powoli rysy twarzy i zapamiętują je jak własną piastkę wsadzaną do głodnej buzi. Które niczym dzikie zwierzątka wchłaniają ich zapach, bezpieczeństwem utulający do snu.

Jakie wzorce przyświecałyby mu w dalszym życiu, gdyby od małego kreowane były czynami i postawami najbliższych. Gdzie tradycja, wiara i miłość są nieodzowną trójką domowego ogniska. O ile bliższe byłoby dla niego niebo nad głową obleczone nie tylko chmurami, ale wypełnione całym majestatem. Dla początkujących uczniów wiary zawartym w tysiącach dokumentów. Świętych pism czy innych środkach masowego przekazu... Pytania? Można je dzielić na tysiące mniej ważnych czy też najważniejszych przypadków. Komu dzisiaj chce się pochylać nad tymi o mniejszym znaczeniu. Są pomijane jak zwyczajne skinienie głową mijanemu na drodze wędrowcowi. Ignorowane jak dalekie szczekanie głodnego psa. Jak odlatujące z jesienią ptactwo, szukające cieplejszych klimatów i nowych miejsc na gniazda.

Czy to ludzie z czasem stają się coraz bardziej głusi, czy też czas z ludźmi zawiera ciche przymierza o nieprzeszkadzaniu sobie w sprawach błahych. Pomijaniu kwestii dotyczących jednostki a skupieniu się na milionach. Ignorowaniu samych zer, o ile nie postawiono przed nimi żadnej cyfry większego znaczenia.

Czy z czasem zubożemy? Zmniejszymy się jeszcze bardziej, szkice zastąpią nazwiska, czego dzisiejszym przykładem jest jakiś tam Gniadek z Opijówki.

Akreć zza góry, dawni niechlubni dzierżawcy lichych gruntów na Dorchowce.

Ile pytań, tyle odpowiedzi, może nawet podzielone przez wiele. Więc może ten czas ma jednak rację, kiedy tyle światów nieodkrytych, zostawmy znajome, a pędźmy dalej, do końca, ku wieczności, bez odpowiedzi na zbędne pytania, bez zastanowienia, bo to w końcu cel uświęca środki a nie odwrotnie.

O ile uboższy bez tego wszystkiego był Jan. Obudzony pewnego razu na zarośniętej chaszczyźnie równinzie Piekielkiem zwanej. Sam jak palec. Bez przyjaciół, rodziny, żadnego dobytku, a nawet bez nazwiska. Podobnie jak ja, kiedy obudziłeś mnie wcześniej

na miedzy. Przetarł oczy, rozejrzał się dokoła i powiedział: Nic to, od dzisiaj to też moja wioska. Wpiszę się w nią powoli. Ośmielę do siebie. Znajdę przyjaciół, dam radę. Na pewno miałbym gorzej, gdybym był sam niczym rozbity żeglarz na bezludnej wyspie. Jeśli udało się kiedyś osiedlić tutaj pierwszemu, a nawet Grońskim, co to aż na Skalskiem założyli swoje gniazdo, uda się i mnie.

Nie bez przyczyny, co potwierdzali wcześniejsi. Nazwa tej wsi w niewielkim tylko znaczeniu różniła się od słowa – bieda. Od niej też miała wziąć swoje miano i pewnie do końca trwać w tym niezmieniona. Powie ktoś, że niewdzięczne wzięła na siebie brzemie. Jednak zdaniem Jana, i pewnie nie tylko jego, nazwa ta wcale nie była jej uwłaczająca, lecz pełna pokory i szacunku względem otaczającego ją świata.

Była też pewnego rodzaju wybawieniem dla mieszkających w niej chłopów.

Wszak to nie oni musieli się wstydzić. Tłumaczyć ze swojego niedostatku odwiedzającym ich przybyszom, którzy wiedząc jak brzmi jej nazwa byli przygotowani na całą nędzę, jaką w niej zastaną, a może nawet bardziej.

Nie dziwił się też niczemu, co tutaj zastał. Przechodząc drogą, widział rozwalające się płoty z próchniejących żerdzi, powiązane ze sobą niedbale, przez które gromadki kur pod dowództwem jarzębiatych kogutów wyruszały na poszukiwania pożywienia w nierozgrzebanej jeszcze ziemi. Spotykał za drogie na miskę polewki, a teraz bezpańskie psy włóczące się bez celu tam i z powrotem. Słyszał bardziej zdziczałe, które trzymając się z dala od zagród, polowały na podchodzące do wsi leśne zwierzątka. Za słabe jednak i zbyt tchórzliwe, aby polować w wyższych partiach, gdzie ponad wszystkim innym, nawet najgrubszym zwierzem panował niepodzielnie Naczelnik, pan i władca swojego królestwa rozciągniętego aż poza siódme albo jeszcze dalsze góry znanego tutaj świata. Widział ubogie chatki zbudowane jednak ciesielskim kunsztem z płazów ciosanego drzewa. Wysokozrębowe, omszone szczelnie w miejscach nakładających się na siebie płazów. Zapraszające w wysokie progi sosnowe drzwi. Najczęściej deskowolistwowe z zastrzałem. A w niektórych dwu, a nawet trójpłycinowe, gdzie widok zakrzywionej klamki był tak samo na miejscu, jak u tamtych zwykły drewniany skobel, czy inny kołowrotek, którym gdyby nie podpórka, wiatr kręciłby jak diabeł żarnowym kołem w niepoświęconym nadrzecznym młynie.

Podziwiał pewnie Jan te niewyróżniające się bogactwem domostwa. Bo jakimż to szczęściem niepojętym dla niego było posiadanie choćby najskromniejszej chałupki pod prawdziwym dachem pokrytym strzechą z najdłuższej żytniej słomy, jaką w stanie jest wydać tutejsza jałowa gleba. Mieć własny dom, to nic innego jak dostać własną ciepłą przestrzeń na szczęście. Szczęście, które nie ucieknie przez liche gałęzie ściany szalasu. Nie przeniknie do nieba pomiędzy rzadkim igliwem cetyny służącej za pokrycie na nim. Nie wsiąknie w rozmoknięte kroplami deszczu klepisko szalasowej podłogi. Nie zgaśnie wraz z płomieniem, kiedy północny wiatr wedrze się do środka, zatańczy zbójnickiego, potarga wszystko i zniknie wraz z ostatnią iskierką podarowaną kiedyś na szczęście.

Z własnego doświadczenia wiedział, co oznacza szerokie pojęcie słowa, nędza.

Czy nie nosił na sobie ciągle świeżych, swędzących śladów ukąszeń przez pchły? Czy to

nie z jego długich włosów kapąły na ramiona wypasione i odporne na wytępienie wszy? A kto bardziej, niż te dwa gatunki był synonimem odpowiadającym niedostatkom tamtego okresu.

To była jego wieś. Pewnie jak każdy z jej mieszkańców starał się wskazywać też na inne barwy otaczającej go codzienności. Potoki z czystą wodą, która do źródeł miała przysłowiowe dwa kroki. Owszem zanieczyszczona co nieco, ale unoszące się na niej bańki mydlane kilka metrów za tarką bystry nurt rozbijał o kamienie. Zacierał ślady ludzkiej ingerencji niewymuszonej, ale jakże potrzebnej w codziennym życiu.

Z grzybów, które w lasach można by ścinać sierpem, największym powodzeniem cieszyły się gołąbki i biele. Zawsze na wielkich kuchennych blachach wokół pieczonego placka z ziemniaków bądź plasterka karpia przyluli się stadko leśnego runa pieczonego na jednym ogniu, jak roztropne gospodie nazywały tego rodzaju oszczędność. Pomijając całą resztę dobrodziejstwa zsyłanego urodzajem pól, łąk i lasów nie sposób pominąć wieśniaków. Największym bogactwem byli tutaj ludzie.

To nikt inny jak ich cieśle wyciosali wielką ramę do obrazu, w który z czasem zaczęły wpisywać się kolejne wątki, a nawet bogate treści ludzkiego żywobycia. Ich kowale wykuli czcionki literopisujące ten obraz. Kobiety nieczujące się nigdy słabszym dodatkiem rozpały ogień obrazu i podtrzymują go bezustannie najtwardszym drewnem z okolicznych lasów, z którego żar wydziela potężną większość oddzieloną od dymu. A sama bieda? Czy nie jest to bezwzględny składnik? Dodatek, który przygarnia ludzkie skupisko? Wypatrzyła pewnie włócząc się gdzieś za Dunajcem ten ogień wpisany w obraz. Pokonała wodę i zameldowała na wieczny pobyt w tej wiosce drewnianej otoczonej przez wszystko razy siedem.

Położył się na chwilę w cieniu rozłożystej lipy i zapadł w sen. Ten sam tajemniczy sen, z którego wybudził się kiedyś na miedzy czy wczoraj na własnym padole Piekielek zwanym. Jak to się stało, że dalej czując się człowiekiem. Patrzy z wysoka na zbliżający się Dunajec, przekracza go i jest po tamtej stronie. W innym świecie, o którym tutaj bajki się opowiada, a może tylko śni?

Równie. Tajemniczy świat, gdzie prawdziwie wszystko wydaje się większe. Ogromne a dal nieograniczona, wciąż niedosięga, uciekająca poza granicę wyobraźni, a nawet dopatrzenia. Nie odwracając się za siebie, nigdzie nie sposób dostrzec wyższych szczytów, poza jedynym Dunajcem nie widać żadnej innej rzeki. Tak! O ile w jego wiosce świat ma wymiar niewiele rozleglejszy jak poza siódmą górę i rzekę, to ten równinny nigdy się pewnie nie kończy.

Zbliża się nieco ku ziemi, aby obejrzeć jazowski kościół, górujący nad wsią i pańskim dworem leżącym nieopodal. Znowu wznosi, aby znad Gruszowa zerknąć w falujące równie Czarnego Potoku. Tam również odnajduje otulony wysokimi lipami drewniany kościółek. Teraz zaczyna rozumieć, dlaczego niziny bywają bardziej łaskawe, bogatsze dla ludzi, niż ziemia, z której tutaj przyleciał. Musi przekazać, kiedy wróci z powrotem, aby i oni wybudowali własny, bo skoro kościoły nazywa się bożymi domami, to pewnie mieszka w nich Pan. (Jakże dosadnie brzmi w tym przypadku przysłowie, że „pańskie oko konia tuczy”). I tak jest w rzeczywistości. Przygląda się bardziej okazałym chałom

-pom, obrobionym czysto większym zagonom pól, całym gromadom sadów, trzymających się południowych wzgórz. Nie tak jak tam. Dzikich czereśni, krzywych jabłoni wyrastających, gdzie dziad pestkę wypłuł, a pies łapą zagrzebał. Powie im, aby przy swoim poświęcili ziemię na cmentarz, jak ma to miejsce w tej części świata, a nie jak psy zagrzebujące gnaty na zapas, chowali zmarłych po lasach, koło dróg. Nie wywozili, nawet tych, co sobie nieświadomie życie odebrali najgorszymi wozami w odludne miejsce Wisielcami zwane.

Powie im...

Nie będziesz nas oceniał ani nawet sądził,
bo nie byłeś sędzią, nie byłeś też wzorem.
Pamiętamy jeszcze, jak bałeś się ludzi,
a przychodząc do nich, siadałeś przed progiem.

Zdejmowałeś buty, jakbyś z Gidel wracał,
albo inny pielgrzym w drodze do Kalwarii.
Rachowałeś w dłoniach, zniszczonych od pracy,
nawleczone na sznur paciorki z koralami.

Dostałeś co łaska. Twój worek żebraczy,
jeśli był sezamem, to na drogę krzyżyk.
I tak wędrowałeś od chaty do chaty,
jakbyś był swojakiem i nie bał się ludzi.

Nie będziesz nam sędzią ni żadną wyrocznią,
nie będziesz roznosił i sprzedawał biedy,
bo z krzyża przy drodze, którą chodzisz nocą,
spoziera na ciebie Chrystus fraszobliwy.

Właśnie, bo kim on jest, aby im cokolwiek doradzać, mówić. Czy nie jest najzwyklejszym żebrakiem. Wiecznym starcem, który przespał wszystko, co było do osiągnięcia, z własną młodością na przedzie?

Poleciał jeszcze dalej, lecz nic nie potwierdzało tego, aby coś zaczęło się zmieniać.

Owszem widział jakieś większe wzniesienia, ale wszystko dostępne, rozłożyste. Z ornymi połaciami ziem na ich wierzchołkach.

Zakręcił gdzieś nad Łukowicą. Wracając, widział w oddali duże miasto. Kilka kościelnych wież. Jakieś dziwne wozy na drogach, poruszające się bez ciągnących je koni. Wystraszył go potężny wąż sunący zygzakiem, z łbem ogromnym wypuszczającym kłęby dymu a jakiś piekielny gwizd zmroził, nadlatując kilka razy z tamtego kierunku. Uciekał z powrotem, bo czort wie, jakie cuda natury, dziwy, a nawet czary, o które nie podejrzewał krain zamieszkałych przez Boga, mogły go jeszcze spotkać na tych ziemiach nieznanych. Zbliżając się znowu do jakiegoś starego miasta, ze zdziwieniem

dostrzegł kolejną rzekę wpadającą do Dunajca. Spojrzawszy w kierunku, z którego spływa, utwierdził się tylko w przekonaniu, że jeśli wyrastają tam wyższe szczyty gór, jest ona właśnie drugą z tych siedmiu okalających jego wioskę, przez co pozostałe pięć znajdują się pewnie w niewielkim oddaleniu. Tworząc jej świat na powrót mniejszym od równi rozłożonych na północy.

Leciał w dobrym kierunku. O ile kierunek, w którym zmierzał można było tak nazwać.

Wiesz, w której bieda z nędzą są sztyldami na prawie każdym domostwach. Nazwami wielu przysiółków, jak choćby: Chudobówka, Dziadki, Kretówki, Wydarta, Suche... na Nowej Wsi kończąc, która tyle miała z nią wspólnego, że ciągle i szerzej otwierała oczy jej osiedleńcom na nowszą i coraz bardziej dokuczającą chudobę.

...Gdy minął graniczną rzekę, coś zaczęło nagle ściągać go w dół. Coraz szybciej, coraz mocniej odpychało niebo. Przyciągała ziemia.

Kiedy zbudziłem go na nowo, płakał. Ten wieczny starzec płakał jak dziecko, dopiero potem zaczął opowiadać:

Wiem, kim jesteś. Widzę też, że podjąłeś się nie lada wyzwania. Pewnie wielu ciebie nie zrozumie. Nie będzie im łatwo rozplątywać nici, jakimi zszywasz swoją opowieść. Jeżeli byłoby was tylko dwóch, o wiele prościej wyglądałoby to wszystko. Dlaczego dla większej przejrzystości nie dałeś mu imienia. Czemu litując się nad nim, uśpiłeś znowu, obiecując rolę, jaką sam pod prawdziwym imieniem odegrałem w swoim życiu. Nie odpowiadaj mi, ja swoje pytania zabiorę do grobu. Tam za Dunajec skąd przeszedłem. Rozumiesz, co mam na myśli. Nie prosiłem w życiu o wiele, może nawet wcale, Ciebie jednak proszę. Kiedy skończę resztę, jaka została mi do powiedzenia, odejdę, a ty pozwól – zapomnij. Wiem, że jego zbudzisz na nowo. Zrób to, proszę, w innym miejscu i lepszym czasie. Ostatnia sprawa – Naczelnik, a może to tylko wiatr. Gwiazda uciekająca nocą na ziemię, a może głos szukający odpowiedzi...

Jestem stary. Sam nawet już nie wiem jak bardzo. Nieprawdą jednak jest to, co o mnie opowiadają szczególnie Wiktor Łabuda największy kłamca w okolicy. On jeden widywał, nad czym dumam i pracuję od dawna, często pomagał mi przynieść jakiś wymyślny kawał kłosa, jakieś żeliwo wykute u kowala. Wszystko było w porządku do czasu, kiedy zacząłem go składać. Kiedy zaczął przybierać realne kształty, Frankensteinem, czarodziejem mnie nazwał i odszedł. Wymyślał potem niestworzone rzeczy na mój temat, roznosząc je pomiędzy ludźmi. Po co nazywał mnie wiecznym starcem, właśnie po to, aby mu uwierzyli, że prawdę roznosi, bo tylko czarodzieje w ich mniemaniu potrafią sobie w nieskończoność żywota dokładać, bo kto, jak nie starcy są zmorą i utrapieniem tego świata, tej wioski choćby. Ilu z nich zostało stąd wypędzonych. Ilu wywieźli na najgorszych wozach na wzgórza Wisielcami zwane.

Byłem kiedyś i ja młodym i silnym. Jak inaczej potrafiłbym z tego skalistego i zarosniętego skrawka nad wodą słoneczne Piekiełko uczynić. Pewnie zasmucę i ciebie samego. Rozczaruję, że twoje żywoty Jana rozplątywane ze sznureczka doczesności okazały się nieco mylne. Niemniej dziękuję, że jeszcze przed wybudzeniem mnie wskrzesiłeś pocziwą postać o ludzkim sercu i człowieczej duszy.

Co zaś do czarownika, to niech, chociaż na twoje pocieszenie, jak i całej okolicy zaświadczy to, co dzisiaj widzisz. Rozejrzyj się dookoła i zobacz, co zostało z mojego dorobku, dzieła mojego życia. Umarło właśnie moje dziecko, mój ptak latający. Widzisz te skrzydła z lipowego drewna połamane jak zapalki. Poskręcane wewnątrzności wystające z jego jaworowego brzucha. Czy zdajesz sobie sprawę, że jego serce i puls właśnie bić przestały?

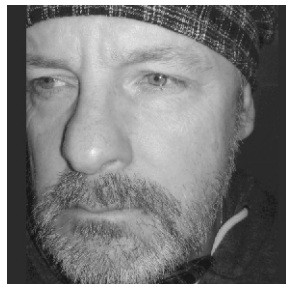
Posiwały ci włosy od palców,
bo zbyt długo trzymałeś na rękach
i huśtałeś od płaczu do płaczu,
aż przestało jak suche drewnienko.

Potem mocno z rozpaczny je rwałeś,
jeszcze złote jak kosy słomiane
i szarpałeś, czesałeś, czesałeś,
jakbyś chciał na stosie je spalić.

Posiwały ci włosy od palców,
bo liczyłeś na cuda do końca,
powtarzając czy odejść, to zasnąć,
zapatrzony w drewnianego chłopca.

PAWEŁ KUZORA

MINIATURY



WOJSKOWA STRZELNICA

Kandydatura Jerzego M. na stanowisko młodszego asystenta, starszego odźwiernego w Warszawskim Ratuszu, przepadła niczym gajowy Stefan w mateczniku. Rozmyśla się jak tusz, kapiący z rzęs ciotki Agaty, kiedy ta dowiedziała się, że Zachariasz – jej poślubiony na wieczność mąż – łoił w kichę bezzębnego grubasa. Sąsiada. Nie pomogły przeróżne dokumenty, świadectwa, opinie, zaświadczenia. Ba, nawet odkopane zeznania łamanej kołem przodkini – czarownicy, która na mękach wyznała, że używała języka do odświeżania miejsc intymnych, przypadkowo napotkanych kobiet. Cóż, byli lepsi, lepiej predysponowani do wykonywania tak trudnej i odpowiedzialnej pracy, jaką jest niewątpliwie otwieranie i zamykanie drzwi w tęczowym Ratuszu. Z – perfekcyjnie spreparowanej – personalnej teczki Jerzego M. wynikało niezbiecie, że jest on zawołanym i oddanym sprawie miłośnikiem płci brzydkiej, który kultuwuje tak antyczne i prężne zainteresowania, od co najmniej siedmiu pokoleń. Cała ta żalosna mistyfikacja legła w gruzach, w ciągu zaledwie kilkunastu sekund. Jerzy M. przepadł na finałowej rozmowie kwalifikacyjnej. Odmówił bowiem – w obecności siedemnastu urzędników – przewiązania opaską oczu, zsunięcia za kolana spodni i gaci, a na koniec wypięcia dupska jak tarczy na strzelnicy wojskowej. Na konferencji prasowej podsumował. Ta kasta jest jak dla mnie zbyt... ciasna.

ORKA

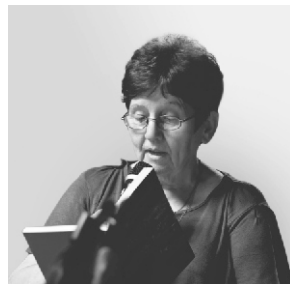
Po każdym rozstaniu z narzeczoną, mniej lub bardziej burzliwym, Marta biegnie do kliniki plastycznej, w której poddaje się rekonstrukcji dziewiczej błony. Fakt ten bardzo dowartościowuje męskie ego kolejnej szowinistycznej ofiary. Podobnie stało się z Jerzym. Niestety, wszelkie próby fizycznego zbliżenia kończą się bolesną klapą. Aż wreszcie Jerzy M. osiąga poziom nieustającej erekcji. Dopiero wówczas słodka i drażniąca Marta, informuje wyposzczonego debila, że odda swój wianek pod warunkiem sfinansowania przez Jerzego operacji przeszczepu mózgu. Zapragnęła bowiem wejść w posiadanie zawartości czaszki orki. Aktywistka poznana w solarium, zapewniła miłośniczce morskich ssaków, że to oczywisty drobiazg. Za symboliczne honorarium zrobi to u siebie w garażu i uczyni zakochaną parę najszcześliwszą na świecie.

CZARNA GODZINA

Znajomy nałożył maskę i kicha na szybę. Stoi dwa metry od M. i zamiast powiedzieć: Dzień dobry, pyta: Jaką masz temperaturę? Jerzy odpowiada pytaniem: A ty, kiedy wróciłeś z Włoch? On pluje na chodnik i kaszle. Za tydzień kończę kwarantannę. M., czym prędzej wycofuje się do apteki. Kupuje standardowy zestaw rycerski. Przyłbicę, gogle i czarne, lateksowe rękawiczki. Taki zapas na czarną godzinę. Na potem. Dla gości. Po powrocie do domu informuję Jerzego, że maskę można zdejmować już tylko podczas jedzenia. Generalnie wówczas, kiedy używamy jamy gębowej. Tego domagały się miłośniczki skrobanek, po konsultacjach z jasnowidzem i babką z lasu. W przyływie czułości uspokajam męża. Jak się rozciągniesz, to sam sobie będziesz mógł wycmokać semafor. Oczywiście z zachowaniem środków higieny.

DOROTA LORENOWICZ

SZPITAL



– Proszę odsłonić pośladek.

Katarzyna przerwała swoje rozmyślania i otworzyła oczy. Stała nad nią pielęgniarka i trzymała w ręku strzykawkę igłą do góry. Powoli naciskała tłoczek i z uwagą przyglądała się maleńkiej kropelce na końcu igły.

– Siostro, na co ten zastrzyk?

– Uspokoi się pani, będzie pani lepiej spała i nic się pani nie będzie śniło.

Na tacy obok leżało jeszcze pięć identycznych, pełnych strzykawek dla jej współtowarzyszek z sali przedoperacyjnej.

Mocne ukłucie i rozchodzące się drętwienie. Dwudziesta pierwsza trzydzieści. Za oknem wilgotna, wiosenna noc, zupełnie cicha – wydaje się, że słychać rozwijające się z pączków liście.

Co robią w domu? On, ten jej Jedyny, był tu wieczorem. Poglaskał ją i nawet powiedział, że wszystko będzie dobrze, ale jakoś niewiele miał czasu. Nie patrzył jej w twarz. Oglądał pilnie wzorki i szlaczki na kafelkowej, szpitalnej posadzce i zaraz poszedł.

Patrzyła, jak odchodzi pustym korytarzem zakończonym napisem WYJŚCIE, potem odwróciła się i poszła w przeciwnym kierunku. Są takie chwile w życiu, które każdy musi przeżyć sam i musi znaleźć dość sił, aby się z tym zmierzyć.

– No, życzę paniom dobrej nocy, jutro o tej porze już będzie po wszystkim – powiedziała siostra i wychodząc zgasiła światło.

Obcy, nieprzyjazny pokój. Naprzeciw jej łóżka trzy inne odwrócone do niej kartą informacyjną zawieszoną w nogach. Z prawej i lewej strony pacjentki: dwudziestoparoletnia dziewczyna i pani po pięćdziesiątce. Przez dwa duże okna zamalowane do połowy białym lakierem wpada światło ulicznej latarni. Ta latarnia już jest z tamtej strony.

Zaśnie i nic nie będzie się jej śniło... Czego się boi najbardziej? Nie tego, że będą ją ciąć, że potem będzie bolało, ale tego, że nie będzie jej przez godzinę, dwie lub trzy, kiedy podadzą jej narkozę. Wtedy wszystko będzie poza zasięgiem jej świadomości, będą robić z nią, co zechcą. Wszystko zależeć będzie od innych! Czy może mieć do nich aż takie zaufanie? I jeszcze ją przywiążą, tak że nie będzie mogła się ruszyć, przypną pasami do stołu! Jak pomyśli o tym, to od razu jest jej duszno i w miejscu, gdzie powinno być serce, trzepoce się strach, napędzając dziwny chłód do żył, tętnic i mięśni.

A jak wybuchnie pożar lub będzie trzęsienie ziemi? Spokojnie, przecież On jej obiecał, że przez cały czas zabiegu będzie stał jak najbliżej sali operacyjnej i będzie

obserwował, czy nie zdarzą się wyżej wymienione kataklizmy. Przyrzekł jej to solennie – więc wierzy, że tak zrobi, i to ją uspokaja. Im nie może wierzyć. Jemu tak. Robi się ciepło i miękko... zasypia...

Jakaś stolarnia, pełno wiórów, sufit i ściany z desek. Powłóczący nogami, brodaty, rozczochrany staruch przypomina majstra Dżeppetto z *Pinokia*. To stolarz. Ona leży na twardym stole, sztywna, wyprostowana, ubrana w czarną suknię. Nad lewą piersią przypiętą ma białą piwonię (ładnie pachnie). Nie może poruszyć głową, próbuje ręką, nogą – nie wychodzi. Jakby jej ciało nie słuchało jej poleceń. Co ona tu robi?

Ten stolarz zbliża się do niej, pochyla i rozkłada centymetr krawiecki. Potem mierzy ją od czubków palców u nóg do czubka głowy. Następnie odwraca się i sprawdza, czy ona zmieści się do trumny, która stoi obok i którą dopiero teraz zauważyła. Katarzyna nie może nic powiedzieć – przecież nie umarła. Operować ją będą dopiero jutro.

Jest cicho, mija kilka chwil, ale znów pojawia się ten stary, rozczochrany człowiek. Odwraca się, znów rozkłada swój centymetr, mierzy ją raz... drugi... trzeci... Ktoś kaszle. Katarzyna otwiera oczy. Światło latarni wpada przyjazną smugą przez górną, niezamalowaną część okna do wnętrza. Ta latarnia jest już z tamtej strony! „Zaśnie pani i nic się pani nie będzie śniło...”

O nie, nie pozwoli sobie zasnąć! Chociaż przez jakiś czas, żeby ten sen rozpląnął się i odszedł daleko. Pomyśli o tym, co lubi. Góry? Góry są pewnie jeszcze w śniegu. Droga na Turbacz zawiana na pół metra lub więcej. Tylko rogate, turystyczne drogowskazy wystają ponad śnieg. Na drutach elektrycznych prowadzących z dołu do schroniska marzną ptaki, a świerki przykryte są białymi, ciężkimi czapami. Ciemno... ciepło...

Okropnie jej twardo na tym stole. Zapach wiórów i świeżego drewna jest nawet przyjemny. Ze szpary między deskami w suficie wylazł pająk. Spadnie na nią? Może nie spadnie? Katarzyna czuje jakiś okropny niepokój. Coś się stanie! Ktoś idzie powłócząc nogami... Rany boskie, to znowu ten stary! Pochyla się nad nią, rozkłada centymetr, dotyka palców jej stóp, a potem czubka głowy. Mierzy ją kilka razy, a potem odwraca się i coś sprawdza. Katarzyna nie idzie za jego wzrokiem. Zaraz, przecież to jej się śni! Musi natychmiast się obudzić! Jeśli się nie obudzi, to ten stary wsadzi ją do tej trumny! Przecież leży w szpitalu i siostra zrobiła jej zastrzyk, a jej mąż będzie tu znowu rano. Przez chwilę walczy z powiekami, które za nic nie chcą się otworzyć, i w końcu je otwiera. Nie wolno jej zasnąć!

Może wstać i przejść się do WC? Ale chłód, który ma pod skórą, nie pozwala jej wyjść spod cieplej kołdry na zimny korytarz. Zasypia...

Teraz już wie, że to jest sen, ale nadal leży sztywno i równo, patrząc w sufit. Stary podchodzi, tym razem długo patrzy na nią i znowu rozkłada swój centymetr. Koniec świata! Ile razy można powtarzać tę samą czynność?

Katarzyna już nie pamięta, ile razy tej nocy budziła się i zasypiała i wszystko powtarzało się w tej samej kolejności. Gdy obudziła się po raz ostatni, było po piątej i siostry roznosiły pacjentkom termometry. Wzięła swój i włożyła pod pachę. Wzdrygnęła się, strasznie zimny! Boże, cóż to za koszmara ją dręczyły? Przecież miało się jej nic nie śnić. „Sen mara, Bóg wiara” – mawia często jej matka.

Katarzyna nie miała pewności co do istnienia Stwórcy, ale chciałaby, żeby był, miała cichą nadzieję, że jest, i wielokrotnie wydawało się jej, że czuje jego obecność.

– Boże, jeżeli jesteś, nie pozwól, żeby to się źle skończyło!

Przecież tylu rzeczy nie zdążyła jeszcze zrobić, tylu miejsc zobaczyć i tak wiele chciała jeszcze napisać. A poza tym, to jeszcze nie zdążyła wychować syna. Jej syn uczy się dopiero w pierwszej klasie liceum. Zawsze bardzo potrzebował domu i bardzo potrzebował jej.

– Trzydzieści siedem osiem – powiedziała siostra, odbierając od niej termometr. – Może się pani denerwuje? Dać coś na uspokojenie?

– Nie siostró – odpowiedziała Katarzyna. – Jestem spokojna, nic mi nie trzeba.

– Tak też myślałam. Jest pani tu od wczoraj rana i pacjentki już panią polubiły. Mówią, że dobrze pani na nie wpływa, często się pani uśmiecha i taki spokój wprowadza pani do otoczenia.

Prawda. Wszystkie panie leżą w tym szpitalu już dłuższy czas. Cykl badań przedoperacyjnych trwa dość długo. Za długo jak dla niej. Wszystkie badania robiła z marszu, nie biorąc zwolnień lekarskich, żeby jak najkrócej tu leżeć. Jest w tym szpitalnym pokoju tylko jeden dzień? Przecież tak dużo się wydarzyło. Wczoraj nie wolno jej było już nic jeść, za to do wypicia dostała potężną szklanę gorzkiej soli, potem hegar, golenie... Wszędzie trzeba było ustawić się grzecznie w kolejce. Te wszystkie czynności wykonywane w biało okafelkowanej, zimnej salce (wyglądającej jak część prosektorium) przypominały obrządek przygotowywania zmarłego do pochówku. Czula upokorzenie. Czula się tak, jakby ktoś zdarł z niej całą kobiecość, pozbawił intymności, zabrał miękkość i ciepło jej ciała. Dobrze, że On nie może jej teraz zobaczyć. Co w domu? Na pewno śpią jeszcze. Słysząc tykanie budzika, który za jakieś pół godziny zadzwoni. Wtedy wstaną, będą musieli sami zrobić sobie śniadanie i kanapki na cały dzień.

Katarzyna już wie, że wezmą ją na zabieg jako drugą, pierwsza idzie ta młoda dziewczyna. Za kwadrans przychodzą dwie pielęgniarki i zabierają je obydwie. Chłód pustych korytarzy i chłód wewnątrz niej. Mijają jakieś sale zabiegowe, gdzie pielęgniarki wykonują jak co dzień te same czynności: rozdzielają do pojemniczków leki, czyszczą narzędzia, wyrzucają zużyte waciki. Są po prostu w pracy i jest im obojętne, że właśnie ona przechodzi obok, że za chwilę „przestanie istnieć” i kilku lekarzy z maskami na twarzach będzie ją kroić jak rzecz. Potem wszystko potoczyło się już bardzo szybko: „głupi Jaś”, po którym wcale nie było jej wszystko jedno, wózek, którym wwieziono ją na salę operacyjną, i lampy w suficie rzucające oślepiające białe światło. I wtedy zobaczyła ich! Mieli zasłonięte twarze i skupione na niej oczy. Było ich trzech. Musiała przejść jak dziecko na czworakach z wózka na stół. Jeszcze mogła o własnych siłach, potem pewnie ją przeniosą.

Poczuła, jak siostra przypina jej paskiem do stołu lewą rękę, a anestezjolog wbija jej w żyłę ewipan, mówiąc, że zaraz zaśnie. Narkozę podadzą potem. Jej myśli biegają w popłochu. Czy On jest gdzieś blisko? Czy myśli teraz o niej? Na pewno jest! Stoi może za tymi wielkimi, białymi drzwiami? Uchwyciła się tej jednej myśli mocno... bardzo mocno... i z nią zapadła się w nicość.

– Proszę pani, niech się pani obudzi! Proszę popatrzeć na mnie.

Strzepywała z siebie miękką ciemność i powoli otwierała oczy. Okna... pomalowane do połowy białym lakierem, szpitalne okna, za nimi dzień, świeci słońce. Próbowала się poruszyć, potworny ból! Chyba nigdy w życiu nic jej tak nie bolało. Szybko zamknęła oczy. Jak spała, to nic nie czuła.

– Proszę pani, niech się pani obudzi! Mąż cały czas stoi na korytarzu. Nic okropnego się nie wydarzyło. Już po wszystkim!

Z obawą i nieufnością otworzyła oczy jeszcze raz. Znajomy lekarz pochylał się nad nią i energicznie klepał po twarzy. Napotkał jej wzrok i uśmiechnął się tak, jakby im obojgu coś bardzo ważnego się udało.

– Boże – szepnęła Katarzyna. – Ja żyję!

JAN M J MASŁYK

TRYPTYK Z PERSPEKTYWĄ...



Perspektywa 1 – Ach te czasy...

Rozmowa dwóch starsuszków:

- Wiesz, że zmarł Janek
- A ile miał lat?
- Jakies siedemdziesiąt – po chwili – popatrz, taki młody i już nie żyje
- Tak, widać, że coraz młodszy umierają...

Perspektywa 2 - Miłość nie wybiera...

Rozmowa nastolatek:

- Widzisz ją?
- O kim mówisz?
- O tej, z tym, tam, widzisz?
- Tak, a kim on jest?
- To bez znaczenia, jest stary
- Co Ty, ma dopiero dwadzieścia lat...

Perspektywa 3 - Broda i wąsy...

Rozmowa ojca z synem:

- A ci młodzi, za naszych czasów...
- Jakich czasów? – pyta młody
- Jak dorośniesz to się dowiedz
- A kiedy dorosnę?
- Gdy będziesz miał wąsy i brodę
- Tato, a dlaczego ty golisz się codziennie?



DANUTA PERIER-BERSKA

WDOWIE PUZZLE

Było jej zbyt duszno, aby po upalnym dniu spać przy zamkniętym oknie. Ociągając się wstała z łóżka i delikatnie stawiając stopy na puszystym dywanie, dotarła do drzwi balkonowych. Złapała za klamkę i energicznym ruchem otworzyła je na całą szerokość. Miała smutek w sercu, już od paru dni karmiła go własnymi wspomnieniami. Próbowwała zająć myśli, ale nic nie pomagało. Wiedziała, że ten czas będzie trwał do końca lipca, a potem, jak co roku, ustąpi, a raczej osłabnie dopiero po Wszystkich Świętych.

Spojrzała na niebo. Jedna z gwiazd zamrugła do niej przerywanym blaskiem, przynajmniej tak się jej wydawało. Uśmiechnęła się do własnych myśli. Światło tej gwiazdy było odbiciem blasku Jego oczu, a może to było tylko złudzenie tęskniącej za dawną miłością kobiety. Złapała głęboki oddech i przeskakując wzrokiem z jednej gwiazdy na drugą bawiła się nimi, jakby znów była małą dziewczynką.

Zerwał się lekki wiaterek, był zbawienny w tę duszną noc. Stojąc w drzwiach balkonu, przywoływała w myślach tamte chwile pełne Jego słów, dotyków i obietnic. Pamięta dobrze, jak sklejali z nich latawce i puszczali w aksamit nocy z nadzieją, że osiadą na najjaśniejszej z gwiazd.

Firanka wydeła się jak nadmuchany balon, zdziwiona, gdy ujrzała na szybie jego odbicie, tak jak wtedy, kiedy On żartując próbował zrobić z niej welon dla swojej przyszłej żony. Ich dwoje na małym balkonie VI piętra zawieszonym w przestrzeni czarnej nocy i tylko światła okien w bloku naprzeciwko były świadkami tej sceny, która już nigdy się nie powtórzyła.

Z głową zwróconą na południe śledziła wzrokiem wędrówkę księżyca, uwodził ją spojrzeniem, w którym kryła się rozterka połączona z niemożliwością spełnienia jej obietnicy.

Ktoś w bloku naprzeciwko otworzył szeroko okno, nie była to postać kobiety, ale masywnego mężczyzny, który wyszedł zapalić papierosa. Widziała, jak skrzący się w mroku ogień wykonuje ruch, 20 cm do przodu i z powrotem z małą przerwą na wdech i wydech dymu z płuc. Kiedyś sama paliła papierosy, więc potrafiła doskonale utożsamiać się z tymi ruchami. Dzisiaj miała ten czas za sobą. W pamiątkowym pudełku leżała srebrna cygarniczka, pamiątka po ojcu jej męża, z pięknie grawerowanymi inicjałami AB. Czasami otwierała pudełko, z którego wydobywał się zapach tytoniu, zapach, który przywodził jej na myśl dawne czasy.

Lubiła grzebać w przeszłości, bawić się wspomnieniami. Wtedy w jej sercu następowała przemiana, nie obchodziło ją, co się dzieje tu i teraz, po prostu tonęła w prze-

pastnej przestrzeni tego, co już było. Nie wołała ratunku ani pomocy, a kiedy żywił sam wyrzucił ją na brzeg wyobraźni, próbowała ratować się słowami „nic mi nie jest”. Bo tak właściwie nic jej nie było, ot – kilka skaleczeń, małe siniaki i nieregularny rytm serca, który wracał do normy po kilku godzinach.

Godziny... Te, które złożyły się na jej dotychczasowe i przyszłe życie. Te dobre i te złe i te, które gdzieś się rozplynęły, a po których nie został nawet ślad, jak i te cudowne, które pielęgnuje po dzisiejszy dzień.

Niebo naciągnęło koldrę z chmur pod samą szyję i tylko błąda poświata księżyca dała jej do zrozumienia, że czas spędzony na balkonie dobiegł końca. Pomału wróciła do łóżka, ale nie zasnęła. Jak do poduszki przytuliła głowę do wspomnień, tych najpiękniejszych z pięknych. Kiedy wspomnienia zamieniały się w sen tak realny, jak to było naprawdę, zasnęła.

Kochała śnić dobre sny, to tak jakby wskrzesiła tamto życie, które niczym nie różniło się od tego prawdziwego, bo też miało swoje zakończenia.

Sny traktowała jak bezpłatny seans. Jedno, do czego nie miała prawa, to wybierać kategorii sennego seansu. Niektóre ze snów były cudnie kolorowe, niosły optymizm, który stawiał ją na nogi na kolejny dzień. Bywały sny bez zakończenia, jakby miały dać jej nadzieję na ciąg dalszy, wtedy próbowała na siłę zasnąć, ale nigdy nie udało się jej wrócić do tej sennej krainy. Gubiła drogę, więc wstawiała, zaczynając dzień z nadzieją, bo tylko nadzieja dawała jej szansę i siłę istnienia w tym jakże realnym i jakże pięknym pełnym tajemnic życiu.

Niektórzy dziwili się jej, że pomimo tylu trudnych chwil, które przeżyła, przepelnia ją nadzieja. Ale ona znalazła na to odpowiedź, która sama urodziła się w jej duszy. Przez trud doświadczeń dostała od losu dar porównania i gdyby nie los, który pokierował jej życiem, sama nigdy nie zgodziłaby się na taki odważny i bolesny eksperyment. Przeżyła dwie miłości – obie piękne, i obie przerwane z woli Boga, ale w nagrodę za ból rozstania dostała piękne wspomnienia. Każde z przeżytych doświadczeń nauczyło ją bardzo dużo. Ona już wie, że ten wyjątkowy egzamin, (bo dotyczący nieodwracalnych sytuacji w życiu) zdała z dobrym wynikiem. Życie nauczyło ją żyć w przyjaźni z nadzieją, bo wielokrotnie właśnie nadzieja pomogła jej uwierzyć w lepsze jutro.



MACIEJ PINKWART

BOSKA CZĄSTKA

Za każdym razem, gdy na nią patrzył, wydawało mu się, że złapał Pana Boga za nogi. Była z pewnością najpiękniejszą kobietą, jaka znalazła się w jego życiu. Więcej – była spełnieniem wszystkich jego marzeń: i uroda, i figura, i sposób, w jaki pokazywała swoje uczucie do niego były właśnie takie, jakie powinny być, więc kolejny już raz czuł się tak, jakby nieoczekiwanie wygrał na loterii, w dodatku nie kupując na nią losu, tylko znajdując go przypadkiem. Byli ze sobą już kilka lat, ale gdy przychodził taki wieczór jak dziś, coś chwyciło go za gardło i oczy robiły się wilgotne. Miał wrażenie, ba! – wiedział, że na nią nie zasłużył, że to jakiś wyjątkowo długi sen, że za chwilę zadzwoni budzik i trzeba będzie to wszystko porzucić i iść do takiego miejsca, gdzie nie będzie Anny, ani tego pokoju z ubraną choinką, ani śniegu padającego za oknem, ani dalekich światel Genewy gdzieś na horyzoncie.

Na wspólny wieczór zawsze wkładała lekką, powiewną sukienkę, która pozwalała jej chwalić się długimi i wciąż jeszcze opalonymi nogami, miała świeżo umyte, rozpuszczone włosy, a makijaż, choć prawie niewidoczny, podkreślał jej błyszczące oczy, gęste rzęsy i brwi. Mimo że w swoich środowiskach uchodzili za trwały związek, a większość osób zapewne uważała ich za małżeństwo, nigdy nie zamieszkali razem na stałe, także i dlatego, że oboje mieli nieregularną pracę, w której zdarzały się nocne dyżury i długie, kilkudobowe zlecenia, a także nagłe wezwania do pilnych zadań. Ale przede wszystkim nie chcieli pozbawić swojego związku atmosfery wciąż nieco ukrywanego romansu i popaść w rutynę, która mogłaby się wkraść w ich dzień i noc, gdyby następne chwile były podobne do poprzednich i gdyby na sto procent wiedzieli, jaka czeka ich przyszłość. A tak codziennie, a w każdym razie za każdym razem, gdy spędzali wspólny dzień, wieczór i noc wiedzieli o tym, że o temperaturę tego romansu muszą dbać oboje równie silnie, jak za pierwszym razem.

Choinka była niewielka i ozdobiona tylko srebrnymi bombkami i białymi kokardami, a kilka umieszczonych na nich lampek świeciło blado-żółtym światłem. Anna jak zwykle trzymała nogi na jego kolanach i patrzyła na niego uważnie przez napełniony do połowy kieliszek. Uśmiechał się za każdym razem, gdy na nią zerkał, ale nie mógł powstrzymać się od tego, że co i raz jego spojrzenie uciekało w stronę stojącego w kącie pokoju niewielkiego telewizora. Odbiornik miał wyłączony głos, ale wiadomości nadawane w oryginale z Berna po niemiecku były tłumaczone na paskach na włoski i francuski.

Anna odstawiła kieliszek na niski stolik, spuściła bose nogi na podłogę i położyła mu rękę na ramieniu, jednocześnie poprawiając mu przekrzywiony krawat. Już nie dziwiło

jej to, że w takie wieczory ona jest niemal rozebrana, a Andrzej zawsze ma elegancką koszulę, krawat, wyprasowane spodnie i półbuty. Wiedziała, że tam, skąd przyjechał do Szwajcarii, elegancki ubiór jest deklaracją szacunku dla osoby czy osób, wobec których się go okazuje. Elegancja mężczyzn to marynarka, maskująca niedoskonałości figury i krawat, odwracający od nich uwagę. A elegancka kobieta, no cóż – co by krytycznego nie mówić o seksistowskich projektantach i erotycznym podejściu mężczyzn do kobiet – zawsze w pewien sposób eksponuje to, co jest w niej szczególnie kobiecego. I nie powinien to być cellulit.

– Coś się dzieje? Stało się coś w Instytucie?

– Nie, nic. Odruchowo tylko sobie patrzę. Jest włączone, to patrzę.

– Naprawdę nie masz na co patrzeć?

Wstała powoli i stając między nim a telewizorem rozpięła sukienkę, która miękko zsunęła się na podłogę. To co pozostało, raczej eksponowało niż ukrywało pałdziernikową opaleniznę, złapaną podczas kilkunastodniowego pobytu w Afryce. „Ostatnie wakacje” – pomyślał mimo woli i odruchowo się uśmiechnął. „Może warto było zostać?”.

– Idę pod prysznic. Masz 15 minut na dokończenie wiadomości. Potem może już wyłączysz, co?

Znów się uśmiechnął, skinął głową i chciał ją objąć, ale wywinęła się zręcznie i zabierając z podłogi sukienkę zniknęła w korytarzu. Sięgnął po pilota, jednocześnie rozwiązując krawat. Zdjęcia na ekranie pokazywały słynną rzeźbę tańczącego Sziwy, usytuowaną właściwie nie wiadomo dlaczego przed głównym wejściem do CERN, potem kilka standardowych ujęć Zderzacza – z jedynej komory, do jakiej sporadycznie wpuszczano reporterów, wreszcie na ekranie pojawiła się Rosalia Lombardo. Dyrektorka Europejskiej Organizacji do Badań Nuklearnych, zwykle świetnie zadbana i wyglądająca znacznie młodziej, niż wskazywałyaby na to jej metryka, tym razem sprawiała wrażenie, jakby miała za sobą najpierw nieprzespaną noc, a potem długą i nudną konferencję Rady Naukowej. Zapewne jedno i drugie było prawdą, ale konferencja z pewnością nie była aż tak nudna, żeby dało się na niej odespać zarwaną noc. Na pewno nie mogła tego zrobić przystojna Włoszka, której ręczne sterowanie wszystkimi i wszystkim było jedną z przyczyn, dla których Andrzej raczej trzymał się od niej z daleka, a ona od pewnego czasu dawała mu do zrozumienia, że kiedy, zgodnie z ustaleniami, ich współpraca się skończy, raczej nie będzie za nim płakać. On jednak miał powody, by interesować się jej wypowiedziami. Włączył dźwięk.

Lombardo mówiła po francusku, więc na pasku pod spodem obok włoskiego pojawiło się tłumaczenie niemieckie. Nagranie musiało być wykonane kilka dni temu, bo w tle niebo było zachmurzone, ale słońce stało wysoko, a na ziemi leżała cienka warstwa śniegu, która już wczoraj stopniała. Dyrektorka spokojnym, monotonnym głosem informowała, że organizacja dziś pracuje mimo rozpoczynającego się weekendu przedświątecznego, bo udało się uzyskać dla CERN-u potrzebne, czyli wielkie źródło energii, które może zainicjować kolejny eksperyment polegający na falowym zderzeniu setek bilionów wolnych protonów, dzięki czemu można się spodziewać uzyskania

w Wielkim Zderzaczu Hadronów pewnego obszaru, który będzie działał jak przestrzeń Higgsa po Wielkim Wybuchu, gdzie tak zwane boskie cząstki, czyli bozony Higgsa, 14 miliardów lat temu zainicjowały powstawanie materii. I ośmiela się mówić o tym do szwajcarskich widzów w sobotni wieczór dlatego, że owa inicjacja energetyczna polega na przesłaniu do Zderzacza Hadronów znacznego ładunku elektrycznego, pochodzącego z elektrowni atomowej w Mühlebergu. Podłączenie nowego źródła zasilania spowoduje niewielką, kilkuminutową przerwę w dopływie prądu do mieszkańców zachodniej części Szwajcarii, za co władze CERN przepraszają. Elektrownia ta, jak wiadomo, zostanie ostatecznie wyłączona właśnie dziś, 20 grudnia 2019 r., więc w zasadzie będzie to ostatnie wykorzystanie jej wielkich możliwości, z których korzystano przez blisko pół wieku.

Rosalia mówiła spokojnie, uśmiechała się, ale Andrzej poznał ją na tyle dobrze, żeby wyczuć w jej głosie ogromne napięcie, żeby nie powiedzieć – strach. Dyrektorka znikła z ekranu, prowadzący wiadomości dodał, że blackout nastąpi o dziesiątej trzydzieści, czyli za godzinę i potrwa najwyżej 3-5 minut. Jeśli eksperyment pozwoli na odtworzenie warunków, jakie panowały we wszechświecie w pierwszych milisekundach po Big Bangu, będzie to wielki krok w dziejach ludzkiej nauki.

Spiker miał taką minę, jakby ten krok już teraz sprawił mu wielką przyjemność, a on chciał tą przyjemnością podzielić się z widzami.

– A na jutro, proszę państwa, zaprosiliśmy do telewizji śniadaniowej profesora Petera Higgsa, który obecnie znajduje się w Meryin, w CERN-ie i objaśni naszym widzom, w jaki sposób podejrzwał Pana Boga, i jak działa słynna boska cząstka. A oto dalsze wiadomości...

Wyłączył telewizor. Z łazienki słychać było szum prysznica. Zaczął rozpinąć koszulę, ale przy drugim guziku zatrzymał się i wstał. A więc Lombardo jednak się bała, mimo swojej słynnej pewności siebie... Była żelazną damą Organizacji i swoistym geniuszem zarówno naukowym, jak i organizacyjnym. Czy chodzi tu o znaną awaryjność Mühlebergu? Nie, skądże. Możliwość, że CERN zafunduje Szwajcarii drugą Fukushima, nie mogła w ogóle być brana pod uwagę. Rozmawiali już o tym kiedyś i było pewne, że nic takiego im nie grozi. Reaktor, który szedł już niemal na jałowym biegu, miał od lat aż nadmiarowe zabezpieczenia, a trzęsienia ziemi raczej w Szwajcarii się nie przewiduje. Poza tym ma to trwać tylko chwilę, potrzebną na jednorazowe przesłanie do Zderzacza wielkiego ładunku energetycznego. Jak wielkiego? Tego nikt dokładnie nie wiedział, bowiem nie do rozwiązania było równanie z jedną, poważną niewiadomą: znana była moc wyjściowa zarówno obecnego generatora mocy w CERN-ie, jak i elektrowni atomowej, ale nie wiadomo było, czy potraktowany w ten sposób strumień protonów nie odda Zderzacowi części swojej energii, uzyskiwanej choćby wskutek anihilacji drobin antymaterii, powstającej podczas tego procesu. Ile będzie tej antymaterii w nowych okolicznościach także nie można było przewidzieć. Odtworzenie do mini-, czy mikroskali warunków Wielkiego Wybuchu mogło spowodować efekt energetyczny o wielkości, jakiej nawet nie potrafiono dokładnie obliczyć. Do tej pory zderzenia protonów nie były groźne – jeśli nawet w ich wyniku powstawała pewna ilość

antymaterii, była natychmiast anihilowana, a energia wracała do tego źródła skąd przyszła. A jeśli dojdzie do niekontrolowanej gorącej fuzji termonuklearnej?

Przypomnił sobie opinie Stephena Hawkinga. Kiedyś profesor z Cambridge przestrzegał przed tym, że w Wielkim Zderzaczu Hadronów może wytworzyć się mała czarna dziura, która wydostanie się na zewnątrz i pochłonie wszystko, jak Baba Jaga porywane dzieci. Brzmiało jak kosmiczna bzdura: nie ma małych czarnych dziur, wytwarzanych w laboratoriach. Gdyby to było możliwe, już dawno naukowcy z CERN-u byłiby proszeni na konsultacje do Pentagonu. Ale tuż przed śmiercią kaleki fizyk pisał mniej więcej to samo, czego i on się obawiał – powtórzenia warunków, jakie towarzyszyły Wielkiemu Wybuchowi. Momentowi, kiedy powstają nie tylko *wszechświaty niemowlęce*, ale też kiedy umierają *wszechświaty starcze*. Jeśli prawdziwa jest hipoteza o cykliczności wszechświata – każde jego odrodzenie, które może być powtórzeniem Big Bangu, będzie poprzedzone zniszczeniem poprzedniej wersji. I wcale nie musi to polegać na powtarzającym się rozszerzaniu do granic wytrzymałości odpychania elektrostatycznego i potem grawitacyjnego zapadania się aż do *osobliwości*, nieskończenie małego punktu, którego energia w wyniku Wielkiego Wybuchu znów przekształci się w materię i będzie ją rozrzucać ponownie. Może po prostu nastąpić zniszczenie starego w wyniku powstawania nowego...

Gdzie był artykuł, w którym zmarły niedawno fizyk o takiej możliwości pisał? Oczywiście, u niego w domu. A już na pewno w CERN-ie. Przecież na pewno go czytali, analizowali i wzięli wszystko pod uwagę. Sparaliżowany geniusz obawiał się, że *cernowcy* – jak ich nazywał – postępują jak uczeń czarnoksiężnika: znają zaklęcie, które zmusi miotłę do przynoszenia kublów z wodą, ale nie znają takiego, który ją potem powstrzyma. Nie można stworzyć przestrzeni Higgsa, a potem ją wyłączyć. To znaczy, pewno można, tylko nikt tego nigdy nie robił. Była jeszcze jedna kwestia, którą sugerował Hawking i która z boską cząstką nie miała wiele wspólnego, więc pewno dlatego nikt jej poważnie nie brał pod uwagę. A już zwłaszcza nie Rada Naukowa, która odrzuciła kiedyś oficjalnie i a priori wszystkie zastrzeżenia Hawkinga, sugerując mu, żeby wrócił do problemu czarnych dziur i nie wtrącał się do ich pracy, na której się kompletnie nie zna. Chodziło o niesprawdzoną doświadczalnie poza laboratorium możliwość masywnej zamiany energii na materię. Czyli praktyczne wykorzystanie Einsteinowskiego $E=mc^2$.

Andrzej kiedyś powiedział o tym głośno dyrektorze. Nie, nikt go od razu z CERN-u nie wyrzucił, choć Rosalia dała mu do zrozumienia, że przy takich różnicach poglądów nie widzi możliwości dalszej współpracy. Po prostu zrobiło się tak, że wszystkie ważne sprawy go omijały, a dyrekcja w zasadzie traktowała go jak zbytecznego archiwistę. Lombardo wcale się nie zdziwiła, a już na pewno nie zmartwiła, kiedy zgodnie z jej dawniejszą sugestią złożył wypowiedzenie. Którego termin mijał w Sylwestra, a od nowego roku musiał zdecydować o nowej pracy: w Szwajcarii, we Francji czy w Polsce, do której mógł przecież wrócić i zostałby przyjęty z otwartymi ramionami przez każdą placówkę naukową, zajmującą się atomistyką. Ale nie wiedział, czy tego akurat chce. Wiedział natomiast, że te rozważania są kompletnie bezprzedmiotowe, jeśli ostrzeżenia

Hawkinga, a także jego własne przemyślenia, okazały się słuszne. Satysfakcji z tego nie będzie żadnej, bo nie będzie komu jej przyznać. Niestety, nie będzie też kto miał przyznać.

Włożył sweter i kurtkę, znalazł kluczyki do swojej toyoty, które wcześniej rzucił koło szafki z butami.

– Nie gniewaj się, muszę wyjść, coś jednak się stało – zapukał do łazienki – czekaj na mnie, będę za pół godziny.

Ale wiedział, że jeśli się nie myli, to czy wróci kiedykolwiek zależy od dwóch spraw: czy jego stara toyota szybko pokona trzy kilometry od domu Anny do CERN-u i czy zdoła przekonać strażników, żeby wpuścili go do Rosalii. To pierwsze było prawie pewne. To drugie prawie niemożliwe. I dlatego te pół godziny było tylko rytualnym zapewnieniem, wystarczyłoby powiedzieć, że wróci za chwilę. Ale Anna była policjantką i żądała zawsze konkretów.

Tym razem jednak prysznic szumiał tak głośno, że to, w jaki sposób Andrzej kłamał, nie miało żadnego znaczenia.

*

Wielka sala audytorium CERN-u była zapelniona do ostatniego miejsca, najwięcej było oczywiście pracowników Europejskiej Organizacji do Badań Nuklearnych, w tym – fizyków, sporo dziennikarzy, głównie z popularnych pism Francji i Niemiec, były też niemal w komplecie władze Genewy oraz ministrowie nauki Szwajcarii i Francji. Co jak co, ale stary Dieter Müller, dyrektor CERN-u, miał łeb do interesów i dobrą rękę do PIAR-u. Był też, oczywiście, świetnym fizykiem, ale to w tym momencie nie miało większego znaczenia. Rządził organizacją od trzech lat i jeszcze drugie tyle było przed nim. Wszyscy patrzyli na wielki zegar, zawieszony specjalnie na tę okazję na głównej ścianie: na co dzień zegarków w CERN-ie nie szanowano, uważając, że czas nie istnieje, jest jedynie czasoprzestrzeń, której przecież na ścianie nie da się powiesić. Andrzej, niezręcznie czujący się wśród starych CERN-owskich wyjadaczy wciąż miał wrażenie, że jest tu traktowany jako czeladnik wśród mistrzów: przyjechał zaledwie trzy lata temu, rok po doktoracie z fizyki, który obronił na warszawskim Uniwersytecie w dwa lata po doktoracie z psychologii w Krakowie i w pięć lat po ukończeniu teologii w Lublinie i uzyskaniu święceń kapłańskich. Związek z kościołem trwał jednak krótko i zakończył się, tak jak dzieje się to najczęściej, nie przez naukę, tylko przez kobietę. Zrzucił sutannę, ożenił się – i to też okazało się pomyłką, więc poświęcił się całkowicie fizyce teoretycznej. W Szwajcarii znalazł się już jako świecki naukowiec, zaproszony przez Radę, dla której stanowił ciekawe połączenie specjalności, dotychczas w CERN-ie niepotrzebnych. Koledzy z jego rocznika śmiali się, że odkąd dawna Rada – czyli *Conseil Européen pour la Recherche Nucléaire* przekształciła się w *Organisation Européenne pour la Recherche Nucléaire*, ale zachowała dawny akronim CERN – zaczęła kroczyć drogą prowadzącą ku zagadnieniom zupełnie niezrozumiałym dla zwykłych ludzi, czego najlepszym wyrazem było poszukiwanie czarodziejskiej przestrzeni, a potem bozonu Higgsa, który nazwano boską cząstką – teolog i psycholog stał się jednym z najpotrzebniejszych członków

firmy. Złośliwi, a może bardziej zdystansowani mówili, że jeszcze lepszy byłby egzorcysta z dodatkową specjalnością z psychiatrii.

Rozejrzał się dookoła. Mimo ewidentnie uroczystego nastroju zarówno na sali, jak i na scenie nie było widać specjalnej celebry, przynajmniej w stroju. Ministrowie i mer Genewy byli w marynarkach, ale w rozpiętych koszulach, reszta przeważnie w dżinsach i lekkich swetrach. *Dresscode* obowiązujący w CERN-ie polegał na zupełnym braku *dresscodu*. Ci, którzy przykrywali brzuszek, nosili marynarki typu *oversize*, pozostali swetry, koszule, flanelowe i bawełniane, czasem t-shirty. Obok niego właśnie stał młody profesor z Harvardu, ubrany w koszulkę ze znanym, wręcz kultowym wizerunkiem szalonego Einsteina, wywalającego wielki język. Andrzej pomyślał, że niewiele brakowało, a ludzie zaczęliby nosić t-shirty z wykrzywioną twarzą nieszczęsnego Hawkinga, ale i on, i jego teorie nie były w Genewie dobrze przyjmowane. Jako naukowiec z Polski był przyzwyczajony do oficjalnego występowania w marynarce i z krawatem, choć zazwyczaj towarzyszyły temu dżinsy. Krawat, a nawet garnitur miał także dyrektor Müller, ale on miał już prawie 65 lat, a poza tym liczył na to, że pokażą go wszystkie telewizje świata, a przekaz obejrzy przynajmniej kilku liczących się sponsorów CERN-u, no a oni, jak wiadomo, lubią lokować swoje pieniądze w przedsięwzięcia spokojne, eleganckie i klasyczne. To, na co pieniądze te były w CERN-ie wydawane – spokojne, eleganckie, a zwłaszcza klasyczne raczej nie było, więc musiał na takiego wyglądać przynajmniej dyrektor. Kiedy telewizji nie było, pod marynarką nosił koszulkę polo.

Andrzej spojrzał na pierwszy rząd. W samym środku jak pomnik tkwił Peter Higgs, którego teorię w ostatnich latach próbowano w CERN-ie potwierdzić przy pomocy Wielkiego Zderzacza Hadronów. Wszyscy naturalnie wiedzieli, że doświadczenie się udało, że staruszek otrzyma dziś swój bozon w ładnym opakowaniu, ale udawali, że o niczym nie wiedzą, a Higgs robił taką minę, jakby zobaczył swojego starego przebranego za świętego Mikołaja, ale postanowił udawać, że to krasnolud z Rovaniemi, przebrany za jego starego. Żeby nie było, że to ustawka, przyjechał ze swojego Edynburga w wypchanych na kolanach spodniach i sztruksowej koszuli. Ot, wpadł na chwilę do znajomych na kawę i siłą go wyciągnęli na imprezę. Andrzej pomyślał, że wołałby zobaczyć Higgsa w kilcie z tartanu i z wielkimi dudami na ramieniu.

Była minuta do południa, kiedy na scenę wbiegł młody laborant w poplamionym białym kitlu, wyglądający jak student na ćwiczeniach z chemii. Andrzej, który stał z boku i doskonale widział, co dzieje się w kulisach za sceną, zauważył, że chłopak stał tam już od dobrych kilku minut, patrzył na zegarek w komórce, doczekał stosownej pory, włożył fartuch i udając zasapanego wbiegł na scenę, wymachując plikiem kartek, dla efektu wyrwanych z archaicznej drukarki na papier perforowany. Teatr był tak naciągany, że Andrzejowi zrobiło się wstyd, bo myślał, że wszyscy widzą tę inscenizację. Może i widzieli, ale z zapalem uczestniczyli w przedstawieniu. Sala zamarła w ciszy, laborant podał kartki Müllerowi, dyrektor zmarszczył brwi, nasadził okulary na nos, przerzucił dwie strony uważając, by nikt nie zauważył, że kartki są puste, pokiwał głową i podszedł do mikrofonu. Zdjął okulary, pomachał czystymi kartkami i prawie wykrzyczał:

– Panie i panowie! Wydaje się, że go mamy! Mamy go!

Huragan braw chciał rozsadzić salę, a Dieter mało się nie przewrócił zeskakując ze sceny, wpadł na starego Higgsa, którego uściskał namiętnie jak Francuz Włoszkę, po czym ostrożnie wprowadził go na scenę, gdzie Szkot kłaniał się jak primadonna albo zdobywca Złotej Piłki. Wyraźnie widać było, że chciałby wziąć ten bozon w ręce i podniósłszy do góry pokazać publiczności, niestety cząsteczka jest raczej mała i krótko żyjąca, więc poprzestał tylko na wzniesieniu do góry ramion i potrząsaniu nimi w stronę sali. Wyglądał jak papież w oknie bazyliki św. Piotra podczas środowowej audyencji.

Kiedy telewizje już sobie poszły, członkowie Rady wraz ministrami, władzami miasta, sponsorami i ojcem chrzestnym bozonu przenieśli się do małej sali konferencyjnej, gdzie urządzony był bankiet, dla – jak to określono – uczczenia schwytania bożej cząstki. Andrzejowi trafił się do obsługi przedstawiciel firmy „Bata” – co było pewnym zaskoczeniem, bo nie potrafił sobie wcześniej wyobrazić, że producent butów – głównie kojarzyły mu się z tym kalosze, w okolicach Krakowa zwane *baciokami* – może finansować badania nad cząstkami elementarnymi. Ale ponieważ gość pochodził ze Słowacji, z rozbudowanego przez jego firmę miasteczka Batizovce, więc ktoś z kierownictwa uznał, że Słowak z Polakiem dogada się najlepiej. Więc rozmawiali – po angielsku. Po trzecim kieliszku szampana sympatyczny rzecznik z plakietką, przedstawiającą elegancki trzewik spojrzał mu z bliska w oczy i spoglądając na jego wizytówkę na smyczy, spytał prosto z mostu:

– André, czy możesz mi powiedzieć, coście to odkryli? Czy z tego będzie jakiś biznes? Co on robi, ten *bizon Higgsa*?

„Dobre pytanie”, pomyślał. Odstawił kieliszek na podstawę doniczki od palmy, bo do wytłumaczenia potrzebował obu rąk. Po namyśle doszedł do wniosku, że pełen wykład o bozonach i fermionach musiałby zacząć od życiorysu ich ojców chrzestnych, a specjalnie dobrze nie znał działalności hinduskiego fizyka Satyendry Natha Bose, poza tym że współpracował z Curie-Skłodowską i Einsteinem, zaś o Fermim wiedział tyle, ile trzeba było do zdania egzaminu z promieniotwórczości sztucznej. Zresztą obaj działali jeszcze na długo przed tym, nim facet z butem na wizytówce się urodził, więc byli dla niego kimś równie odległym, jak pramatka Ewa z Rowu Afrykańskiego. Postanowił więc wziąć bizona za rogi bez żadnych wstępów:

– Ten gościu Higgs, tam pod palmą co stoi, wymyślił, że jak się zrobił Big Bang, czyli powstało coś z niczego, to najpierw w tym niczym było tylko światło i pusta przestrzeń. I dopiero potem w tej pustej przestrzeni ze światła powstały gwiazdy, planety, Szwajcaria, Wielki Zderzacz Hadronów i firma Bata. Ale coś musiało zapoczątkować to zagęszczanie się energii w materię, musiał istnieć jakiś ośrodek kondensacji, jak drobinki pyłu, na których para wodna skrapla się w deszcz. I te drobinki to były te bozony, czyli cząstki elementarne bez żadnych cech szczególnych, bez ładunku elektrycznego, spinu, koloru, no – bo bez niczego. Na nich się ta materia zaczęła osadzać, a one same już potem nie były potrzebne i żyły sobie dalej, materializując tę materię w innych częściach wszechświata...

Język mu się plątał, popił z wysokiego kieliszka. Johann Thomas Dušan słuchał uważnie i wyglądało, że naprawdę mu zależy, żeby zrozumieć. Ale przeprosił Andrzeja gestem ręki, wziął puste kieliszki po szampanie i po chwili wrócił z dwiema lampkami koniaku. Wypili, rozmowa potoczyła się dalej i lepiej.

– No więc to, co ten Higgs tylko wyspekulował, myśmy zobaczyli i sfotografowali. Bozon jak byk, wyskoczył z tego zderzenia protonów, czyli istnieje naprawdę.

– A dlaczego to ma być boska cząstka?

– No bo działa tak, jak według Biblii działał bóg: stała się światłość i Bóg stworzył niebo i ziemię. A u nas po tej światłości niebo, czyli gwiazdy i ziemię, czyli planety stworzyły te bozonowe katalizatory.

Lampeczki wyschły, Andrzej zamienił na pełne.

Dušan się napił, pomyślał chwilę i powiedział:

– No dobra, to mamy te boskie cząstki. I co, one znowu będą tworzyć niebo i ziemię, następne? Inne niż te, co już są? I nie będę pytał, skąd się wzięła ta energia, która zrobiła te bozony, bo pewno mi powiesz, że tego *biezvodki nie razbieriosz*, jak mówią nasi ludzie we Władywostoku. Albo, że to tak lata w kółko: wybucha, tworzy się materia, rozszerza się, kurczy, znów wybucha. Ale ludzie będą i tak o tym mówić, pomysł z rozłożeniem przez tego Szkota Boga na cząstki się przebieje. Naprawdę niezłe, wchodzimy w to.[...]



ANNA PITUCH-NOWOROLSKA

WULKAN

Wulkan mruczał, ale bezgłośnie. Wysoki szczyt, jak zwykle okrywały poranne chmury. Po zboczu biegały jaszczurki kolorowe w okresie godowym, wśród niskich krzaków ukrywały się ptaki przed patrolującym sokołem. Ale wulkan mruczał. Widać było drobną falkę na powierzchni stawu, choć nie było powiewu wiatru. Ludzie mieszkający pod wulkanem czuli niepokój, coraz więcej osób skarżyło się na koszmary nocne, trudności z zasypianiem, zmęczenie poranne, rozdrażnienie, brak cierpliwości i radości. Jakby ktoś zamiast pogodnego, słonecznego dnia kazał im żyć w szarym, pochmurnym deszczowym krajobrazie. Jedyńm, kto wiedział, że to wulkan mruczy, był samotny człowiek oglądający codziennie zapisy niewielkiego sejsmografu zamkniętego w skrzynce meteorologicznej na platformie wyciętej w zboczu wulkanu. Chciał sprawdzić czy się nie myli, bo podobne zapisy dawały trzęsienia ziemi, a wulkan milczy od setek lat. Tak, ale zapisy trzęsień ziemi były inne niż te, które teraz analizował. Postanowił sprawdzić stan krateru głównego i tych drobnych bocznych, z których czasami wydobywała się para albo gaz o zapachu siarkowodoru. Po takich epizodach uwalniania gazu pozostawały na brzegach mini kraterów żółtawe osady siarki nazywane szumnie kwiatami siarkowymi. Wyruszał znaną sobie ścieżką na szczyt. Dojście było trudne – mocne nachylenie zbocza, umykające spod nóg drobne, kruche kawałki skał, ale przede wszystkim skruszonej i pękającej lawy. Gdzieś tam za domowity trawy o wąskich liściach, gdzieś tam rośliny podobne do ostów o szarych liściach, małych błękitnych lub fioletowych kwiatach i bardzo gęstych, długich i ostrych cierniach. Należało je omijać, choć kusily jako lepsze oparcie stopy. Przybywało godzin, słońce coraz mocniej grzało, a gołe zbocze wulkanu nie dawało cienia. Był młody, ale ta wędrówka go zmęczyła. Postanowił odpocząć. Wybrał miejsce bez ostów, tylko z kępą traw, z których uciekły dwie jaszczurki. Gdy się położył na trawie wyczuł drganie wulkanu. Miał rację, to nie trzęsienie ziemi gdzieś daleko, pod dnem oceanu, to wulkan mruczy w głębi swojego wnętrza. Wiedział już to, co chciał sprawdzić. Jeszcze szedł do góry, ale już tylko po to by znaleźć jakiś mały boczny krater wyrzucający gaz lub parę, dowód, że wulkan się budzi. Co teraz – ma zacząć zawiadamiać władze miasteczek przylepionych do zbocza, leżących na płaskim polu pokrytym cienką warstwą lawy, co dawało niezwykle urodzajną ziemię. I co powie, że czuje drgania wulkanu, że wie, że on się budzi. Co dalej – ewakuacja, ostrzeżenia, próba obrony przed płynącą lawą, która niszczy wszystko i topi skały? A jeśli to tylko mruczenie i wulkan może się obudzić, ale za kilka lat, może kilkaset – więc po co taka akcja. Schodził mocno zamyślony. Trzeba

sprawdzić sejsmograf, a może poprosić o nowy, większy, bardziej wrażliwy i dokładny, może ściągnąć ekipę wulkanologów z ośrodka badania wulkanów. To był chyba najlepszy pomysł. W końcu doszedł na brzeg wielkiego krateru – cisza, spokój, drobne jeziora wody po deszczach i z chmur. Zwodnicza cisza. Ani jednego otworu wyrzucającego parę, gaz, ani jednego pluszczącego stawu błotnego, Nic. Nad głową słoneczny dzień z bezchmurnym niebem. Tylko pod stopami drganie, niepokojące drganie. Zejść jak najszybciej, jak najdalej od tego cichego drzemiącego krateru, który drwił, uśmiechał się złośliwie...

– To ja wiem, kiedy przemówię, to ja wiem, kiedy spłyną na was potoki lawy, kiedy zamknę słońce pod chmurami pyłu, kiedy spadnie deszcz lapilli, czyli moich łez. Tylko ja to wiem.

Wieczorem nad sylwetką krateru pojawił się dym. W porze zachodu w świetle słońca, był jasny, ale potem ściemniał, zbrązowił. Na szczycie, na wysokości krateru, jak zawsze wiał bardzo silny wiatr. Dni bez tego ostrego, zimnego wichru były rzadkie. Tego dnia wiał na pewno, bo dym płynął poziomo zostawiając smugę na niebie. W ciemności nocy widział krater jako czerwony migający punkt, który rozjaśniał się lub przygaszał. Nie wyrzucał iskier czyli drobnych kamyków rozgrzanej lawy. Gdy spadały z dużej wysokości, miały czas by nabrać kształtu kropli lub wydłużonego jak winogrono czy śliwka. Leżały pod brzegiem krateru, tworząc ruchomą warstwę podłoża. Tymi drobniejszymi bryłkami i pyłem bawił się wiatr kręcąc młynki, wiry, unosząc w powietrze czarne chmury, które dusiły i nie pozwalały oddychać. Pył, jak piasek, wciskał się do oczu kłującymi uderzeniami, boleśnie kaleczył odsłonięte części ciała. Więc wulkan się obudził. Tak już było, nieraz przez miesiące i lata wyrzucał w powietrze drobny pył w formie dymu, drobne bryłki lawy, ale wciąż była to zapowiedź. Nie pamiętał czy jak poprzednim razem wulkan zaczynał wyrzucać dym i drobne grudki też tak drgał. To drganie miało dźwięk na tyle niski, że człowiek go nie słyszał, ale odbierał. I to ten dźwięk powodował uczucie lęku i niepokoju. Tak jakby wulkan chciał, aby się wynieśli z jego zbocza, aby ich tu nie było. A przecież to wulkan nanosił żyzną ziemię, więc dlaczego nie mieli tu żyć, uprawiać zboża, oliwek, winogron, brzoskwiń i śliw. Dlaczego nie korzystać z jego dobrych skutków, zapominać o morzach lawy, powstałych wysepkach kamiennych i samotnych blokujących dopływ do portów, zatoczek i plaż?

Przyszła odpowiedź z laboratorium sejsmologicznego. Kilka razy czytał zapis z faksu.

– Nie ma żadnych drgań, linia jest lekko falująca, ale jak zwykle. Nie ma żadnych sygnałów, że wulkan zaczyna być aktywny. Należy spokojnie prowadzić dalsze obserwacje i przesłać raport za 5-7 dni.

Wrócił do swojej stacji na zboczu. Na jego wykresie od czasu do czasu pojawiała się linia jakby papier się zatrzymywał, a wychylenie dawało linię dość wysoką tylko pogrubioną. Rzeczywiście nie wskazywało to okres kilku sekundowych drgań. Może dlatego odczytano to jako ciszę, bez niepokojących zjawisk. Ale to nie jest cisza. Tylko dlatego papier staje w tym miejscu i mechanizm przestaje go przesuwąć. Zszedł na dół i spojrzał na górę wysoką na ponad dwa kilometry, szeroką u podstawy na trzysta kilo-

metrów – a on jak jedno z milionów ziarenek lawy. Więc dlaczego wulkan gra z nim w tę grę. Dlaczego tylko on widzi nadchodzący wybuch, a inne sejsmografy milczą. Jak wulkan nauczył się je oszukiwać? A może to on widzi więcej niż jest i może tylko on czyta pogrubiałą linię wykresu jak schowane sygnały drgań. Może to tylko on. Mieszka u podnóża wulkanu odkąd się urodził, a teraz jak strażnik pilnuje go codziennie, regularnie. Może wulkan nie chce być pilnowany. Może sygnały są, ale tylko dla niego, żeby to on odszedł, żeby to on przestał sprawdzać wulkan. Zdecydował, że spróbuje porozumieć się z laboratorium i poprosić o zamianę na jakiś czas, może na miesiąc. Tak, to jest dobra myśl. Zapadł wieczór. Z krateru błyskały czerwone płomienie, iskry i poświata. Jak tego może nie być widać na sejsmografie, przecież to uwalnia drgania? Rano, jak zwykle wyruszył do swojej stacji obserwacyjnej. Napisał prośbę i wysłał faks. Teraz tylko poczekać na odpowiedź, ale pozostawało pytanie jak długo i jaka ona będzie. Nigdy dotąd nie prosił o wymianę, zawsze uważał, że jest na swoim miejscu, że robi to, co potrafi najlepiej i że świetnie rozumie wulkan. Tym ostatnim odczuciem głośnie się nie chwalił.

– Rozumiemy, że jest zmęczony samotnym posterunkiem na stacji obserwacyjnej. Zmieni pana Gregorio Viangambonio. Proszę przekazać mu obsługę stacji. Będzie u pana jutro. Czekamy na pana w laboratorium. Podpisał dyrektor laboratorium.

To był ważny faks. Ucieszył się. Wybiegł ze stacji i patrząc na krater zawołał:

– Teraz kto inny będzie cię sprawdzał. Zobaczmy czy mu się schowasz. Zobaczmy. Żegnaj.

Wszedł do chłodnych przestronnych pomieszczeń laboratorium. Był tu kiedyś uczyć się obsługi sejsmografu i faksu. Teraz patrzył na szeregi różnych sejsmografów notujących dane z pomiarów w odległych miejscach. A gdzie jest jego mały sejsmograf, zawieszony na zboczu?. Okazało się, że jego stacja nie jest na stałe połączona z centralnym laboratorium, co wyjaśniało, dlaczego raporty wciąż musiały być wysyłane faksem. Przez głowę przeleciała mu myśl, że wulkan to wie i dlatego on widzi prawdziwe zachowanie wulkanu, a te pozostałe odczyty są przedmiotem gry wulkanu z ludźmi. Odrzucił tę myśl natychmiast. Wulkan to tylko góra lawy z kraterem, przecież nie może myśleć i analizować sytuacji. Wybuchu, gdy mu nadmiernie wzrośnie temperatura lawy zgromadzonej w kominie i tyle.. Nic mniej, nic więcej. Oglądał urządzenia, niektóre miały na ekranie zapisy, których nie rozumiał, potrzebował pomocy by zacząć tu pracę. Na szkoleniu spędził następny tydzień. W końcu zaczął rozumieć wykresy pochodne tego pierwotnego zapisu drgań ziemi. Pokazywały częstość wychyleń, średnią amplitudę, czas wychylenia od podstawy do punktu szczytowego – wszystko to dodawało informacji, ale wciąż było tylko pochodną tego pierwszego zarejestrowanego drgania. Odszukał zapisy tego dnia, którego linia na jego małym i starym urządzeniu była gruba, jakby stanął przesuw papieru. Szukał długo, porównywał godziny, czas zapisu i przesuwu, skalę drgań i niczego nie znalazł. A wiadomości nie były dobre. Z miasteczka i kilku wiosek wyprowadzali się kolejni mieszkańcy, niektórzy wręcz w popłochu. Zmęczeni dziwnym stanem ducha, niepokojem, zaburzeniami snu, znużeniem i narastającą agresją, której przyczyny nie rozumieli. Wyludniały się podnóża wulkanu.

W wolny dzień podszedł do swojej stacji. Wydawało mu się, że się przechyliła. Sprawdził na małej poziomicy schowanej między kamieniami w ścianie – wyraźny odchył od pionu. Co się stało? Zapytał Gregorio, ale ten niczego złego nie zauważył. Wyszedł w kierunku krateru. Miał wrażenie, że idzie mu się trudniej niż zwykle więcej drobnych pokruszonych kawałków lawy sprawiało, że stopa się ślizgała, grzęzła w pyłe. Jakby tych drobin wulkanicznych było o wiele więcej niż kilka tygodni temu. Schylił się i wziął do ręki jedną z grudek czarnych, porowatych. Była gorąca. A więc jednak. Wulkan wyrzucał i to coraz więcej, ale kiedy, skoro nie było to rejestrowalne. Jakby mówił szeptem i nikt go nie słyszał. Poprosił o zapisy swojego sejsmografu z tego czasu, gdy go tu nie było. Linii pogrubiałych było coraz więcej, a w jednym miejscu zapisu widoczne wyraźne drgania poza zwykle zakresy.

– Czy Pan to raportował do centrum – przecież to są drgania sygnalizujące aktywność wulkanu.

– Nie, nic takiego nie pisałem, przecież to tylko raz i to w nocy. Nie było sensu robić alarmu.

– A to, że kilka kroków od stacji leżą świeże, gorące lapille też nie stanowi problemu?

– Jakie lapille, o czym Pan, mówi? Ostrzegano mnie, że ma Pan jakieś złudzenia, co do aktywności tego wulkanu, że ten samotny pobyt źle zaczął na Pana działać – jakie lapilli, proszę mi pokazać.

– Dobrze, idziemy.

Wyszli. Pamiętał ścieżkę zasypaną świeżymi drobnymi okruchami lawy, ale teraz żadna nie była nawet ciepła, a co dopiero gorąca, jak tamta, którą miał w dłoni. Brał różne do ręki, ale wszystkie były zimne i wyglądały na stare, częściowo pokruszone. Zrozumiał, że wulkan wyraźnie z niego kpi i bawi się w chowanego.

– No, dobrze, przepraszam, może tylko ta jedna, może tylko miałem takie wrażenie. Wie Pan o tym, że mieszkańcy wyjeżdżają z wioski i miasteczka pod wulkanem. A przecież ziemia jest tak samo żyzna, owoce tak samo dojrzewają, a zbiór winogron się zbliża. Coś jest nie tak. Proszę się zastanowić.

– Emigracja, przecież pan wie, jak ciężko się tu żyje. Skoro mogą gdzie indziej żyć lepiej to wyjeżdżają. Nic nowego. Nie widział Pan tu wioski całkowicie opuszczonych też pod wulkanem, też z dobrą ziemią. Nic szczególnego.

Miał dylemat. Kończył mu się pobyt w laboratorium, więc musi zdecydować czy prosić o przedłużenie czy wracać do swojej stacji na zboczu. Coraz wyraźniej widział, że on wie o tym wulkanie i jego aktywności zupełnie co innego niż centralne laboratorium. Ma ich przekonywać tylko jak. Gdy spróbował znaleźć gorącą grudkę lawy okazało się, że nie ma gorących. Jego zapis wskazujący na skumulowane drgania nie istnieje na znacznie czulszych urządzeniach, więc jak przekonać, że jednak wulkan mruczy i jest aktywny. Trochę białego dymu i pyłu nikogo nie przekona. Tak było już wielokrotnie. Postanowił wyjść na krater. Była to kilkugodzinna wyprawa, ale koniecznie chciał zobaczyć jak teraz to wygląda przy tych obłokach pyłu, pary i okruchów lawy. Dzień był upalny. Miał niewielki plecak, kurtkę na wypadek zimnego wiatru i wodę. To było

najważniejsze, bo woda ratowała w takiej wędrówce w palącym słońcu coraz wyżej i wyżej. Narastał ból głowy. To z braku tlenu na tej wysokości zwłaszcza, że się odzwyczaił, bo teraz był w dolinie. W pewnej chwili zza zastygłej lawy zawiał silny wiatr niosąc pył. Zaczął się dusić, kaszleć. Nie spodziewał się i nie miał osłony na nos i usta. W końcu udało się uspokoić oddech i ruszyć powoli wyżej. Wiatr był coraz silniejszy, wirujący pył, chmury zasłaniające widok zdarzały się co kilka kroków. Wyszedł na grzbiet, z którego należało trochę zejść i już było podejscie do krateru. Na grzbiecie wiatr był tak silny, że z trudem stał, o tym aby iść i to boki do kierunku wiatru, nie było mowy. Usiadł i zaczął się zastanawiać – co dalej. Cofnąć się, jak jest tak blisko, było nie do pomyślenia. Iść dalej – nie z tym wiatrem. Czekać aż wiatr zelżeje – może tak wiać kilka godzin a już jest popołudnie. Spróbował iść – powoli schodził do tzw. szyi, aby potem wspiąć się na krater. Plecak działał jak żagiel ściągając go na ostre, mocno nachylone zbocze. Nie patrzył na krater kurczowo trzymał się myśli, żeby nie dać się zepchnąć na zbocze, bo tu nie ma ratunku, nie ma możliwości zatrzymania się, po prostu spadek kilkaset metrów w dół po lawie zastygłej i ostrej jak skały. Wiatr nagle ucichł. Na tyle na ile pozwalał brak tlenu, ból głowy i duszność podszedł do góry do brzegu krateru. I wtedy zawiał wiatr niosąc dym, pył i miliony drobin lawy gorących i kłujących.

Następnego lata wyprawa młodych wulkanologów odnalazła plecak. Potem spod czarnej lawy i drobnego pyłu wzbijanego każdym krokiem wyłoniły się pobielale kości.

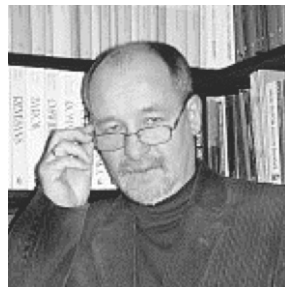
– Przecież go ostrzegałem, że nie chcę, aby mnie sprawdzał, kontrolował. Nie potrzebowiałem gości.

Ta wyspa jest moja i pozostanie moja.

Według raportów sejsmografów z centrum laboratoryjnego wulkan całą zimą był spokojny, nawet nie wyrzucał dymu. Wiedział, że nikt nie będzie chciał się o nim zbyt wiele dowiedzieć i go kontrolować.

RYSZARD „SIDOR” SIDORKIEWICZ

MISZCZU
(mikroprozy)



KU NIEBU I

Świt, rześkość poranka, nadzieja i niepewność.

Na porannym, bezchmurnym niebie ziarenka czarnych ptaków. Z perspektywy zadartej głowy Miszcza wyglądają jak fusy gotowe do wróżby. Przemieszczają się, skupiają, rozpraszają się. Wieszczą!

Coś... Kiedyś... Po coś...

Ale co? Kiedy? I po co? Miszczu nie wie. Ci z opuszczonymi głowami też nie wiedzą, choć mówią, że wiedzą.

I chwalą samych siebie przed zachodem słońca.

KOMBATANCTWO

„Telewizja kłamie!” - skandował Miszczu w młodości. No, ale wtedy człowiek jeszcze nie miał pilota. Miał Polo Cocktę, czekoladę czekoladopodobną, talon na lodówkę, ale pilota nie miał. A teraz Miszczu pilota ma (z wkładem na dwie baterie!) i sprawnie przerzuca owym pilotem telewizyjne kanały z demaskatorską pasją:

– KBS!

– AL JAZEERA!

– BFM!

Miszczu nie rozumie ani słowa, ale Miszczu wie, że telewizja wciąż kłamie! Łże! Tylko teraz kłamie bardziej perfidnie, bo kłamie w obcych językach!

GORZKO-KWAŚNY

Z picciem Miszcza to było tak.

Dzieciństwem będąc jeszcze poznał Miszczu smak herbaty, a od kiedy poznał, to spijał jej hektolitry. Nie ruszał się nigdzie bez pełnego termosu. Do szkół taszczył termos, na randki, do pracy. Nawet do barów mlecznych chodził ze swoim termosem – tak na wypadek wszelki, gdyby wody w barowej kuchni nagle zabrakło.

I wtedy zaczęło się piekło na ziemi! Pojawili się mędrcy z gatunku: Wiem-Wszystko-O-Wszystkim i zaczęli się wypowiadać. No i się ponawypowiadali. Jeden wmawiał Miszczowi, że ma gorzką lubić. Drugi przekonywał Miszcza, że lepsza z cytryną. Trzeci znawca, że z cukrem. Czwarty tak, piąty owak.

No i Miszczu miał dość i Miszczu odstawił herbatę! Tak z dnia na dzień, od ręki, bezwzględnie i zdecydowanie. Złośliwi twierdzą nawet, że się zaszył saszetką ulunga.

Anonimowy teinoholik - wódkę teraz pije. Ogórkiem kiszonym zakąsa.

KAMPANIA WYBIÓRCZA

„Podobno mnie już nie ma. Nie ma *ja*, tylko *on*. I tak od teraz mam o sobie myśleć?” – myśli Miszczu. „*On*, z *nim*, dla *niego*. Moja głowa *onego*, korpus i kończyny”.

Miszczu ma zamęt ogromny w zaimkach. Bałagan, nieporządek. Chaos wielki Miszczu ma w zaimkach. No bo czyją pić wódkę? Ocalać marzenia?

Czuje się Miszczu nieswojo. Ma zamęt i mętlik. Jest nieswój, bo nie swój!

A tymczasem *ja* rosną w siłę, sumują się, potęgują.

Ja *ja* do kwadratu!

LISTOPAD

Miszczu nie lubi listopada. Nie lubi także pozostałych jedenastu miesięcy, ale listopada nie lubi szczególnie. Nie lubi miesiąca samobójców i świątecznych reklam. Nie lubi miesiąca snów koszmarnych, które właśnie w listopadzie się śnią.

Oto w listopadowym śnie wyławiają Miszcza bosakiem ze stawu, w którym pływają wigilijne karpie.

Oto w innym listopadowym śnie odcinają Miszcza od gałęzi jodły, na której zawisną choinkowe bombki.

Oto w kolejnym śnie listopadowym wyciągają Miszcza spod kół ciężarówki, która przewozi gwiazdkowe prezenty.

Odcięty, wyłowiony, brudny i nieżywy zrywa Miszczu kolejne kartki listopada.

W coraz bardziej świątecznym rozstroju.

WERNYHORA

Powieją wiatry hysterii od Raby Wyżnej po Szczecin. W panice się wezmą za ręce i pójdą chocholim krokiem.

Narodowiec z lewakiem i aktywista z członkiem. Liberal z anarchistą i opozycja z rządem. Bolek z Lolkiem, goj z gejem i Warszawka z Krakówkiem.

Pójdą w wielkim pochodzie. Pójdą, bowiem iść trzeba. Bo kto stoi, nie idzie! Przez miasta pójdą i wioski, i przez wesołe miasteczka.

„A niech idą!” – myśli sobie Miszczu i maszeruje w miejscu.

EGZECECI

Onego czasu pewien mądry człowiek nauczał o miłosierdziu dla bliźnich.

Nikt nie wiedział, o co mu chodzi, ponieważ mądry człowiek mówił zbyt prostym i podejrzanym dla wszystkich językiem.

Szybko pojawili się więc egzegeci i obwieścili – wszem wobec – najprawdziwszą prawdę: *Mądry człowiek przekonuje do szerszego stosowania technik rozrodu wspomaganego w celu zwiększenia odsetek występowania cięż bliźniaczych.*

Miszczu wciąż nie wie, o co chodzi, ale ze zrozumieniem kiwa głową.

KUNIEBU II

Chmury płynęły od wschodu. Jedna z nich, tuż nad Miszcza głową, przybrała kształt korony.

Był więc Miszczu królem, był Miszczu władzą. Panem i władcą był. Obłocznym pomazańcem. A choć królestwo jego nie było z tego świata, to ten świat właśnie teraz leżał u Miszcza stóp. Pielgrzymki mrówek i ludzkie mrowiska. Wszystko, co biega i skacze, co fruwa i pełza. Wszystko, co stoi i chodzi, co kuca i leży leżało teraz u Miszcza znoszonych sandałów.

Diabelski samolocik wleciał Miszczowi w koronę... I już po całym władztwie. Z berłem papierosa w dłoni, z nadgryzioną renetą w zębach i w ostrogach szczawiu nie jest już Miszczu królem.

Ale wie, ale wierzy – to jeszcze nie koniec. Tymczasem łeb zadziera. Obserwuje. Czeki.



ALICJA TANEW

SZCZĘŚCIE

(z cyklu opowiadania prawdziwe)

Od wieków ludzie różnie postrzegają sny, jedni w nie nie wierzą, a inni wręcz uzależniają swoje życie od proroctwa snów. Są wróżbici i są senniki, które precyzyjnie tłumaczą senne zjawy.

Pamiętam z dzieciństwa taką mądrość, żeby po przebudzeniu nigdy nie spoglądać w okno, bo sen ucieknie z pamięci.

Nigdy nie przywiązywałam specjalnej uwagi do sennych obrazów, ale jakże miłe są przebudzenia jeszcze niedojrzałego świtu na progu dwóch seansów snu i życia, jeśli piękne, to je wołam, ale nigdy nie wracają.

Niedawno miałam bardzo dziwny sen, który dokładnie zapamiętałam i poddałam szczegółowej analizie z zapytaniem, co chciał mi odpowiedzieć.

Było to tak....

W dalekim nieznanym kraju wśród wielu dziwnych ludzi, którzy popychali mnie i przesuwali wciąż do tyłu, brałam udział w loterii o 50 milionów dolarów, co już samo w sobie jest szalenie intrygujące. Każdy z obecnych mógł wygrać tak duże pieniądze pod warunkiem, że w ciągu sekundy powie, na co je zamieni. Stałam na końcu długiej kolejki, myślałam, że to byłby cud, gdybym miała takie pieniądze. Słyszałam, jak ci co przede mną zamieniali tę niebotyczną kwotę na diamenty, kopalnie złota, własne wyspy, zamki, pałace, podróże na księżyc, aż w głowie mi się zakręciło od tych różności. Kiedy przyszła moja kolej, nie mam pojęcia dlaczego, bez wahania wykrzyczałam, że te 50 milionów chcę zamienić na szczęście.

Wokół mnie nagle zrobiło się cicho, a potem wszyscy gremialnie parsknęli śmiechem. Stałam speszona, nie rozumiejąc dlaczego się śmieją. Zaś samo szczęście, zadziwione, że jest aż tak drogie, z zachwyty spłonęło ze szczęścia.

Zostałam bez milionów i bez szczęścia.

Zrobiło mi się smutno, że ja, nawet we śnie, jestem taka nieracjonalna.

Przebudziłam się przerażona tym, co zrobiłam i odetchnęłam z ulgą, kiedy okazało się, że to tylko sen. Przemyślnie nie popatrzyłam do okna tylko postanowiłam rozprawić się z takim pomysłem nocy. Długo myślałam i wyszło na to, że w życiu też podjęłabym taką samą decyzję. Uśmiechnęłam się porozumiewawczo do poranka i wytłumaczyłam mu, że każdy jest ułożony po swojemu i nic tego nie zmienia. Zawsze fruwam zamiast chodzić, a kiedy inni mozolnie lepią garnki, ja je maluję.

Zapowiadał się niespokojny czas. Moja Ala miała mieć poważną operację i przez to błagalnie przemodliłam godziny, a wieczorem napisałam do niej wiadomość:

„Alusiu, jestem przy Tobie, trzymam Cię za rękę”.

A ona odpisała:

„Mamusiu, chodźmy spać za rękę”

Czytałam te słowa jak zaczarowana, były proste, czułe, nasycone wdziękiem.

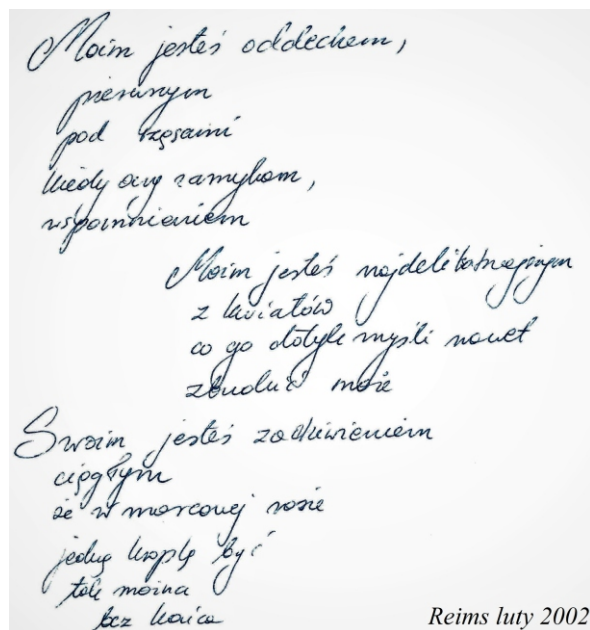
Wpatrując się w telefon, dokonałam niezwykłego odkrycia, że to jest właśnie *moje* szczęście.

Czyżby echo snu poprzedniej nocy wróciło do mnie bijącym sercem?

Może to plony, jakie zbieram z wielu trudnych lat.

Przebiegłam przez przeszłość i przypomniałam sobie, że Ala, kiedy studiowała w Reims pod Paryżem, przysłała kartkę z życzeniami na moje urodziny. Oczywiście nie pamiętałam, gdzie są schowane ślady wspomnień.

Przekopałam kilka szuflad i znalazłam skarb – wiersz Ali z 2002 roku.



Moim jesteś oddechem,
pierwszym
pod rzęsami
kiedy oczy zamykam,
wspomnieniem

Moim jesteś najdelikatniejszym
z kwiatów
co go dotyk myśli nawet
zbudzić może

Swoim jesteś zadziwieniem
ciąglą
że w marcowej rosie
jedną kroplą być
tak można
bez końca

(Reims, luty 2002)

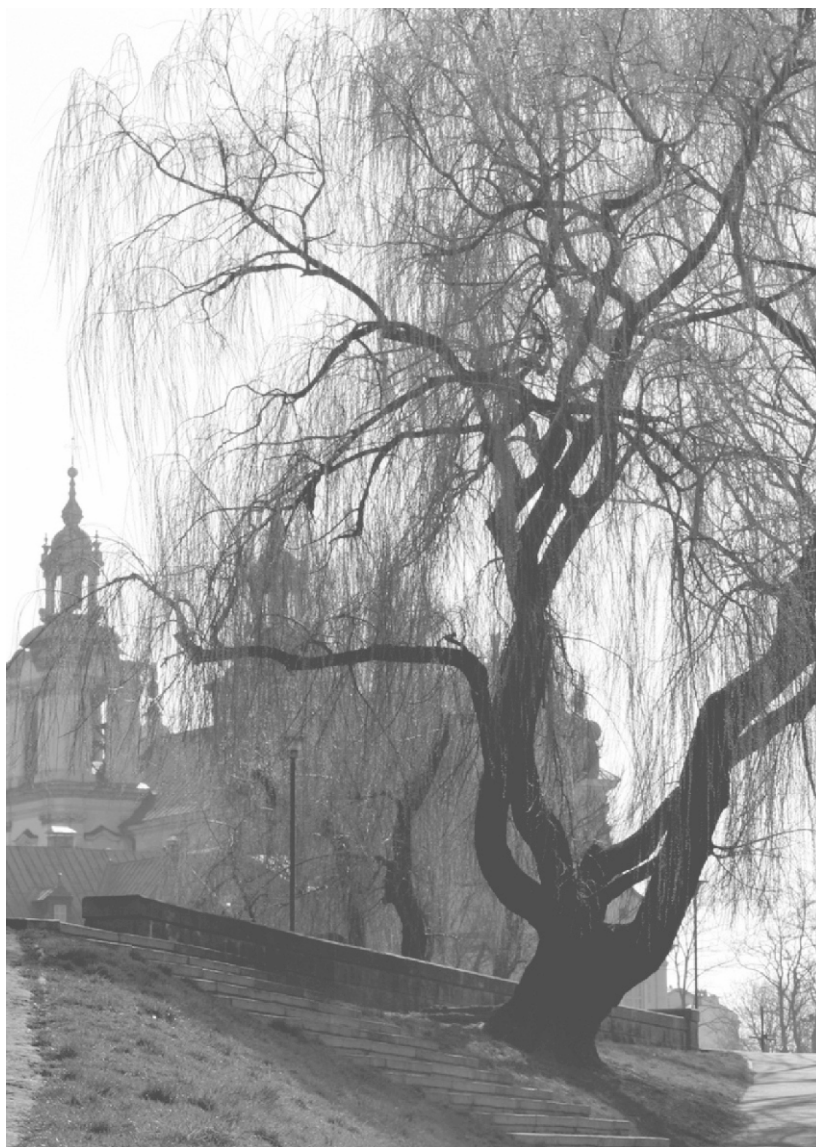
Reims luty 2002

Jeśli ktoś spyta mnie
co to jest szczęście

odpowiem

szczęściem są słoneczne myśli
Mojej Córkę

PS Poddaję się ...
Czasem sny wiedzą więcej
niż życie.



KRYSTYNA ALICJA JEZIERSKA

MUMIE

(fragment niepublikowanej powieści
„Gdy lampa zamigocze”)



W niedzielne, listopadowe ranki, gdy blade słońce przeświecało przez żółtkłe listowie przeredzone jesiennym wiatrem, a po murach kamienic i szpitalnego ogrodu przy mojej ulicy, огоłocone łodygi dzikiego wina pełgały niczym węże, chodziłam z ojcem do jego ulubionego kościoła Reformatów, pod wezwaniem świętego Kazimierza Jagiellończyka Królewicza. Był to niewielki kościół, jak historia głosi, powstały po szwedzkim potopie, tuż przy ówczesnych murach miejskich Krakowa. Szliśmy ulicą Długą, potem Plantami, po czym okrążaliśmy masywne stare obmurowanie o barwie zatartych plam skrzepłej krwi, aż ukazywała nam się biała elewacja kościoła z kontrastowo ciemnymi oknami i drzwiami. Niewielką krucztą wkraczaliśmy do zabytkowej świątyni. Po przejściu rozigranego barwami i światłami jednonawowego wnętrza kościoła, zajmowaliśmy siedziska w wąskim korytarzu.

Ponieważ były to późne lata pięćdziesiąte XX wieku, gdy praktyki religijne nadal jeszcze były postrzegane przez ówczesne władze, jako naganne, wiele osób, nie chcąc stracić pracy, przyczało się na niedzielnych nabożeństwach, w zakamarkach kościołów, aby spełnić swój katolicki obowiązek. Czyżby do tych ludzi mógł należeć mój ojciec? Do dziś zadaję sobie pytanie, jaka naprawdę była przyczyna, że musiałam ślęczeć z tatą w ciemnym klasztorным korytarzyku, zamiast podziwiać święte misterium w całej krasie, w blasku kandelabrow, wśród woni kwiatów i kadzideł? Może jednak powodem zajęcia tak niedogodnych siedzisk, jak mi tłumaczono, była niewystarczająca ilość miejsc siedzących we wnętrzu kościoła? Tam było tak olśniewająco, złożone ołtarze, wielkie obrazy. Szczególnie upodobałam sobie jeden z wizerunkiem świętego Kazimierza – królewicza w bogatym, książęcym stroju, pośród białych lilii. Z estymą wpatrywałam się w uduchowioną twarz młodzieńca. Wydawała mi się na swój sposób piękna, tym bardziej, że okalały ją falujące ciemne włosy, a ja właśnie takie preferowałam już od wczesnych lat, u płci przeciwnej. Kazimierz – królewicz był jednym z nielicznych władców, którego historia była w stanie mnie wtedy zainteresować.

Na kopię jego portretu z kościoła Reformatów natknęłam się wiele lat później, zwiedzając zamek w Dobczycach, gdzie niegdyś młodzietki królewicz pobierał nauki wraz ze znamienitymi braćmi, pod czujnym okiem Jana Długosza i właśnie ten Kazimierz został świętym i patronem ziemi dobczyckiej.

Nie rozumiałam, dlaczego ojca bardziej interesowały krypty tego przybytku sakralnego, gdzie, jak opowiadał, spoczywało około tysiąca z mumifikowanych szczątków ludzkich. Należały do zmarłych zakonników, a także ludzi zasłużonych dla

Krakowa. Ulegały samoistnej mumifikacji. Nigdy nie dowiedziałam się, czy mego ojca bardziej intrygowały dzieje ciał po zgonie, czy też ich związek z nieśmiertelnością, w którą wierzył i pewnie przez to frapowały go zjawiska paranormalne. Może też poważnie rozważał możliwość istnienia kontaktów z tymi, co już odeszli z tego padółu, a także zastanawiał się nad domniemanymi ostrzeżeniami i przekazami od nich? Mogłam tak przypuszczać, słuchając opowieści wojennych mego taty – żołnierza kampanii wrześniowej 1939 roku, o przedziwnych zbiegach okoliczności. Mnie, jako dziecku, te problemy wydawały się wówczas bardzo odległe. Gdy schodziliśmy do krypt, ogarniał nas wilgotny chłód. Nie lubiłam tego uczucia. Brązowe, niezamknięte trumny kojarzyły mi się z wielkimi szufladami, zaś szczątki zmarłych z eksponatami oglądanymi podczas szkolnej wycieczki, w Muzeum Archeologicznym. Leżące w nich w różnych pozach mumie przypominały dziwne posągi, a nawet płaskorzeźby. Ciekawiły mnie dawne losy niektórych tu pochowanych, chociażby panny młodej otrutej przez rodzinę, czy też żołnierza napoleońskiego z nieodłączną strzelbą.

– To tylko pozostałości po nich, niczym zrzucone zużyte ubrania, pozbawione tego najważniejszego, co stanowi o życiu, a istnieje w jakiejś nieznanej formie, wiecznie – rozmyślałam – więc tak też może wyglądać kiedyś to, co tu po mnie pozostanie i to, co zostało po pięknym Kazimierzu – królewiczu. Pograżona w takich dywagacjach, milczałam. Ojciec natomiast powtarzał cicho, jakby sam do siebie: – Memento mori, po czym wracaliśmy schodkami w górę, do świata żywych.

LESZEK KONARSKI

IDIOTA Z KONWERTORÓW
(fragment książki reporterskiej
„Nowa Huta – wyjście z raju”)



Był rok 1974 i choć czasy przodowników pracy minęły, to chciałem zrobić wywiad z tym najlepszym z najlepszych. Poradzono mi napisać o Stanisławie Bernardzie, rozlewaczu stali ze stalowni konwertorowej. Odwiedziłem go na hali lejniczej. Zdjął hutnicze okulary i zaprowadził mnie w kąt hali, gdzie mniej było słychać przeciągły gwizd konwertorów i nie raziła w oczy lejąca się z kadzi stal.

– Dlaczego akurat ze mną chce pan zrobić wywiad? – zapytał.

– Pana nazwisko jako pierwszego pracownika Huty im. Lenina zostało wpisane do księgi honorowej „Zasłużonych dla Ziemi Krakowskiej”. Jest pan uważany za najlepszego w całej Hucie.

– Tak sądzi kierownictwo.

– A koledzy z pracy?

– Nie mam kolegów – odpowiedział.

– A ci, którzy tu razem z panem na hali lejniczej pracują?

– Mówią, że jestem z innej planety.

– A co pan sądzi o sobie?

– Jestem zadowolony, Mam wszystko, co mogłem osiągnąć, pieniądze, ordery. Dręczy mnie tylko ta, wie pan, samotność. Nie, nie jestem odludkiem, poza Hutą mam kumpli, odwiedzamy się, pogadamy. A tu, na moim wydziale, w mojej brygadzie, nie udało mi się z nikim zaprzyjaźnić. Ludzie nie mogą zrozumieć, dlaczego ja tak hakuję osiem godzin bez przerwy, gdy przecież można przystanąć, odpocząć, porozmawiać, nawet się zdrzemnąć na nocnej zmianie. Mówią, że mam zajoba na punkcie roboty i powtarzają: „Co ty z tego masz? I tak w socjalizmie niczego się nie dorobisz!”.

Czerwiec 1974. Spotkanie z ludźmi dobrej roboty województwa krakowskiego. Stanisław Bernard, pierwszy rozlewacz stali ze Stalowni Konwertorowej Huty im. Lenina, otrzymuje z rąk naczelnego redaktora „Gazety Krakowskiej” Zbigniewa Reguckiego przyznany mu przez tę gazetę medal „Za mądrość i dobrą robotę”. A w załączonym dyplomie: „W uznaniu sumiennego trudu i pasji czynienia socjalistycznej rzeczywistości coraz piękniejszą”.

Lipiec 1974, Sala Senatorska na Wawelu. Stanisław Bernard odbiera gratulacje od I sekretarza KW PZPR Józefa Klasy z okazji wpisania go jako pierwszego krakowskiego hutnika do założonej tego roku księgi honorowej „Zasłużonych dla Ziemi Krakowskiej”. A w okolicznościowym dyplomie: „Egzekutywa KW PZPR i Prezydium RN m. Krakowa uznały Wasze wybitne osiągnięcia i zasługi w ofiarnej pracy dla dobra naszej socjali-

stycznej Ojczyzny i w dowód wysokiego wyróżnienia postanowiły zaliczyć Was w poczet ludzi zasłużonych dla Ziemi Krakowskiej. Nazwisko Wasze zostało umieszczone w księdze honorowej ludzi zasłużonych”.

Luty 1976. Uroczystość Dziesięciolecia Stalowni Konwertorowej Huty im. Lenina. Tym razem dyplom przyjmuje z rąk kierownika wydziału, inż. Bolesława Gulińskiego: „Kolektyw kierowniczy Zakładu Stalowniczego wyraża uznanie i podziękowanie za wydaną i zaangażowaną pracę zawodową i społeczną”.

Wspomniany inżynier Guliński, gdy pytam go o Bernarda, mówi o nim z największym uznaniem i z przekonaniem, że rzeczywiście jest to pracownik o wielkich zaletach. Pracując w hutnictwie od trzydziestu jeden lat, najpierw w Hucie „Florian” w Świętochłowicach, a od 1954 w Hucie im. Lenina, jeszcze nigdy nie spóźnił się do pracy. Mistrz Rachwał, gdy widział wchodzącego na halę lejniczą Bernarda, nastawiał zegarek na piątą czterdzieści. W ciągu całego okresu pracy w Nowej Hucie nie miał ani jednej „bumelki”. Na wszystkich zwolnieniach lekarskich przebywał łącznie czternaście dni. Ani razu nie uległ wypadkowi ani też go nie spowodował.

Tymczasem na hali lejniczej słyszę: „Trzyma z szefami, na zebraniach nigdy nie zabiera głosu, nie krytykuje, więc ma za to nagrody”; „Do partii należy, to go popierają”; „Zarobki ma takie jak nikt na hali. Największa jest tu jedenasta grupa, a on ma dwunastą. Najwyższe zarobki to Bernard, wczasy – Bernard, odznaczenia – Bernard, dyplomy – Bernard, artykuły w prasie – Bernard. Przecież, do jasnej cholery, są jeszcze inni”; „Żeby jeszcze umiał z ludźmi współżyć, żeby był koleżeński. Musieli go wziąć z I brygady, bo tam nie mógł się z nikim zgodzić”; „Jak zbieramy na imieniny, to żałuje tych dwudziestu złotych. A sam zarabia ponad dziewięć tysięcy”.

Nieduże, dwupokojowe mieszkanie na osiedlu Centrum A. Tu wraz z żoną i synem kończącym studia wyższe mieszka Stanisław Bernard. Córka Bernardów wyszła za mąż i mieszka osobno.

Na ścianach pokoju kilka oprawionych dyplomów „za wzorową pracę”, na półkach w szafie pudełeczka z odznaczeniami i medalami.

– Niech pan nie myśli, że ja pracuję dla medali. Nigdy w ciągu ponad trzydziestu lat pracy nie ubiegałem się o żaden zaszczyt.

Pierwsze dyplomy i Brązowy Krzyż Zasługi to jeszcze z Huty „Florian” w Świętochłowicach, gdzie pracował od 1945 do 1954 roku.

– To właśnie tam, na Śląsku, w tych pierwszych latach po wojnie, nauczyłem się cenić pracę. Pracowaliśmy czasem po dwanaście godzin dziennie, bo wiedzieliśmy, że stał potrzebna jest dla odbudowującego się kraju.

W roku 1954 Bernard rozpoczął pracę w stalowni martenowskiej Huty im. Lenina.

– Z początku praca szła dobrze, uruchomiliśmy wszystkie piece, daliśmy produkcję. Ale gdzieś od 1955 roku coś w robocie zaczęło się nie kleić. Ludzie zamiast pracować, zaczęli narzekać. Mówię im więc, że dobrze, iż zajmujemy się polityką, ale niezależnie od tego trzeba dalej pracować. I przyszedł Październik. Gomułkę powitałem z radością. Ale na naszym wydziale wykorzystała tę zmianę największe obiboki, którym się robić nie chciało, i oni też zaczęli krzyczeć, aby wywieźć na taczkach naszego szefa, inżyniera

Jerzego Grzyborskiego. Byłem jedyny, który na zebraniu załogi próbował go bronić. Niestety, bezskutecznie. Potem okazało się, że miałem rację. Ci, co go wyrzucali, już w hutnictwie nie pracują, a inżynier Grzyborski został potem kierownikiem stalowni konwertorowej naszej Huty, a dzisiaj jest głównym stalownikiem Huty „Katowice”.

Mimo zadrażeń z załogą, Stanisław Bernard również po Październiku jest przodownikiem i zbiera kolejne dyplomy i pochwały. Docenia to jeden z kolejnych szefów, inżynier Wrzesień, powierzając Bernardowi funkcję inspektora hali lejniczej. Jako najbardziej doświadczony rozlewacz nadzorował na wszystkich zmianach sadzenie wylewów i pasowanie kadzi. Inżynier Wrzesień prosił go, aby zapisywał w notesie zauważone nieprawidłowości i aby pouczał innych, jak trzeba wykonywać poprawnie zatyczki na kadziach i co robić, aby rozlanie było precyzyjne. Ponieważ Bernard pisał w swym notesie prawdę i mówił ludziom prosto w oczy, co źle robią, po trzech miesiącach stał się już takim wrogiem załogi, że szef musiał go przenieść na dawne stanowisko.

– Pamiętam, że kierownictwo wytypowało mnie na wyjazd do Związku Radzieckiego. Niestety, kolektyw nie zatwierdził mojej kandydatury. Orzekli, że nie mogę jechać, bo jestem niekoleżeński. Rzeczywiście, w tym okresie, gdy byłem inspektorem hali, tak zraziłem do siebie ludzi, że większość ze mną nie rozmawiała. Po prostu nie mogłem zrozumieć, jak można swoją robotę wykonywać tak nasermater. Byłem porządny, skrupulatny i tego ludzie nie mogli znieść.

A tymczasem rozpoczyna się rozruch Stalowni Konwertorowej, której kierownikiem zostaje inżynier Jerzy Grzyborski. Tam też przenosi się Bernard i tu, w nowym miejscu, też jest najlepszy. Otrzymuje Srebrny Krzyż Zasługi, jako jeden z dwudziestu czterech delegatów Huty im. Lenina jedzie do Warszawy na Zjazd Hutników.

– Ale w pracy znowu coś się zaczęło dziać. Ludzie się rozpolitykowali i przestali pracować. Mówię: „Pracujemy przecież nie dla Gomułki, ale dla Polski”. Jak nie będziemy pracowali, to nie będziemy mieli co jeść. Wreszcie po wypadkach grudniowych ludzie znowu zaczęli atakować szefa wydziału, inżyniera Grzyborskiego, który tym razem musiał odejść z konwertorowej. Próbowałem go bronić i znowu się naraziłem. Ludzie go nie lubili, bo wymagał solidnej roboty. Ale ja go rozumiałem. Porządny pracownik łatwo wyczuje porządnego.

Wreszcie największe zaszczyty: Złoty Krzyż Zasługi, Medal 30-lecia PRL, odznaka „Za zasługi dla Ziemi Krakowskiej”, wpis do księgi zasłużonych, medal „Za mądrość i dobrą robotę”.

– Jak przyszedł Gierek, to znowu zaczęło hulać na stalowni. Zbudowaliśmy własnymi siłami stołówki, polepszyło się z bhp. Ale teraz, zamiast robić, znów gadają po kantorkach. Mówię im znów: „Przecież nie pracujecie dla Gierka, ale dla kraju”.

Ten najlepszy rozlewacz Stalowni Konwertorowej przyszedł do kierownika wydziału i poprosił o przeniesienie go do innej brygady. W I brygadzie nie wytrzyma już dłużej nerwowo.

– Najgorzej było po zebraniach, na których kierownictwo mnie chwaliło i stawiało za wzór do naśladowania. Gdy tego słuchałem, nie powiem, było mi przyjemnie. Ale

potem, na hali, to lepiej nie mówić. Wszyscy patrzyli na mnie jak na eksponat, jak na coś, co przyleciało z innej planety. To samo było, gdy napisano o mnie artykuł w „Gazecie Krakowskiej”. Bez przerwy wytykali mi, że nie idę z klasą robotniczą. A ja im, że jak klasa robotnicza nie będzie dobrze pracowała, to socjalizmu nigdy nie zbudujemy. To mnie pokazywali potem palcami. Najgorszy był taki jeden młody, który dopiero może pół roku pracował. Nie dość, że sam po sobie nie sprzątał, to jeszcze chciał, abym ja, według niego ten wół od roboty, za niego też sprzątał. A dokuczał mi bez przerwy: „Z kim ty trzymasz?”; „Bez przyczyny by cię nie forowali...”; „Podlizujesz się kierownictwu...”. A gdy przypadkiem coś mi nie wyszło i na przykład upaliła się zatyczka, to zaraz: „O, taki dobry, a zatyczkę upalił”. A gdy tylko na chwilę stanąłem, aby odpocząć, gdy inni mogli siedzieć albo drzemać, to zaraz słyszałem: „Co, zmęczyłeś się? Przecież ty jesteś najlepszy!”.

Stanisława Bernarda przeniesiono do III brygady, gdzie znalazł dużo lepszą atmosferę. – Gdyby jeszcze nie ta ciągła zazdrość. Zazdroszczą mi na przykład, że w pracy palę cygara. To mówię, jak mniej będziecie wydawali na alkohol, to będzie was stać na cygara. Ale przyjaciela nie mam dalej. Owszem, miałem sporo propozycji: „Daj dwie dychy i idziemy na wódkę”. Oczywiście, że tak czasem to lubię sobie wychylić kielicha, zupełnie święty to ja nie jestem, ale nigdy w pracy lub w krzakach koło kombinatu.

Pan Stanisław wyjmuje z szuflady legitymację ubezpieczeniową i pokazuje mi w niej rubrykę „Porady ambulatoryjne i wizyty domowe”. W roku 1968 dwa dni zwolnienia i w tym samym roku dwanaście dni w związku z upadkiem na schodach. Razem czternaście dni w ciągu trzydziestu jeden lat pracy. W Hucie „Florian” podobno nie opuścił ani jednego dnia. A ma w tej chwili pięćdziesiąt sześć lat.

– Cztery lata temu dostałem zapalenia dziąseł. Lekarz powiedział, że należy mi się zwolnienie chorobowe. Prosiłem go, żeby dał mi nie zwolnienie, ale dobre lekarstwo. Był tym mocno zdziwiony. Też patrzył na mnie jak na człowieka z innej planety.

Punktualności i solidności nauczył się Bernard na Śląsku, gdzie spędził dzieciństwo i czternaście lat pracy zawodowej. Pozostało mu z tego okresu jeszcze kilka innych przyzwyczajęń. Codziennie rano wyprawia go do pracy żona. Przed wyjściem z domu ma już starannie przez nią przygotowany posiłek. Nigdy w Hucie nie korzystał ze stołówki, wszystko przynosi z domu. A do pracy wychodzi zawsze wypoczęty, wyspany i tak wcześnie, że nawet gdyby tramwaje nie kursowały, to i tak na piechotę byłby przed czasem.

Oglądam dyplom wręczony Bernardowi w czasie uroczystości na Wawelu oraz zawartą tam informację: „Księga honorowa ludzi zasłużonych ma utrwalić w pamięci przyszłych pokoleń nazwiska i zasługi ludzi, których czyny pozostawiają trwałe, nieprzemijający ślad na wytyczonej przez PZPR historycznej drodze budownictwa socjalistycznego w Polsce. Księga ta jest wyrazem wysokiego uznania i szacunku dla ludzi, którzy swym wybitnym wkładem pracy dają całemu społeczeństwu Ziemi Krakowskiej przykład konstruktywnego, twórczego działania na rzecz wcielania w życie idei budownictwa socjalistycznego, nowoczesności naszego państwa i narodu, pomnażania sił i zasobności Ojczyzny”.

Ale gdy kierownictwo wydziału zaproponowało Barnardowi jeszcze jedno wyróżnienie, a mianowicie awans na brygadzystę, odmówił.

– Kiedyś na martenowskiej, gdy zacząłem gonić do roboty takich z lewymi rękami, to zaraz stałem się wrogiem. Dlatego uważam, że jako brygadzysta nie miałbym autorytetu. To jest właśnie dla mnie przykre, że ceni mnie kierownictwo wydziału, dyrekcja Huty, partia. Tylko nie ludzie na hali lejniczej. Ciągłe myślą, że ja pracuję, aby schlebiać kierownictwu.

– A pieniądze się nie liczą?

– Również, nie przeczę, choć za te lata nie dorobiłem się nawet samochodu ani porządnego mieszkania. Dzieci za to wykształciłem i tym się chwale. A pracuję tak dlatego, bo jestem od dzieciństwa nauczony szanować pracę. Zawsze mi rodzice mówili, że praca daje życie. Z tego właśnie powodu pracuję tak, a nie inaczej. A że w życiu nazbierałem tyle tych różnych dyplomów i odznaczeń, to dlatego, że tak samo ofiarnie traktowałem pracę za Bieruta, jak za Gomułki, i tak samo ją traktuję za Gierka. A inni najpierw szybko, potem wolniej i wreszcie byle jak. Potem znowu szybciej i za kilka lat wolniej. A ja zawsze byłem taki sam, uparty i wytrwały.

Oglądanie domowego archiwum Stanisława Bernarda kończę na piśmie, w którym dyrektor naczelny Huty im. Lenina przyznaje mu najwyższe miesięczne uposażenie na hali lejniczej. A on do mnie: – A może rzeczywiście ja jestem z innej planety?



Foto: Andrzej Makuch

JOANNA KRUPIŃSKA-TRZEBIATOWSKA

PROLOG

(fragment przygotowywanej do druku powieści „Zbrodnia”)

Ten list zza grobu wytrącił go całkowicie z równowagi. Przyszedł z poranną pocztą w zwykłej białej biurowej kopercie zaadresowanej na jego imię i nazwisko i już tylko ta koperta pozwalała przypuszczać, że został nadany w Polsce, nie trzeba było nawet patrzeć na znaczki i stemple. Nadawcy nie uwidocznilo, ale i bez tego wiedział, że jedyną osobą, które mogła napisać do niego z Polski był jego przyrodni brat, Jan Berg. Sącząc poranną kawę na tarasie swojej wielkiej i przypominającej warownię rezydencji, co raz spoglądał na przesyłkę, nie spiesząc się wszelako z jej otwarciem i niewiele brakowało, aby w ogóle o niej zapomniał. Dawno temu odwykł od pisywania listów uznawszy je za przeżytek, o ileż bowiem prościej wystukać kilka zdań w komputerze i wysłać je e-mailem.

– Dlaczego u diabła, on się tego nie nauczył? – poczuł nagły przypływ irytacji na myśl, że zmuszony będzie odpisać w tej samej formie, a co za tym idzie przykleić znaczek pocztowy i wrzucić list do skrzynki oddalonej o dobrych kilka kilometrów od domu.

– Przecież zlecisz tę czynność swojej pięknej sekretarce – usłyszał przemawiający do niego łagodnym tonem głos brata.

– To prawda – przyznał mu w duchu rację – w końcu co za różnica, skoro i tak jadę jutro do kliniki. Uspokoiwszy się nieco wrzucił białą kopertę do swojej jasnobrązowej torby na laptopa, którą otrzymał niedawno w prezencie od jednej z liczących się firm farmaceutycznych, której reprezentantka nie omieszkala znacząco napomknąć, że to Strellson wyposażony w szyfrujący zamek nie do pokonania. Tak na wszelki wypadek, aby sobie nie myślał, że to byle co.

– Skoro to Strellson, to może zjemy razem kolację, Ma Chérie – zapytał, patrząc długonogiej dziewczynie prosto w oczy. Wysoka, postawna brunetka nienagannie ubrana jak przystało przedstawicielce swojego zawodu, uśmiechnęła się w odpowiedzi rzuciwszy na pożegnanie: Czemu nie. Ma pan mój numer telefonu, profesorze, proszę zadzwonić.

Ale nie zadzwonił. Strach go obleciał na myśl, że nie stanie na wysokości zadania. Wizytówkę umieścił w widocznym miejscu na swoim biurku i co jakiś czas zerkał na nią kątem oka, wążąc w myślach za i przeciw.

– Za stary jestem na takie balety – strofował się w myślach.

Nieoczekiwanie Amelia Sinsor zjawiała się jak *deus ex machina* tego właśnie dnia z nową partią leków i to w momencie, gdy szamotał się z szyfrującym zamkiem jasnobrązowej torby, bo zapomniał zapisać kodu.

– Niech to szlag – zaklął w duchu na jej widok – tylko tej tu teraz brakowało.

– Pozwoli pan, że usiądę – zapytała i nie czekając na jego odpowiedź usiadła na fotelu *vis a vis* jego biurka zakładając nogę na nogę w swojej przykrótkiej i nazbyt mocno opinającej pośladki spódnicy. Biała bluzeczka zapinana na drobniutkie guziczki też mocno uwypuklała jej sporych rozmiarów biust i przyciągała jego uwagę.

– Co panią tym razem sprowadza – warknął, nie przestając szamotać się z teczką i już gotów był wyłamać szyfrujący zamek przy pomocy skalpela, gdy zaproponowała mu swoją pomoc. Nie zauważył jak to zrobiła, ale torba otworzyła się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki i ze środka wypadła biała biurowa koperta z Polski. Nie zważając na obecność swojego gościa, uznał, że pora przesyłkę otworzyć, zwłaszcza że pomimo wszystko ciekaw był jej zawartości.

– Co panu jest, profesorze? – wykrzyknęła kobieta widząc jego pobladłą twarz.

Stał pośrodku swojego gabinetu trzymając w rękach drugą mniejszą kopertę, która wypadła z pierwszej i znajdujący się w niej list, o dziwio własnoręcznie napisany na eleganckiej włoskiej papeterii. Ostatni list od swojego przyrodniego brata, zaczynający się od słów: Jeśli czytasz ten list, to znaczy, że nie ma mnie już wśród żywych.

– Piękne kaligraficzne pismo – zauważyła kobieta.

Michael podszedł do niej i bez słowa wstępu, nie mówiąc już o grze wstępnej, pociągnął ją za sobą w kierunku kanapy.

– Naprawdę tego chcesz? – zapytał wkładając dłoń między jej uda widoczne teraz w całej okazałości, bo przykrótka spódniczka uniosła się znacząco do góry. Uśmiechnęła się patrząc na niego spod na wpół przymkniętych powiek, lecz nie odpowiedziała. Zdumiał się widząc, że nie protestuje i pozwala mu się całować, a co więcej odwzajemnia jego pocałunki. Przeraziła go myśl, że miałby zмагаć się z rozpinaniem rzędu drobnych guziczków i niewiele myśląc wsunął dłoń pod bluzkę trafiając na gorący sutek. Teraz był pewien, że go najwyraźniej pragnie. Posunął się o krok dalej i gdy rozsunęła nogi, zaczął delikatnie palcami penetrować jej wnętrze. Zadzwoił telefon, ale ani myślał go odbierać, a po chwili do drzwi gabinetu zapukała sekretarka.

– Nie teraz – warknął – proszę iść do domu. Wstał, nalał sobie i dziewczynie potężną porcję whisky i zamknął drzwi od środka na wypadek niezapowiedzianej wizyty swojej prawowitej małżonki. Aczkolwiek zaprzestała składania takowych od czasu, gdy zastała go *in flagrante* w niedwuznaczonej sytuacji z przełożoną pielęgniarką, nie mógł przewidzieć co jeszcze wpadnie jej do głowy. Była artystką, a przez to w jego opinii osobą zgoła nieprzewidywalną, której bał się śmiertelnie od czasu tamtej karczemnej awantury, podczas której usiłowała go zabić. Teraz więc zatrzymał się przy drzwiach na moment, wciąż niepewny swoich poczynań i uważnie przyjrzał się kobiecie stojącej teraz przed nim nago. Musiał przyznać, że zbudowana jest idealnie, zgodnie z zasadami złotego podziału, a przy tym niezwykle pociągająca w swoich krągłościach okrytych kaskadą hebanowych włosów. Podeszła do niego wyczuwając najwyraźniej jego wahanie i zaczęła rozpinąć guziki przy jego koszuli. Jednocześnie ustami przywarła go jego szyi, a następnie zaczęła posuwać się w dół, rozpinając spodnie. Gdy wzięła w usta jego członek już nic nie mogło go powstrzymać, żadna z zasad, którym zazwyczaj dotrzy-

mywał wierności, ani wrodzona ostrożność, której zwykle hołdował. Popchnął ją w kierunku swojego potężnego biurka i gwałtownym ruchem wszedł w jej rozwarłe, ciepłe i pulsujące wnętrze. Jęknęła. Z szeroko rozstawionymi na boki kolanami przypominała teraz motyla, czarnego pazia królowej i migotała niczym motyl schwytany w sieć. Przewrócił ją na brzuch i bez pytania o zgodę rozpoczął brutalnie stosunek analny zadając jej przy tym spory ból, a gdy zaczęła krzyczeć złapał ją oburącz za twarz starając się uciszyć. Przerażona przestała się bronić i poddała jego ruchom do chwili gdy potężny, ekstatyczny i bynajmniej nie tłumiony ryk wydobył się z gardła mężczyzny.

– Przez ciebie dostanę zawału – wyszeptał przytulając dziewczynę do siebie. Zdawał sobie sprawę z przekroczenia granic i liczył się z jej wrogą reakcją, tymczasem ona zaczęła łasić się do niego niczym kotka w rui, ale jego nie stać już było na ten drugi raz, co wywołało oznaki jej niezadowolenia.

– Możesz zaprosić mnie teraz na kolację? – zapytała zapinając bluzeczkę i sposobując się do wyjścia. Nie wyglądała na obrażoną, ani na urażoną, co go zaskoczyło. Spodziewał się, że walnie go w pysk i nie zobaczy jej nigdy więcej.

– Nie dzisiaj, *Ma Chérie* – odparł całując ją delikatnie w policzek – otrzymałem właśnie wiadomość, że umarł mój brat.

– Śmiercią naturalną?

– Co sugerujesz? – spojrzał na nią pytającym wzrokiem, a jednocześnie fakt, że zjawiała się u niego w klinice bez zaproszenia i bez zapowiedzi w takim właśnie momencie obudził jego czujność. Dopiero teraz zaczął zastanawiać się z kim właściwie ma do czynienia. Z przedstawicielką firmy farmaceutycznej, prawniczką za którą się podaje, czy szpiegiem przemysłowym, nie daj Boże! Nagle jej czarne jak węgiel oczy i hebanowe włosy uświadomiły mu, że najprawdopodobniej jest Żydówką.

– Skąd się tu wzięłaś, na Boga? – chwycił ją mocnym ruchem za ramiona wypychając ze swojego gabinetu.

– Co pan robi, profesorze? – krzyknęła przerażona. – O co ci chodzi Michael?

Oprzytomniał widząc jej łzy. Nigdy nie potraktował w ten sposób żadnej kobiety. Nawet prostytutki.

– Już dobrze – powiedział uspokajającym tonem – za rogiem jest niewielka knajpka tam możemy coś zjeść. Prawdę mówiąc jestem śmiertelnie głodny.

Usiedli przy niewielkim stoliku *vis a vis* siebie i dopiero teraz miał sposobność, aby lepiej przyjrzeć się jej twarzy. Nie była piękna, ale z całą pewnością miała urzekający uśmiech.

– Jesteś niesamowita – stwierdził ujmując jej dłoń w swoje ręce. – Mężatka?

– Rozwódka i samotna matka – odpowiedziała, uśmiechając się do niego sarnimi oczami.

– Dlaczego taka piękna kobieta zainteresowała się takim starym dziadem jak ja? – zapytał zastanawiając się w duchu ile kobieta może mieć lat. – Trzydzieści, czterdzieści?

– Skąd taka niska samoocena profesorze? – usłyszał w odpowiedzi jej perlisty śmiech.

– Kawa i *crème brûlée* na deser? – zaproponował.

– Chętnie, ale zaraz potem muszę wracać do domu, bo mój synek na mnie czeka.

Nie interesowało go ani to dlaczego i z kim się rozwiodła, ani tym bardziej ile chłopak ma lat i wzruszył tylko ramionami, gdy zapytała czy i on sam ma dzieci.

– Porozmawiamy o tym innym razem – powiedział, ale intuicja podpowiadała mu, że innego razu nie będzie, bo żadna normalna kobieta nie zechce się z nim spotkać, po tym co zrobił. Wiedział, że ma opinię zszarganą przez jedną z pacjentek, która dawno temu, w podobnych okolicznościach, oskarżyła go o gwałt i zastanawiał się teraz, czy ta dziewczyna o tym słyszała. Odprowadził ją do eleganckiego Porsche, którym przyjechała, uznając kabriolet z podnoszonym dachem za szczyt ekstrawagancji, ale musiał przyznać, że prezentuje się w nim znakomicie.

– Do zobaczenia Amelio!

– Nie myśl, profesorze, że tak łatwo się mnie pozbędziesz – powiedziała cichym niskim i zmysłowym głosem całując go w usta.

Michael wsiadł do samochodu z mieszanymi uczuciami. Nie chciał sprawić zawodu swoją nieobecnością życiowej partnerce, która zaprosiła na ten akurat wieczór sporą liczbę gości, ale z drugiej strony odczuwał nieodpartą niechęć na myśl, że będzie musiał stanąć z nią twarzą w twarz, a ona patrząc na niego z ufnością i niczego rzecz jasna nie podejrzewając, zacznie wypytywać jak minął dzień, z kim jadł lunch i jakich miał pacjentów. Wiedział, że robi to z czystej kurtuazji, dla podtrzymania dobrych relacji, ale że w głębi duszy nie obchodzi jej ani to co on myśli, ani tym bardziej to co czuje. Nie zamierzał też jej opowiadać o śmierci brata, która nie robi na niej najmniejszego wrażenia. Nigdy nie poznała Jana i niewiele o nim słyszała. Raz tylko, gdy odwiedził go w Tuluzie, minęli się w przelocie. Wysiadł z samochodu, objechawszy wcześniej różany klomb dookoła i wrócił do kliniki. W drodze do swojego gabinetu minął zdumionego portiera prosząc, aby nie łączył żadnych telefonów. Chciał być teraz sam. Zupełnie sam i nie życzył sobie, aby ktoś zadreślał go pytaniami. Uświadomił sobie, że ma tyle spraw do załatwienia i w pierwszym rzędzie musi dowiedzieć się kiedy i gdzie odbędzie się pogrzeb, a następnie zorganizować bilety lotnicze i hotel. Informacja o śmierci profesora Jana Berga, była szeroko komentowana na portalach społecznościowych, aczkolwiek wolna od spekulacji na temat przyczyny zgonu, a jedynie między wierszami można było wnioskować, że ten wybitny naukowiec zmarł z przepracowania. Nigdzie natomiast nie mógł znaleźć informacji na temat miejsca i daty pogrzebu.

– Skarżył się na syndrom permanentnego zmęczenia? – przeczytał z niedowierzaniem. – Co za wierutna bzdura! To zupełnie niepodobne do Jana, którego zawsze, w przeciwieństwie do mnie, rozpierał nadmiar życiowej energii. Ale w końcu nic dziwnego skoro był o blisko pięć lat młodszy i nie przeżył wojny.

Michael zaordynował sobie potężną dawkę whisky i opadł na skórzaną kanapę, niemego świadka jego miłosnych wyczynów, wokół której wciąż unosił się zapach ciężkich i orientalnych perfum Amelii Sinsor.

– Nie było tak źle – roześmiał się w duchu – nieźle sobie poradziłeś staruszk.

Myśli kłębiły się w jego głowie, a świadomość, że przez zwykłe roztargnienie mógł przegapić wiadomość o śmierci Jana nie pozwalała mu zmrużyć oka. Czuł się winny

poważnego zaniedbania, niefrasobliwości, bo przecież równie dobrze mogła to być informacja o chorobie dająca szansę, aby się z bratem pożegnać.

– Ale skąd na Boga Jan mógł wiedzieć, że umrze – zachodził w głowę, po czym jeszcze raz uważnie przestudiował list, słowo po słowie, sylaba po sylabie. Wynikało z tego tylko tyle, że Jan Berg przewidując własną śmierć prosił kogoś zaprzyjaźnionego, aby wysłał do jego brata list z tą wiadomością, kiedy to się stanie.

– Tak postąpić mógł tylko facet śmiertelnie chory, w stanie terminalnym, albo osoba spodziewająca się zamachu na własne życie. Michael nigdy by nie pomyślał, że Jan może być aż tak szalony, aby wysłać do niego list po własnej śmierci. Co to, to nie.

– Nawet największy dziwak i egocentryk, za jakiego go zresztą uważał, nie wpadłby na taki pomysł...

Michael czuł się podle z wielu powodów, głównie jednak powodu śmierci brata, której się nie spodziewał. Jan Berg budził w nim zawsze uczucia co najmniej ambi-walentne i to od chwili gdy się urodził, a właściwie od chwili gdy się dowiedział, że ma przyjść na świat. Mama powiedziała mu w Boże Narodzenie, że niebawem będzie miał siostrzyczkę lub braciszka i zapytała, czy się cieszy. Mówiąc, że nie cieszy się nic a nic, sprawił jej przykrość tak wielką, że się rozplakała. Zapamiętał jej łzy, a właściwie jej nieutulony płacz, który dał asumpt do domowej awantury i wybuchu niezadowolenia ojczyma. Został wyprowadzony przez niego z salonu i odesłany na górę do swojego pokoju, gdzie miał spędzić resztę wieczoru, a tymczasem z dołu docierały do niego odgłosy śpiewanych kolęd:

*Stille Nacht, heilige Nacht,/Allesschläft; einsamwacht/
Nur das trautehochheiligePaar. Holder KnabeimlockigenHaar,/*
Schlaf in himmlischerRuh!/ Schlaf w himmlischerRuh!

DANUTA SUŁKOWSKA

NIEZNANY ELEMENT
(fragmenty niepublikowanej powieści
science fiction)



Rozdział III

Milana zrobiła krok do tyłu, aby przyjrzeć się z pewnego dystansu skomplikowanej płataninie barwnych linii na monitorze. Nie była zadowolona. Obraz przypominał trochę niezwykłą, tęczową poświatę wokół jaj, ale absolutnie nie można było uznać, że ją przedstawia. Był nieruchomy, podczas gdy fale i promienie nad gniazdem nieustannie pulsowały; nadpływały i odpływały, zmieniały kształty i barwy. Właśnie z najdalszego szeregu jaj wystrzeliły wąskie, karminowe języki; w okamgnieniu na środku gniazda pojawił się zielonkawy obłok, który najpierw uniósł się, a potem wpłynął pomiędzy wyginające się już w jego stronę, powstałe przed momentem twory. Natychmiast, ze wszystkich miejsc w gnieździe, podażyły w tamtą stronę wielobarwne faliste linie, które skierowane były wcześniej prosto w górę.

Milanie przyszło do głowy, że wygląda to na rozmowę, lub powitanie i zapragnęła dołączyć do towarzystwa, gdy drzwi wejściowe do auli przed gniazdem rozsunęły się i wszedł przez nie ciemnozłoty, o wiele mniejszy od kroczącego za nim Tyrreunusa, smok. Lekkim krokiem przeszedł na środek pomieszczenia, skłonił głowę i uniósł dłoń w powitalnym geście. Dziewczyna wpatrywała się w niego, jak zahipnotyzowana. Smok coś powiedział. Była pewna, że jest to ten sam język, którym mówi Opiekun, ale nie rozumiała. Głos przybysza brzmiał jak muzyka, którą tworzą pomruki i dudnienie bębnow, stukotanie grzechotek i dzwonienie metalowych bransolet na rękach i nogach tancerzy w święto ku czci Słońca. Głos Tyrreunusa był niczym schodząca w górach lawina.

Gość odezwał się znowu. Chyba powiedział to samo, co wcześniej.

– Powtórz jej swoje imię – zasugerował gospodarz i to zrozumiała, zapewne dlatego, że mówił znajomy smok. A może z innego powodu? I choć propozycja nie była skierowana pod jej adresem, wskazała siebie i przedstawiła się. Przybysz próbował powtórzyć. Jego śpiew był dźwięczny i bardzo piękny, ale dziewczyna potrząsnęła głową, bo nie wszystkie głoski były właściwe.

– Mi... la... na... – powtórzyła powoli, a on po chwili trwania z przechyloną głową, jakby nasłuchiwał echa zamilkłego już głosu, zaśpiewał:

– Miiii... laaaa... naaaa...

– Tak! – zawołała i skłoniła się lekko.

Potem ona szukała ludzkich dźwięków dla jego imienia, a gdy powiedziała: *Karridianor* i on przytaknął, usłyszała jego myśli.

- Oto spełnia się przepowiednia – myślał złoisty gość.
 - Czary! – powiedziała dziewczyna. W jej głosie nie było niepokoju, lecz podniecenie i fascynacja.
 - Słyszę cię i rozumiem. To nie czary – powiedział głośno i bardzo powoli powtórzył w myślach Karridianor.
 - Usłyszałam i zrozumiałam. Głos i myśli. To język Atarów.
 - A twój jest ludzki.
 - Jeden z ludzkich. Ludzie mówią różnymi językami.
 - Tak, wiemy.
 - A czy moglibyśmy rozmawiać tylko myślami? Tak, jak z Tyrreunusem?
 - Na pewno. Sprawdźmy...
 - Czy jesteś władcą? – zapytała w myślach.
 - Atarowie nie mają władców – odpowiedział w taki sam sposób. – Należę do kręgu Decydujących.
 - To Sędziwi. Naradzają się i wspólnie decydują w ważnych sprawach – włączył się Opiekun.
 - Inne kręgi mogą zgłaszać swoje propozycje, a nawet zmienić podjętą już decyzję. Ale to trudne...
 - Słyszę myśli was obu – przerwała te wyjaśnienia Milana. – Czy zawsze tak będzie?
 - Nie. Tylko wtedy, kiedy zechcemy. Albo kiedy wezwiesz nas równocześnie – odparł Tyrreunus. – Ale to... tylko wyjątkowo... Rzadko... Na co dzień są kontakty indywidualne...
 - Takie, jak nasze... Z tobą...
 - Chodźmy do jaj – powiedział głośno Karridianor i według Milany zabrzmiało to mocniej i bardziej zdecydowanie, niż gdyby tylko pomyślał.
- Odwróciła się, by podążyć za smokami, które ruszyły energicznie w stronę gniazda, gdy nagle obraz przed jej oczami zawirował, potem zamazał się i znowu pojaśniał. Ale widok, który ujrzała teraz, był zupełnie inny, niż przed momentem.
- Nad brązowo-rudym horyzontem wschodziło wielkie, jaskrawe słońce. Jego promienie oświetlały pofałdowany pejzaż w różnych odcieniach ochry, nad którym szalało kłębowisko piachu, dymu, a może chmur. W wirujących i kotłujących się tumanach pojawiały się i znikaly jakieś trudne do zidentyfikowania, ciemniejsze kształty.
- Nagle krajobraz zadrżał, a w następnej sekundzie dziewczyna ujrzała sceny rozgrywające się w kłębowisku. Była w nim, ale nie brała udziału w tym, co się tam działo. Stała na tarasie wysokiej, kamiennej wieży, wokół której szalała bitwa. U stóp budowli rozciągała się pusta przestrzeń. Na jej obrzeżach stały duże, stalowoszare smoki, zwrócone głowami w stronę tłumów dwunożnych istot, trzymających w dłoniach przedmioty, które nie były Milanie znane, ale wiedziała, że jest to broń. Bronią były też dziwne mechanizmy, niektóre ogromne, wokół których pośpiesznie krzątali się dwunożni. *Szare małpy* – myśl pojawiła się i natychmiast zniknęła, a w jej miejsce przyszła następna: *Gandale*.

Znienacka jedna z machin zadygotała i z hukiem wystrzeliła w stronę kordonu smoków walcowaty, ostro zakończony pocisk. Dwa smoki zionęły na niego ogniem. Huknęło potężnie i w powietrzu rozbłysła ogromna kula płomieni. Posypał się z niej gorący popiół i żużel. W szeregach Gandali zabrzmiał krzyk, kilkunastu dwunożnych upadło, wielu wilo się i szarpało na sobie ubrania z szarego futra. Na kubrakach i spodniach błyskały iskry, dym zasnuł w okamgnieniu dużą grupę rannych. Naprzeciw niej jeden ze smoków zachwiał się i byłby upadł, gdyby nie podtrzymały go sąsiednie. A już nadlatywały dwa inne smoki, które dzwignęły trafionego fragmentem pocisku, a może ogniem i uniosły go poza pole bitwy. Pozostali obrońcy przesunęli się, aby uzupełnić powstałą lukę.

Milana usłyszała szum i obok niej wylądował piękny srebrzysty smok. Rozłożył skrzydła i zaśpiewał. Popłynęła pieśń – wezwanie; była w niej niezwykła moc i dziewczyna zapragnęła stanąć w szeregach obrońców, walczyć, nie dopuścić wroga.

– Milana, Milana – zabrzmiało równocześnie w jej głowie natrętne wołanie. – Miii... laaa... naaa...!

Obraz batalii zniknął, ale wołanie trwało. Uniosła powieki. Wpatrywały się w nią dwie pary ogromnych oczu – jedno błękitne, drugie zielone.

– No, nareszcie... – szepnął Karridianor.

– Gandale... atakują... – wykrztusiła dziewczyna.

Zielone oczy pociemniały. – Gandale... jak wyglądają!? – Sędziwy krzyczał i przestraszona dziewczyna gwałtownie zasłoniła twarz rękami.

– Co? Co się stało?

– Wybacz. Nic... Już nic...

– Widziałam... – zaczęła dziewczyna i jakoś bezzadnie potrząsnęła głową. – Musielście też widzieć...

– Nie.

– Nie... – zdezorientowana Milana znowu potrząsnęła głową. – Ale myślałam...

– Nie odbieraliśmy twoich myśli. Niczego... Dość długo – powiedział łagodnie Tyrreunus.

– Och...!

– Jak wyglądają Gandale? – powtórzył Sędziwy. Z naciskiem i chyba odrobinę niecierpliwie.

– Prawie jak ludzie. Skóra koloru... miedzi. Ubrania z szarego futra...

– Ubrania?

– Tak.

– Odzież? Na pewno?

– Na pewno. Kaftany i spodnie. Zdzierali je z siebie, gdy spadły odłamki i iskry z pocisku. Pod ubraniami skóra, taka jak na twarzach.

– A w legendach są istoty o szarych futrach...

– Ubrani... Tylko twarze widać... I dłonie...

Karridianor wyprostował się i przyłożył dłoń do dużego medalionu na swojej szyi.

– Sędziwy Karridianor do Statku-Matki – powiedział i tarcza breloku zaślnęła jaskrawą zielenią.

- Jesteśmy – odezwał się ze wszystkich stron spokojny głos.
- Baza potrzebuje Widzącego.
- Wykonujemy. Czy twój planetolot odesłać czasowo na orbitę?
- Tak. Dziękuję – Sędziwy zdjął rękę z medalionu i zielone pulsowanie zniknęło.

Rozdział XXXIV

W przestrzeni, w dużej odległości od KROGULCA, pojawił się pojedynczy rozbłysk, a po krótkiej chwili trzy grupy czerwonych punktów, które równie szybko zgasły.

– Nieznany materiał wybuchowy. Mała siła rażenia. Niewielki zasięg – zameldował Inżynier.

– To tylko manifestacja zamiarów. Muszą wiedzieć, że z takiej odległości nas nie dosięgną – skomentował wydarzenie Mędrzec.

– Muszą? – mruknął z powątpiewaniem Tyrreunus.

– Trzeba się szykować – westchnął Jaron.

– Alarm bojowy. Wszyscy na stanowiska – zaśpiewał dowódca i jęk alarmu tylko trochę wyprzedził szelest drzwi otwierających się i zamykających za komendantem eskadry myśliwców.

– Ta syrena kompletnie mnie rozprasza – podenerwowanie Barena wyraźnie wzrosło. – Sofirinie, przejmij kontrolę zewnętrzną.

– Cały czas mam kontrolę...

– Wyłączyć alarm dźwiękowy – zadysponował Tyrreunus i zawodzenie syreny ucichło, za to szybciej zaczęły pulsować czerwone światelka sygnalizatorów. „Normalnie” były zielone i nie mrugały.

– Te czerwone rozbłyski też przeszkadzają.

Szybki gest dowódcy zatrzymał migotanie światła, ale lampki kontrolne nadal świeciły na czerwono.

– Wyłączyłeś na całym statku? – zaniepokoił się Sofirin.

– Tylko tutaj. Nic nas nie powinno rozpraszać. Wszędzie mruga. To wzmacnia czujność.

– Myśliwce gotowe do startu – zameldował Baren.

– Dobrze. Czekaemy.

Obcy statek zbliżał się. Grupy czerwonych punktów pojawiały się częściej i stały się liczniejsze.

– Nadal nie mogą nas dosięgnąć. Marnują amunicję – stwierdził lekceważąco Inżynier.

– Może nie potrafią dokładnie określić odległości – wysunął przypuszczenie Mędrzec. – Albo po prostu straszą...

Z obcego statku wystrzeliła pomarańczowa smuga i tuż przed KROGULCEM wybuchnął gejzer eksplozji.

– Nowa broń – poinformował spokojnie Sofirin.

– Nieznany materiał wybuchowy – dodał trochę nerwowo Baren. – Analizuję widmo... To samo co poprzednio, tylko zasięg większy.

– Pociski zaporowe – zadysponował Tyrreunus, przebiegając palcami po klawiaturze. Natychmiast zapaliły się powyżej dwie nowe kontrolki. – Gotowe.

– Potwierdzam – głos Inżyniera brzmiał teraz spokojnie i pewnie.

Kolejna pomarańczowa smuga tylko o mgnienie wyprzedziła szybki ruch dowódcy nad pulpitem. Jego palec zatrzymał się na szkarłatnym prostokącie. Palce drugiej dłoni wprowadziły parametry strzału.

– Broń zaporowa. Strzał – powiedział i niemal w tej chwili pocisk obcych eksplodował. Jednak wybuch nie miał teraz postaci kulistej; z jednej strony był splaszczony; pomarańczowe pręgi detonacji zdawały się spływać po niewidzialnej przeszkodzie.

– Dobrze – ucieszył się Inżynier. – Precyzyjnie to zrobiłeś.

– Mamy wszystkie aktualne parametry... – Tyrreunus urwał. Gdy odezwał się ponownie, jego głos miał inne, mocniejsze brzmienie.

– Dowódca do komendanta eskadry. Zgłoś się.

– Melduję się – basowy śpiew Jarona wypełnił sterownię.

– Eskadra myśliwców – start!

– Wykonuję!

– Sofirin – monitorowanie zewnętrzne eskadry.

– Wykonuję!

Widzieli na monitoringu pomieszczeń statku jak zewnętrzne wrota przeznaczonych dla myśliwców hangarów otwierają się i małe jednostki bojowe mkną w przestrzeń.

To była dziwna walka. KROGULEC i ustawione prostopadłe do jego boków myśliwce tylko blokowały pociski obcego statku. Trafiały one w te zapory pod różnym kątem i część z nich odbijała się i pędziła z powrotem. Wybuchwały w przestrzeni, często powodując detonację tych, które wystrzelono później. Między obu statkami szalała istna zawierucha eksplozji. Godwanowie kilkakrotnie zmieniali kurs, prawdopodobnie zamierzając podejść do KROGULCA z boku, ale jego pilot pilnował, aby mieć napastnika cały czas na wprost siebie. Myśliwce dostosowywały się do tych manewrów. Czas płynął.

– Nie cofną się – powiedział wreszcie z wahaniem Sofirin.

– O tym samym właśnie myślałem... – Tyrreunus położył jeden palec na czerwonym prostokącie i drugi na żółtym tuż obok niego. – Broń zaporowa z odrzutem. Gotowe.

– Potwierdzam – zaśpiewał Baren.

– Broń zaporowa z odrzutem. Strzał.

Pędząca w stronę KROGULCA pomarańczowa smuga odbiła się od niewidzialnej przeszkody i ruszyła z powrotem. Pocisk eksplodował tuż przed Obcym. Statek zadygotał.

– Senter, penetracja statku Godwanów.

– Wykonuję – palce pilota przebiegły po pulpicie i przed Atarami wyświetlił się wirtualny ekran. – Najpierw sterownia...

Zobaczyli owalne pomieszczenie, a w nim kilka jednakowo ubranych postaci.

– Bardzo mały ten obraz... – skomentował Inżynier. – Ale widać, że oni wyglądają tak samo jak Gandale. Tylko...

– Obraz nie jest najważniejszy. Szczytuj dane – przerwał mu Tyrreunus, równocześnie posyłając w przestrzeń kolejny pocisk.

– W trakcie... – zamruczał pilot. – Przechodzę do innych pomieszczeń. – To dosyć prymitywny statek. Słaby napęd, elektronika nie dorównuje naszej. O wiele mniej możliwości... Nie mają na pokładzie żadnych mechanizmów powietrznych. Za to sporo różnych urządzeń do pracy na stałym gruncie. Niektóre mobilne. Po obu bokach statku podwieszone dość duże jednostki latające. Uzbrojone i zaopatrzone w maszyny naziemne.

– Wprowadzam zakłócenia elektroniki statku nieprzyjaciela. Barenie, przejmij ostrzał – dłoń dowódcy powędrowała do wirtualnego monitora i zatrzymała się przed jednym z kilku rzędów tajemniczych dla laików symboli. Wskazujący palec Tyrreunusa lekko drgnął. Statek Godwanów przechylił się kilkakrotnie najpierw na jeden, potem na drugi bok. Dowódca cofnął dłoń.

– Tylko tyle? – zdziwił się Inżynier.

– Godwanowie wchodzą do bocznych rakietek! – zameldował pilot.

– Włączą się do walki – westchnął Sofirin. – Czy można zakłócić pracę ich urządzeń, aby nie wystartowały?

– Nie zdążę... – odpowiedział pośpiesznie Tyrreunus i połączył się z Jaronem.

– Dowódca do komendanta eskadry. Zgłoś się.

– Melduję się! – basowy głos Wojownika zdawał się płynąć ze wszystkich stron.

– Za chwilę wystartują dwa duże, uzbrojone pojazdy nieprzyjaciela. Trzymaj je z daleka od KROGULCA.

– Wykonuję.

Duże, trochę pękate rakiety oddzieliły się od boków statku Godwanów i pomknęły w kierunku KROGULCA. Słyszeli komendy Jarona, widzieli, jak w każdym z dwóch wspierających statek szeregach myśliwców trzy zewnętrzne łamιά szyk i odlatują w stronę wroga.

Pociski zaporowe z odrzutem trzymały rakiety nieprzyjaciela na dystans, nie mogły jednak uniemożliwić im manewrowania. Dość szybko zatoczyły one łuki w przestrzeni, najwyraźniej z zamiarem podejścia do KROGULCA z boków. Rozbłyśki wybuchów między nimi a myśliwcami stały się częstsze. Częściowo zmieniła się ich natura. Nie mieli czasu się nad tym zastanawiać. Nagle jedna z rakiet zadygotała. Drugie szarpnięcie wytrąciło ją z kursu. Leciąca teraz równolegle do statku Atarów, tylko w przeciwnym kierunku. Myśliwce towarzyszyły jej niczym straż przyboczna, cały czas strzelając.

– Przeszli na ostrą amunicję – powiedział Tyrreunus, odrywając na moment wzrok od swoich przyrządów.

– Och! – jęknął Sofirin. – To dlatego teraz wybuchy wyglądają inaczej! *Chroń wszelkie życie...*

Dowódca spojrzał na niego przelotnie i posłał naprzeciw pociskowi nieprzyjaciela kolejny strzał zaporowy z odrzutem. Wiedział, że zapas energii kurczy się. Nadszedł czas, aby zmienić sposób prowadzenia walki.

– Barenie, przejmij ostrzał – rozkazał i otrzymawszy potwierdzenie, sięgnął do wyświetlającego się powyżej planu statku Godwanów. Spokojnie, z namysłem przesunął palcami nad kilku symbolami oznaczającymi różne funkcje, a może urządzenia jednostki. Gdy włączył nasłuch ze statku wroga, niemal natychmiast odezwał się mechaniczny głos tłumacza. To był chaos fragmentów wypowiedzi Godwanów. Smoki miały wrażenie, że automatyczny tłumacz nie nadaża, dławi się wielością danych. Obcy mówili równocześnie; to była dyskusja, a może kłótnia. Tyrreunus wyłączył głos tłumacza i jego przekaz wyświetlał się już tylko w formie napisów. Czytał: *Oni się tylko bronią..., Te małe już uszkodziły..., Zaczepna, na pewno za..., Użyliby..., Tylko małe naprawdę..., Zlikwidować małe pocis..., Odłonić? Oni na..., Wystrzelą wte..., Ty wiesz? Nie ryzy..., Jeden raz nie...*

Tyrreunus położył palce na dwóch symbolach. Na wyświetlaczu tłumacza pokazały się jeszcze dwa strzępy rozmowy i zaraz dwukrotnie powtórzony tekst: *Awaria systemu sterowania*. Śledził wypowiedzi Godwanów, z których jednoznacznie wynikało, że ich statek stracił możliwość manewrowania. Znow dotknął jakichś symboli i po małej chwili przeczytał: *Wyrzutnie pocisków unieruchomione... Powtórz... Nie możemy strzelać... Powtórz... Brak reakcji*.

Powrócił chaos wypowiedzi. Próbowano usunąć awarię. Bezskutecznie. Obcy wpadli w panikę. Nie umieli znaleźć sposobu rozwiązania problemu.

– Tu KROGULEC, statek planety Ataria. Poddajcie się – zaśpiewał dowódca, włączając głos tłumacza. W kabinie zabrzmiały obce, beznamietnie wypowiadane przez maszynę słowa. To było tłumaczenie wezwania Tyrreunusa. Natychmiast odezwały się niemal chóralne okrzyki zaskoczonych i zdezorientowanych Godwanów. Dość szybko kilkakrotnie powtarzane, prawdopodobnie przez tę samą osobę, wezwania do uciszenia się, poskutkowały. Teraz mówił tylko jeden Godwanin.

– Statek Ru...je... kan do Krogulca. Powtórz.

– KROGULEC do statku Ru-je-kan. Przejęliśmy nad wami kontrolę. Poddajcie się.

– Nigdy!

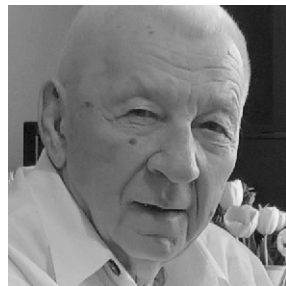
Padło kilka wrogich wypowiedzi pod adresem Atarów i buńczuczne zapewnienia o nieustępliwości Godwanów. Potem znow Obcy rozmawiali ze sobą. Tyrreunus westchnął, pokręcił z dezaprobatą głową i wyłączył głos tłumacza.

Ru-je-kan skręcał. Rozpoczął wykonywanie pętli w przestrzeni. Tak zaprogramował jego lot dowódca Atarów. Miało trochę potrwać, zanim znow zbliży się do KROGULCA.



JÓZEF BRATKO

DLACZEGO PISZĘ?



Przed każdym, kto weźmie tę książkę do ręki („Lunapark II” – w przygotowaniu do druku), uchylę kapelusza. Być może, usłyszę zarzut, że piszę zbyt czarno, ponuro. Nie boję się krytyki. Zgadzam się z taką oceną. Jest moja. Pisząc, nie biorę pod uwagę posługiwania się nieprawdą, czymkolwiek, co by zniekształcało obraz opisywanych zdarzeń; on zawsze jest taki, jaki stworzyła go natura, powstał z inspiracji ludzi, w przestrzeni skonkretyzowanej, którą dostrzegam, którą znam. I zdarza się i jest! A zatem to, co jest obok, to cynizm i nieprawda.

Z tego względu atmosfera moich wierszy nie zawsze współgra z ogólnie przyjętym kanonem pisania poezji ulotnej, pięknej. Jest coś jeszcze, z czego nie potrafiłem zrezygnować. Otóż każdy mój wiersz jest w pewnym sensie swoistym reportażem. Czymś, co oprócz emocji i piękna niesie treści przypisane formie dziennikarsko – literackiej (lub na odwrót), a więc fakt, dokument, ślad pozostawiony, sfotografowany i opisany, także znakiem wersyfikacji. Jest dochodzeniem do prawdy.

W każdym niemal wierszu jest poezja, ale także większa lub mniejsza dramaturgia życia człowieka.

Te sprawy dominują w mojej pamięci. Kroczą za mną i są ze mną przez blisko dziewięćdziesiąt lat. I wiem, że życie, każde, nie ma jedynie jasnych i ciemnych kolorów, są także pośrednie. Niezależnie od mundurów, mimik twarzy, czy sytuacji uogólniających zdarzenia. Wiem, widziałem, słyszałem choćby wówczas, gdy stałem twarzą do ściany, obok ojca, obaj z podniesionymi rękami, ja w krótkich chłopięcych portkach, mający dwanaście lat, oni w mundurach.

Wierzę, że po przeczytaniu ostatniej kartki, ostatniego wersu tej książki – mój Czytelniku – będziesz pewien, że nie trzeba Doliny Jozafata, aby nasze pojęcia spotkały się w tym samym miejscu. Wtedy podamy sobie dłonie.

DLACZEGO?

Dlaczego...

... piszesz jak człowiek złupiony
przez złodziejski gang
czarno
chmurno
z wyobrażeniem zła
i
trwogi

stawiasz swoich bohaterów w sytuacjach trudnych
bez wyjścia
dobywasz co podłe
tworzysz życiorysy
wybierasz wskazujesz
skrywasz za nie swoje „ego”

dlaczego...

... piszesz jak wędrowiec który szedł połową świata
przekraczał rzeki bez mostów
krążył gubiąc trasy utarte
żłobienia kopne
marszruty niczym struny wybrzmiewające
melodię drętą
i
ponurą
ku przyszłym celom
nie kryjąc co przeszłe

piszę słowa odmienne
ciężkie kaleczące czas
i

miejsce
burzliwy krąg gna błyskawice
dzień nagina ku nocy
gdzie ropień
i
przeszłość rozszarpująca
z oddalenia
z dolów
znad chodników
gdy naprzeciw sterczały niedopalone
resztki macew oprawionych w całun
Dnia Ostatecznego

dlaczego...

...znad ciał nieruchomych wzbijały się
i
przygasały płomienie
gdy globem targały wizje tysiącleci
gesty trupie czaszki
i
rzędy koszul brunatnych

dlaczego...

...jest czerwień jest czern

i

mars nad czołem

i

znaki Rzymian

sięgające w bezkres wojennych zawirowań

i

niszczenia

dlaczego...

...piszę frazy lepię popiołem

spod okruchów skalnych

z palenisk

w imieniu nieobecnych którzy nie wrócą

i

nie będzie miodowych miesięcy

dlaczego...

...mowa która jest ciemna

jak barbaryzm z głębi prymitywnych kultur

który stygnie na framugach wyschniętych warg

nieproszony

dlaczego...

...piszę słowami w których czerwień paląca

lub koloryt czerni

jak atrament

płyń

kropla po kropli

placze nad piętnem przeszłych dni

i

lat które wsiąkały w miejsca

przedeptane gdy spod podeszew

wyzierała śmierć

by dosięgnąć nadpalonych rześ

i

nie starczało łez

by się pobjawiska

okryły zielenią

dlaczego...

...piszę z wysypisk brudu

które jak nieobrandy ziemniak
rzucony na dno wysuszonego głodem kotła
gdzie tyran
zarobaczony własnym obrazem
nieomyślności
tłoczy się dziczeje
wyciska własne znaki
dlaczego...
...piszę kreśląc współrzędne
siedlisk bez światła
bez oczu
gdzie szkielety wzdłuż dróg
którymi ktoś pędził galopem
triumfu
i
grano „Parade Marsch”
i
chudość niosła naręcza nędzy
ludzi wyrzuconych
dlaczego...
...piszę z miejsc gdzie cienie bieleją
i
krążą nad drogami bez zapomnienia
iżby królestwo przemocy
runęło
gubiąc szacunek
w przedwieczornej godzinie
umierania
dlaczego...
...piszę gdy nie ma już powtórzeń
i
odwrotów
choć wciąż brzęczy ich pogłos
i
kasa
i
złorzeczy
i
czai się
i
czeka
by cios umieścić

bezbłędnie
gdzie mózg
mój
twój
jego
dlaczego...
...piszę słowa głuszące
pęczniejące zemstą
z pieców krematoriów
z przestworzy galaktyk
z serc
zespolone
w lodowatym zachwycie z jądra świata
gdzie wina
i
tępe narzędzie odwetu
dlaczego...
...piszę pośród żałobnych półobrazów
wyrwanych z „czasów niepamięci”
których resztki rozkołysany trznadel
w błazeńskim przebraniu
rozsypuje nad głowami
tworzy prawdy
i
półprawdy
w wymiarze własnym
segreguje wyrzuty przeszłości
których nie było
przebiera sortuje
i
ciągnie
niczym bluszcz wokół ludzkiego
„ja”
gdy ktoś pogrzebany
inny
nikt
dlaczego...
...piszę czekając
kiedy przebiśniegi
sławić nas będą
i
wołać
gdzie jesteś czasie nieśmiertelny

czy pośród nocy
jak tamte
w miejscach przez które maszerowały wojska
dymy się smużyły
i
gniew się burzył
nad mogiłami
które domagają się prawdy
dla siebie
i
pokoleń
i
będą za dziesięć za sto za tysiąc lat

dlaczego...
...tworzę wersy które pozostają jak płomienie
ponad wypiętrzające się
szczyty Ziemi gdzie niebo
i
słońce
w miejscach gdzie być powinny
i
są

dlaczego...
...piszę treści jak przysięga
lub żagle wciągnięte na maszt
na których płonąć będą znaki jutra
echem oczyszczonym
z wybojów
i
pustkowi
z nakazem ucłowieczenia
bez pychy
i
mroku

piszę
płacąc monetą z napisem „dziś”
by igrać słowem żywym z sobą
i
czasem który
będzie

ARKADIUSZ FRANIA

**REPORTAŻ Z WYJAZDU DWÓCH
PROZAIKÓW Z WOJEWÓDZTWA ŚLĄSKIEGO
NA FESTIWAL LITERACKI W STOLICY**



Zaproszenie na literacki Festiwal Dużego Formatu w Stolicy przyszło raptem i niechcący. Nieoczekiwanie dla mnie i Anioła Pilnującego, ten musiał przysnąć (oko poleciało przez dziurkę w guziku, przez którą Angielsi zwykli po sutym obiedzie podglądać nagle nagie jurne Ziemianki w kąpieli), bo nie szturchnął podopiecznego kościsto-niebiskim łokciem w żeberko, gdy odbierałem telefon dzwoniący z nieznanego numeru.

Ale tak już w życiu jest, że jak chodzimy koło czegoś, zabiegamy, niedosypiamy – nic nie wychodzi, kamień w żołądku, nerwy zawiązane w zupełny gordyjski supeł. A gdy człowiek wyzwoli się spod tyranii jątrzącego głowę słowa-tarana „trzeba”, wnet puzzle swawolnie układają się i wiatr ciepły owiewa nam szyję po tygodniach ziąbu. Znika opresyjna opryszczka i paruje perfidna parafina.

Podobnie rzecz się miała z Festiwalem Dużego Formatu. Myślałem, gdzie Warszawa, a gdzie ja, malejące ziarenko we wszechświecie: och, ileż to razy w noc przy chłodnym gwizdzie gwiazd, wyobrażałem sobie, że siadam na własnej wyciągniętej dłoni i przyglądam się ja-wielki ja-maleńkiemu, a potem zdmuchuję się i frunę w czeluść siebie, zaprzepaszczam w przepaści.

Niegdyś jęczały mi cichuteńko trzewia: „Nikt mnie nie zaprosi, bo po co, na co, czemu?”.

A jednak zaprosili czterech prozaików polskich. Promowałem książkę, o której już dawno zapomniałem, że jest ze mnie, z mojej krwi i kości, brwi i ości, marchwi i ostu, że wysnułem ją z żył, żyłek, włókien i tkanek. Czemu ta proza tak mnie przeinacza? Czemu najpierw muszę przejść przez most, żeby opisać przejście mojego bohatera przez most? Czemu mi się nie przywidzi? Czemu jestem tak głupi? Podczas pisania rozmawiałem z panem Alterem Ego, z tym demonem „on-nie-ja-a-jednak-ja”:

- Cześć – pyta Alter Ego.
- Cześć – odrzekłem.
- Co robisz?
- Piszę.
- Co piszesz?
- Literaturę piszę.
- Literaturę?
- Tak, literaturę. W literach robię.
- O to tak, jak Kazik, co szyldy robił. Wycinał litery i układał. Hasła potem były.
- To inna profesja. Ja inaczej, z czego innego robię literaturę.

– A z czego? Przecież nie pamiętam, żebyś kiedyś pisał.

– Piszę z życia.

– Z czego? Nie rozumiem. Źle cię słyszę.

– Mówię, że piszę z życia.

– A co to znaczy?

– No, piszę z siebie. Z tego, co widzę, słyszę, czuję, chcę, zapominam. Piszę też z Agatki, z tego, jak mówimy i milczymy. I piszę z ciebie, że ty pytasz, a ja odpowiadam, że jesteśmy.

– To teraz rozumiem. Zwyczajnie spisujesz. Spisujesz z życia, nawet ze mnie. Czyli papugujesz. To dobrze pamiętałem, że nie potrafiłeś pisać. No to cześć, muszę lecieć, a tobie i twojej rodzinie życzę szczęścia i zdrowia przede wszystkim. A tobie życzę i tego, żeby udało ci się wreszcie coś dobrego napisać, bo z tego, co mówisz, to nie piszesz, tylko zgapiasz.

Żeby wyjechać, muszę najpierw odprawić rytuał wyjazdu. Czy wszystko zabrane? Czy nic niepozostawione? Czy noga, ręka, mózg i ściana są we mnie w należyтым porządku od wschodu do zmierzchu. Cztery paczki chusteczek higienicznych, rozstawione po kątach kieszeni, rozepchana marynarka, odstające poły i ćwierci spodni. Skarpetki bezuciskowe, cztery koszule (trzy białe i jedna błękitna), krawat na wszelki wypadek, gdyby trzeba było jeszcze bardziej usztywnić się w elegancji. Dwie pary spodni, na „tu i tam” oraz na zmianę. Kolejny 32-kartkowy zeszyt w kratkę i nowy długopis. Przed każdym dłuższym pobytem poza domem, kupuję ten sam zestaw piśmienny, licząc na wenę, a ona nie przychodzi i rośnie mur cienkich niezabrudzonych literaturą brulioników – świadków niemocy, beztwórczości. Następny długopis staje się nic-nie-pisem i ląduje w zielonym kubku z nosem; nos rzeczywiście wystaje z ceramiki, ale oczy, szeroki animkowy uśmiech przyczepiony do rąk-stóp (stop rąk, nie wiem, czy to ręce czy stopy) są namalowane. Jednak pisanie to narzędzia. Tylko długopis i zeszyt stanowią niepodważalne dowody na bycie autorem, gdyż proces myślowy... kto widział taki proces? Może to wypieki na twarzy, czerwone uszy, żyła pękata na szyi czy czole? Albo kac od białej rany, białego rana?

Do jednej czerwonej walizki na kółkach pakuję ciuchy i książki na promocję. Lekarstwa do torebki na podorzędziu. Teraz jest mi łatwiej, odkąd korzystam z dobrodziejstwa bioenergoterapii. Jako bogobojny (strachliwy nawet) rzymski katolik niby wiem, że kościół zakazuje ezoteryki, tarota, wróżb czy masażu leczniczego, ale wierzę, iż nie obrażam Stwórcy, skoro chcę być lepszy i chcę mieć siłę, by wychwalać Jego imię i cuda. Terapeuta spod znaku „bioenergo” w niczym nie różni się od psychologa. Leży pacjent na kozetce i trwa rozmowa. Wymiana poglądów, sądów. Terapeuta patrzy na aurę energetyczną i konkretne problemy. Podsuwa techniki radzenia sobie z sobą, gdyż konflikty zawsze tkwią jedynie w „ja”. Nie inny człowiek denerwuje, lecz „ja” wytwarza stan bycia zdenerwowanym. Poza tym przepływy energetyczne, czakramy, poziomy rozwoju duchowego. Wszystko w symbiozie z Bogiem.

Wyruszam na dworzec kolejowy Częstochowa Osobowa, gdyż jestem osobą. Ściągnami ciągnę walizkę. Jest nowa, dlatego szukam środka ciężkości, żeby nie było ciężko ciągnąć, żeby było lżej dowiec się na peron i tor. Walizkę cechuje opór i upór. Kłobie się, waha, podskakuje na nierównościach chodnika, ociera brzuchem o trotuar.

Oto i sezam dworca. Odstępuję od toru, wsuwam plastikową rączkę i chwytam walizkę w prawicę. Bilet wskazuje mi miejsce: numer 36 przy oknie. Siadam i zaczynam parować. Ochłonać, odpocząć, 3 godziny jazdy. W przedziale jedna młoda pani, którą poznaję z kościoła; ma chudą, żylastą i nerwową matkę, a ojca siwiejącego ze szpakowatym grubym, krzaczastym wąsem. Druga pani jest starsza od młodej i nie chce, żeby zasuwano drzwi do przedziału. Siedzi przy korytarzu i pilnuje otworu. Mijam Polskę od Częstochowy do Warszawy Centralnej.

Dojrzała pasażerka rozmawia z kimś z rodziny, chyba z synem, prosi go, żeby zawiózł Kasię i zabrał altówkę oraz stojak na nuty. Syn sprawia wrażenie zaspanego, bowiem matka powtarza:

– Nie skrzypce, lecz altówkę. Rozumiesz, altówkę, nie skrzypce. I weź stojak na nuty. Stojak na nuty i altówka. Altówka, nie skrzypce. Zrozumiałeś już, czy mam Ci powtórzyć? Przecież wiesz, jak wygląda altówka, nie da się jej pomylić ze skrzypcami. Altówka i stojak, stojak na nuty.

Jest 9.25 i z każdą chwilą wyprzedzam pola, drzewa, domy, przejazdy kolejowe. Zatrzymujemy się tylko na kilku stacjach: Radomsko, Piotrków Trybunalski, Koluszki, Skierniewice, Żyrardów, Warszawa Zachodnia. Przy pewnej budce dróżniczej dostrzegam dwie panie nauczycielki i ośmioro, dziesięcioro dzieci w wieku 4 – 5 lat ubranych karnie w zielone odbłaskowe kamizelki. Brygada przedszkolaków roi się między opiekunami a elewacją domku dróżniczki. Przyszło mi do głowy, że ekipa krasnali będzie porządkować torowisko. Małe zwinne palce wybiorą każdą zaschniętą muchę i opakowania po chipsach.

W lewej kieszeni spodni odzywa się telefon. Jacek Durski pisze SMS: „Jadę”. Ja odpowiadam Jackowi: „Ja też”. Obaj jedziemy na Festiwal Dużego Formatu, ja z Częstochowy, Jacek z Sosnowca. Ja PKP TLK, Jacek pendolino (pędzi doliną). Ja wolniej, chociaż szybk, Jacek szybcitko, najszybciej.

Tunel Warszawy Centralnej. Wyfruwam z niesforną walizką na peron 3. Rozglądam się i widzę na sąsiadującej platformie jasną postać towarzysza następnych 2 dni w mieście stołecznym. Siwy brodac Jacek Durski czeka. W tej brodzie ukrywa wszystkie słowa, którymi zaraża kartki papieru, rzucając się jak wariat między jednym a drugim biurkiem. Mędrzec, filozof ma coraz gorszy wzrok, ale węch na baby. Jesteśmy umówieni. Wyjeżdżam ruchomymi schodami z peronu 3, zjeżdżam ruchomymi schodami na peron 2. Witamy się jak starzy znajomi, nie tylko z Facebooka. Dotąd spotkaliśmy się twarzą w twarz może 2 razy, wtedy gdy pisałem książkę o Jackowej twórczości i szperałem w jego archiwum domowym. Mimo różnicy wieku (30 lat), łączą nas jakaś najważniejsza męsko-męska więź nieokreślona i nawet gdybym nie miał zobaczyć już Jacka nigdy więcej, to mentalne połączenie istniałoby.

Taksówką spod dworcową jedziemy na Krakowskie Przedmieście do Domu Studenta Uniwersytetu Muzycznego Fryderyka Chopina „Dziekanka”. W budynku młodzi Azjaci uśmiechają się i uśmiechają, i uśmiechają oraz mówią: „Dzień dobry, dzień dobry, dzień dobry”. Aż mi trudno uwierzyć, że Japończycy chcieli podbić Chińczyków i przy okazji urządzali masakry, rzezie, tortury. Odcięta głowa, odcięta noga. Rzeka, krew. A jak dla Polaka śmiesznie musi brzmieć przesłuchanie czeskiego opozycjonisty przez siepacza z czechosłowackiej służby bezpieczeństwa? A jak to możliwe, że w języku Puszkina, Lermontowa, Gogola, Czechowa i Wieniedikta Jerofiejewa były sporządzane listy skazanych na zagładę?

Trwają transmisje Konkursu Pianistycznego im. Fryderyka Chopina. Na żywo, kilkanaście godzin dziennie w TVP Kultura i TVP HD, sesja poranna i popołudniowa. Jak relacje z mundialu w piłce nożnej. W domu nie mogłem oderwać się od ekranu. Przesłuchania, kolejne etapy, półfinały. Zmiany fortepianów: Yamaha, Steinway & Sons, ShigeruKawai, Fazioli – upajam się dźwiękami słów, zwykle wtedy przysmykam oczy. Coraz łatwiej wpadam w egzaltację, to efekt starzenia się i wysychania zasobów buntu. Bezinteresownie grzęznę w zachwycie nad polonezami, mazurkami, nokturnami, scherzami, balladami, etiudami, preludiami, sonatami, koncertami. Niepodobna? Podobna, mimo iż najmocniej fantastycznieje mi dusza przy heavy metalu. Zastanawiam się, czemu uczestnicy Chopinaliów nie wożą z sobą instrumentów, tak jak sportowcy swoich atrybutów: kul, oszczepów, tyczek.

Dzielę z Jackiem duży pokój dwuosobowy. Naprawdę duży, bo zrobiłem długie „u” i rozległo się przygaszone echo. Zadudniło. Okna wychodzą na Krakowskie Przedmieście, na Pomnik Adama Mickiewicza znajdujący się na Skwerze imienia pierwszego najlepszego z wieszczów. Na tapczanach spoczną nasze ciała, ale przedtem przy stoliku te same ciała wymienią słowa. Jacek niedowidzi, ale wszystko widzi. Pomagam mu rozpakować się. Wokół zapach dżemu truskawkowego.

Proponuję, byśmy zjedli ciepłą strawę. Wychodzimy. Przechadzamy się Krakowskim Przedmieściem w poszukiwaniu jadalni, po drodze wrzucam 2 złote do puszek wolontariusza zbierającego na operację chorej dziewczynki i 2 złote dla pijaczka wprost do ręki. Nie pada, ale deszcz wisi w chmurach. W kawiarni zamawiamy po naleśniku. Jest ciasno i przytulnie. Gniazdo. Rozmawiamy, Jacek pyta o moje życie rodzinne i Agatkę, którą wyczytał z mojej prozy. Do kawiarni weszła głośna włoska grupa. Mój naleśnik ma opóźnienie, bo Włosi gdzieś pędzą, niosą kawy jak trofea, stawiają na stolikach, rozlewają, gadają, śmieją się. W rozmowie i słuchaniu rozmów w ciągu 20 minut mija półtorej godziny. Na Krakowskim Przedmieściu zostawiam Jacka przy słupie ogłoszeniowym i pospiesznym krokiem szukam sklepu spożywczego. Wniosek: w centrum Warszawy nie ma spożywczaków. W kiosku Ruchu dowiaduję się, że 300 metrów dalej jest Społem. Jest. Kupuję bułki, banany, wodę.

W pokoju przygotowujemy się na spotkanie autorskie, łączone, duet. Golę się i odkrywam, że nie zabrałem kremu do twarzy. Wybiegam na Krakowskie Przedmieście

i znowu pospiesznym krokiem szukam, tym razem drogerii. Wniosek: w centrum Warszawy nie ma takiego sklepu. W kiosku Ruchu dowiaduję się, że w promieniu kilometra żadnej drogerii, nabywam więc krem nivea, dobry na wszystko. Opancerzony w garnitur psikam zapach. Pytam Jacka, czy też go nie psiknąć. Zgadza się, więc psik, psik. Dwóch prozaików z województwa śląskiego, Jacek z Sosnowca, a ja z Częstochowy, pachnie tą samą wodą toaletową „CubaOriginal / by Parfums des Champs / Cuba Gold for Men / EauToilette – Natural Spray”. Mężczyźni różnią się od kobiet, które za nic w świecie przed imprezą nie podzieliłyby się perfumami.

Taksówka wiezie nas na Saską Kępe, do „Do widzenia do jutra”. Z piosenki Agnieszki Osieckiej pamiętam, że „to był maj, pachniała Saską Kępą”. Nie mam żadnych skojarzeń zapachowych. Lokal oszklony, parter i piętro. Informujemy panią za barem, że jesteśmy autorami; dziewczyna wskazuje nam salę na piętrze. Wspinamy się do niewielkiego pomieszczenia, z którego „rozgrzanego brzucha bucha” ciepło, żar piekielny. Gorąco. Na razie jesteśmy sami, do rozpoczęcia wieczoru została godzina. Instalujemy się i nawzajem robimy zdjęcia. Przybywają organizatorzy, prowadzący. Rafał Czachorowski – *spiritus movens* imprezy, czacha pełna literatury – pilnuje porządku, zegara. Chcę się dowiedzieć, czy Paweł Orzeł słucha polskiego heavy metalu. Słucha i lubi. Mówię, że właśnie dzisiaj ma premierę najnowsza, piąta płyta zespołu Wolf Spider pt. „V”. Nastrój kameralny. Jest ciekawie, ciekawiej. Tuż przed oficjalną rozmową do Jacka podchodzi jakaś pani i przedstawia się. Znają się z Facebooka, jest wdową. Ma Jacek powodzenie u dam. Czy literatura jest aż tak silnym afrodyzjakiem? Głowa mnie boli i pęka od takiej wiedzy. Paweł Orzeł zadaje nam pytania, 3 Jackowi, 3 mnie. Zaczyna od Jacka, starszy ma pierwszeństwo. Autor „Mariackiej” mówi powoli, snuje opowieść o późnych początkach kariery literackiej, o pismach „Sycyna” i „Regiony”, o Wiesławie Myśliwskim i Marianie Pilocie, Henryku Wańku. Wielki świat polskiej literatury. Na zakończenie czasu ze mną Paweł pyta o bohaterkę – Agatkę. Och, Agatko, nie ma Cię w Warszawie, a jesteś tu bardziej niż ja. Odnoszę wrażenie, że moje gadanie o Tobie i Twoim miejscu w mojej pisaninie były najbardziej zajmującymi fragmentami, jakie wyleciały mi z ust tego wieczora. Nawet powiedziałem coś zabawnego, skoro podniósł i poniósł się śmiech. I tak właśnie powinno być. Życie, pisanie, literatura, książka. A u kresu zobaczę drzwi do kredensu, za którymi nalewka na pigwie. Jacek powiedział mi wieczorem przy stoliku, że mówię spokojnie i zajmująco. Nie wierzę mu, bo mieszkamy razem i boi się, że gdyby mnie skrytykował, w nocy wypiłbym jego porcję wody mineralnej niegazowanej nałęczowianka. A Jacek śpiąc, wysycha.

16 października Jacek ma urodziny, więc sypią się SMS-y z życzeniami. Pisarz do pierwszej w nocy ślepi w komórkę. W ciemności człowiek z włączonym przenośnym aparatem telefonicznym jest widoczniejszy dla pojazdów, tak jak mężczyzna z żarzącym się papierosem przyklejonym do warg (podobny do Jeana-Paula Belmondo w filmie „Do utraty tchu” – gruby papieros-cybuch zajmuje pół dolnej części francuskiej twarzy; i jeszcze Corso grany przez Johnny’ego Deppa w „Dziwięciorgu wrotach” Romana Polańskiego – Corso przed każdym odpaleniem papierosa ustami delikatnie dotyka

filtra jakby się droczył z tytoniem albo żeby bibułka nabrała temperatury języka). Jacek nieumyślnie skasował dłuższą krótką wiadomość tekstową i poprosił mnie o użyczenie palców. Wstukuję literki, serduszka złożone z „<” i „3”. Za chwilę czułości powrotne. Kolejne odpisywanie. Pik, pik, pik. Pik, pik, pik. Pik, pik, pik. Sekwencje, rzędy, następstwa. Pik, pik, pik. Pik, pik, pik. Pik, pik, pik. Pół baterii gaśnie. Wpisuję, odczytuję i po Jackowej akceptacji wysyłam. Sprawdzam w folderze „Wysłane”, czy wysłane. Dwie panie chcą odwiedzić pisarza w hotelu; Jacek dyskretnie odmawia. Ślaniam się, ale w nocy nie zasnę bez leków, bo nowe miejsce, nowe łóżko, a obok osoba, przy której dotąd nie zmrużyłem oka. Mój towarzysz kładzie się na wznak i wnet w sen. Chrapanie. Na boku bez chrapania. Jacek ma płytki sen, płyciutki. Gdy sięgałem do walizki po wrózkę ziołową „na dobry sen”, wystarczył lekki szur zamka, by pisarz z Sosnowca zerwał się do pozycji siedzącej na łóżku. W korytarzyku zostawiamy włączone światło, dla bezpieczeństwa Jacka, który często wstaje w nocy. W okularach niewiele widzi, a bez nich i w pełnej ciemności zdemolowałby pomieszczenia, przedzierając się do łazienki. Żarówka jako namiastka słońca, ta słabiutka nić promienia rzucona w otchłań tunelu.

Przyśniło mi się, że Agatka przyniosła z miasta całą łąkę: pokrzywy, jałowiec, dzika róża, czarny bez.

– Robię kawę czarną. Chcesz też?

– Nie.

– A gdzie mój podspodek do filiżanki?

– Weź drugi. Ten pierwszy wzięłam do parzenia liści.

– Agatko, czy my po tym będziemy zdrowsi?

– Zdrowsi i zieleńsi, pełni nadziei na zdrowie. Ziarenko jałowca rozgryż, a napar pokrzywowy pij wolno, łykami małymi. Nie chlej. Masz gardziel, naprawdę, szkoda słów.

– A co mi dobrego zrobi pokrzywa?

– Ty pijesz, a ona oczyszcza krew z alkoholu.

– Aaa, pracuje w tle jak antywirus.

Sobota od rana wyciskała chmury jak gąbkę. Około dziesiątej opady przymilkły, opadły zdławione, więc wyszedłem na zakupy. Droę do Społem znałem. Mogłem poić oczy i uszy Stolicą. Na Krakowskim Przedmieściu wilgotno, ortalionowo, rześko. I Azjaci – Japończycy, Chińczycy, Wietnamczycy. Robią zdjęcia i kłaniają się. Co krok „dzień dobry” i uśmiech. Drepczą małe żółte nóżki, wydeptują podziw dla giganta Fryderyka Chopina. Dzwonię do Agatki, która została w Częstochowie. Myślimy o sobie, o swoim byciu osobno. Już prawie nie mylimy się przez siebie. Jacek powiedział, że tyle Agatki w moim mówieniu, pisaniu, w moim życiu, iż będę musiał dziewczynę pokazać światu. Wczoraj Jacek wspominał swoją jedyną miłość – Małgorzatę, której tragicznemu losowi poświęcił dramat pod tytułem-imieniem ukochanej. Jacek był zaangażowany w działalność solidarnościowo-podziemną na początku lat 80. Działał wraz z Małgorzatą w Białych Brygadach. Małgorzatę schwyтали i torturowali ubowcy. Małgorzata nie

zdradziła żadnych kontaktów, nie wydała Jacka, ale lękała się, że następnych przesłuchań nie wytrzyma i ujawni ukochanego, skaże na kazamaty i cierpienie. Dlatego ostateczny krok i samobójstwo, z miłości, w imię czystego, nieskalanego uczucia. Od tamtego czasu Jacek nie pozbiierał się, nie pokochał prawdziwie żadnej innej kobiety, może nawet, nie mogąc oswoić pustki, samczo tworzy babiniec, pędzi do czarnych, blondynek i rudych, zmienia partnerki, z tą dwa dni, z tamtą trzy, z tą wypad do Zakopanego, z tamtą czytanie „Lalki” Prusa. Wszystko, by ukoić rozdygotanie ducha. A skaza dzieciństwa? Matka alkoholiczka-szantażystka, w domu oprócz rodziców: Eisen – kochanek rodzicielki. Jacek opowiada o swojej nienawiści do tego typu. Chciał go zabić, pozbyć się ze swojego dorastającego życia. Skomplikowanie, pogmatwanie, zapętlenie. Węzły rozpacz, supły mroku.

Wracam, deszcz nastaje, gęstnieje, zaczyna, wcina się, rozcina. Siedzimy i jemy banany i batony. Właściwie to Jacek je, ja nie mogę, tak już mam, że wyjazd staje się dla mnie głodówką, w dwa dni schudnę ze trzy kilogramy. Po powrocie schab po dach i łakocie po same łokcie. W sobotę, siedemnastego, czeka nas maraton literacki w kawiarni „Kalinowe sny” (Kalinowo-Jędrusikowe sny). Zasłonki deszczu oddzielają nas od restauracji i garkuchni. W konsekwencji taksówka wiezie nas, półgłodnych, na Stary Żoliborz. Zjemy na miejscu, obiecuję sobie i Jackowi. A tam tylko ciasta i herbata, w lokalu sucho, na zewnątrz wiaderka z nieba, deszczu-ciąg (nie deszcz-ociąg, bo deszcz się nie ociąga), fabryka wody, krople wielkości konewek. Zamawiamy po czarnej herbacie i szarlotce. Herbata czarna, a szarlotka w istocie jest nią, bo gdy wbijam energicznie łyżeczkę w porcję, wypadają duże kawałki prażonych jabłek, w innej sytuacji byłby to jablecznik tylko. Połykam, jabłko Adama gul, gul, gul. Od razu zamawiam repetę. Pożeram. Powtórka numer dwa. Nasycony, pełny od węglowodanów mogę zachwycać się przedstawieniami literackimi, prezentacjami książek, rozmowami o ważnych, nieważnych sprawach.

W toalecie ranię palec metalową zasuwką. Zdarty naskórek i bąbel gęstej krwi – tak wygląda napity kleszcz, baniak leukocytów. Bez paniki. Przy stoliku dyskusja, Paweł Orzeł opowiada historie z życia Henryka Berezy, Jacek dodaje, wtrąca, akceptuje. Wszyscy akcentują. Wymawiają łagodnie samogłoski i spółgłoski, nie zjadają literek. Pół słucham, gdyż muszę zabezpieczyć ranę. Zlizuję krew i szukam w torbie plastra. Jest, ale duży; chcę uciąć, ale nikt nie ma nożyczek. Czerwień przecieka przez opatrunek. Wymiana poglądów i dzielenie się opłatkiem dobrych słów. Bez krzyku, złorzeczeń, pyskówek. Spotkania literackie, mimo iż trochę w tym wiecu, wiecu – więc jednak, więc jak?, więc gdzie?, więc po co?, więc co? Gdy atmosfera nad Warszawą przejaśnia się, samochody zajeżdżają przed „Kalinowe sny”, schodzą się ludzie, czytelnicy, żeby słuchać, klaskać, obracać się do tyłu, pić płyny. Rafał Czachorowski kieruje ruchem spotkań, wręcza okolicznościowe torebki z prezentami; Wielki Organizator i Strażnik Czasu jest bohaterem ostatniego literackiego *short tracku*.

Po maratonie, taksówką wracamy na Krakowskie Przedmieście śliskie od ulew. Sobotnia noc w Stolicy. Kipi, kapie, kpi. Chmury się podniosły jakby były mocowane do

sklepienia niebieskiego sznureczkami. Mistrz pogody to spuszcza, to podnosi kanistry deszczodajne. Pamiętam, jak robotnicy spółdzielni mieszkaniowej odświeżali ostrupaciale płyty wieżowca. Dwójka remontowa wchodziła do stalowej skrzynki, posiadającej dwa kołowrotki, którymi regulowano położenie na boku bloku w zależności od postępu prac. I jeszcze nawoływanie się robotników we mgle. „Kurwa, kurwa, kurwa...”, bez końca, katarynka, alfabet i wapno, sprawa zaprawy. Jacek zaprasza mnie na urodzinową kolację. Chłop skończył 72 lata i drży, czy zdąży zamknąć „Okno” (tytuł powieści) – dzieło wielkie, summa życia, doznań, poglądów, świadectwo, dowód, znak. Czy starczy czasu? Dlatego opętańczo wrywa codzienności każdy ułamek sekundy. Pisanie ponad wszystko. Tylko dla równowagi psychicznej 2 – 3 dni w miesiącu spożywanie miłości, kolejka kobiet. Zamawiamy po kurczaku z kluseczkami i smażonymi warzywami. Porcje nie są nadmierne, ale za to kosztują. Dobrze, bardzo dobrze. Jacek przerzuca na mój talerz plasterki zielonego ogórka. Zjedliśmy. Jubilat zapłacił. W drzwiach wyjściowych kelnerka żegna nas nie po polsku, ale angielsku. Jacek wynioskował, że musimy sprawiać wyglądem dobre wrażenie, skoro wzięto nas za nie-Polaków. Miarowym krokiem omijamy korki turystów wiszących w witrynach restauracji i kawiarni. Przyklejone do szyb oczy, usta, włosy, słowa, gesty. Ciasno, winogrona ludzkich głów. Przy stoliku w pokoju tym razem rozmawiamy o wędrówce myśli i pragnieniu nie-bycia samotnym. I gryzącej Jacka potrzebie zaistnienia w literaturze, na wieki.

Gdy wieko nas zagarnie,
niech nie sześniemy marnie.
Niech trwa nasze pisanie
przez urnę, Dobry Panie.

Zazdroszczę koledze po piórze, że podjął walkę z rakiem czasu, nowotworem ubywania. Taki bój zdaje się być skazany na pożarcie, ale Jacek co tchu goni, dogania, przegania złe podszepty i wątpliwości, cumulusy braku sił. Rączy koń polskiej literatury współczesnej. Sterany życiem stara się je przemóc. Mówi, że gdyby był młodszy, miał tyle lat, co ja, nie bałby się, mógłby odpuścić. Ale ja opowiadam, że tak, późno zadebiutował (po pięćdziesiątce, gdyż wcześniej malarz-ował i rzeźb-ował, czyli był pełnokrwistym malarzem, rzeźbiarzem – człkiem plastyki), lecz od razu z kopyta, z płomieniem, z mocą. Dyskutujemy, ja popijam wodę mineralną, a Jacek uzupełnia cukier – marsz, mars do bużki batoniki. Między kolejnymi połknięciami drobin glukozy w proszku przedzie temat asystentek. Koniecznie kobieta, hormony i feromony. Potrzebna od zaraz. Wakat, ogłoszenie na Facebooku. Ślą ze Śląska listy dziewczuchy, achy, ochy, uchy. W niedzielę pokój musimy opuścić przed dziesiątą. Regulamin.

Śni mi się modlitwa:

Przeprowadź mnie na drugą stronę ulicy, na drugą stronę pamięci, gdzie się już tylko zapomina. Przeprowadź mnie jak dowód na wzór pitagorejski, z trójkątem i jego bokami. Przyprawdź mnie do przedszkola, zawiąż buty, połóż rękę na rozgrzanym

czole i powiedz: „Wracamy do domu. Jesteś chory. Rozpalony. Czego się znowu nażarłeś?”.

Budzę się przed dżdżownicami (ciągle Warsaw by rain) i skowronkami, bowiem wracam. Pakowalnia, zasuwalnia, zmywalnia. Kolejną taksówką jedziemy na Dworzec Warszawa Centralna. Dwie godziny do odjazdu, w kawiarni zamawiamy po herbacie. Pani proponuje croissanty, nie chcemy jeść, chcemy rozmawiać. Siedzimy i lecą słowa nad stolikiem. Wpisuję do kontaktów w Jacka komórce numer do Magdy. Pisarz pilnuje, bym wbił litery właściwie, inaczej się pogubi: „M”, „a”, „g”, „d” i „a”. „Magda”. Rozprawiam o swoich zmaganiach z sobą. Rok temu gaz musztardowy nie wykurzyłby mnie z Częstochowy. Od kilku tygodni jestem w cugu terapii bioenergią. Może dziwacznie, lecz czuję się lepiej i częściej myślę o zjedzeniu kebabu. Jacek opowiada o swoich psycho-mityngach, gdzie poznawał kobiety, córki dawnych łózkowych znajomości. Zastanawiam się po raz któryś, skąd mój przyjaciel czerpie potencję? Do kafejki wchodzi człowiek zagraniczny, Włoch mówiący połamaną polszczyzną, zamawia kofeinę w plastikowym kubku i kanapkę z szynką. Czyta „Financial Times”, zagryza, popija. Italiano po lekturze zużyty papier gazety razem z kubkiem i talerzykiem wrzuca do kosza. W rogu siedzi niestara krótką, pulchna pani w kolorowych szmatkach. Rozmawia przez telefon i wszystko widzi, i nas słyszy, bo się ogląda, wpatruje. Strofuje osobę po drugiej stronie aparatu, że ma tego dość i żeby zrobił porządek ze swoim życiem, w głowie najlepiej wprzód, ale najpierw niech posprząta w domu, bo ona dzisiaj wraca, a nie ma zamiaru patrzeć na chlew. Nie było jej cztery dni, więc wyobraża sobie, że w domu kiła, mogiła, afera i brudu w bród. Pani w pastelach, róż, bordo, pomarańcz. Wychodzimy, by skorzystać z toalety, która przypomina przejście do metra, gdyż z bramką: wrzucisz dwa złote (automat wydaje resztę), blokada blokady zwalnia się i możesz przejść dalej. Od grupy wikingów (motocykliści w skórach, z długimi włosami, w ustach język skandynawski) odłączył się dryblas, by skorzystać z dobrodziejstwa najbardziej pożądanego przybytku w Polsce – WC. Schodzimy i wchodzimy na platformę odjazdową. Intercity Premium o czasie wsuwa się delikatnie na peron, tor, sektor. Jacek od dziesięciu minut rozmawia z Magdą, której numer tak skrupulatnie zapisywałem w komórce zranionym poprzedniego dnia kciukiem. Kwaterujemy ciała w przedziale. Obok naszych organizmów jeszcze trzy – matki z dzieckiem (nastolatką) i niskiej pani, która po „dzień dobry” od razu rozpoczyna pytaniem, czy też będziemy kupować bilet u konduktora. Kobieta ma języka na głowie, jak po chemii, na czole przypięta dla odwrócenia uwagi sztuczna żółto-pomarańczowa grzywka, a cała wygląda na punkówkę bez irokeza. Mkniemy migotliwie i błyskotliwie. Z siatek mikrofonów męski głos po polsku i chyba koślawą angielszczyzną wita i zaprasza do wagonu restauracyjnego. W naszym wagonie dyskusja. Jestem coraz bliżej domu (Warszawa Centralna – Warszawa Zachodnia – Włoszczowa Północna – Sosnowiec Główny; w Sosnowcu zostawię Jacka, kupię bilet do Częstochowy i Kolejami Śląskimi poczołgam się do niej), dlatego włączam się w tematy: Konkurs Chopinowski (fortepiany i transmisje telewizyjne), stosunki polsko-austriackie (wyparcie przez społe-

czeństwo austriackie faktów udziału jej przedstawicieli w reżimie hitlerowskim, jakby utworzonym wyłącznie przez nazistów niemieckich, a przecież Adolf nie był Bułgarem; przypomniała mi się anegdota o polskim dyplomacie kulturalnym, który podczas spotkania w ambasadzie polskiej w Wiedniu miał w uniesieniu rzec, jak nam to było dobrze pod zaborem austriackim), lądowanie UFO i kontakt z obcymi cywilizacjami (no to są, czy ich nie ma?), ceny biletów PKP (za drogo, ale może będzie jeszcze drożej), udział Antoniego Macierewicza w ewentualnym rządzie PiS (zasługi dla wolności i wrak tupolewa), emigracja młodzieży (w tej Polsce to nie mają żadnych perspektyw), matematyka i wielkie liczby (czy z tych nabazgranych cyfr wyjdzie coś bardziej tajemniczego niż liczba pi?). Wymianę poglądów przerywa żeńska obsługa z wózkiem, aby zaserwować kawę, herbatę. Jacek na widok młodego organizmu zagaja, że czekaliśmy na panią z tęsknotą. Pasażerka po chemii zjadła chipsy i nie wie, co zrobić z utłuszczonymi palcami, ofiarowuję zatem dobroczynnie jedną sztukę chusteczki higienicznej. Mężczyzna ekipy sprzątajacej zagląda do przedziału, wsypuje śmieci do dużego czarnego worka, z którego kapią krople jakiejś cieczy na chodniczek, na buty. Ruchy, gesty, czynności.

W Sosnowcu Głównym kupuję bilet. Jacek czeka ze mną na peronie, chce pomachać odjeżdżającemu. Pociąg Kolei Śląskich ruszył między kęsami bananów:

Będzin
Będzin Miasto
Będzin Ksawera
Dąbrowa Górnicza
Dąbrowa Górnicza Gołonóg
Dąbrowa Górnicza Ząbkowice
Dąbrowa Górnicza Sikorka
Chruszczobród
Wiesiółka
Łazy
Zawiercie
Zawiercie Borowe Pole
Myszków-Mrzygłód
Myszków Światowit
Myszków
Myszków Nowa Wieś
Żarki Letnisko
Masłońskie Natalin
Poraj
Korwinów
Częstochowa Raków
Częstochowa
Agatka

IRENA KACZMARCZYK

O PRZYSZŁOŚĆ RAPPERSWILU



Słów kilka o tytule artykułu. Otóż zaczerpnęłam go z nazwy broszury Stefana Żeromskiego, którą napisał w 1911 roku w obronie Polskiego Muzeum, mieszczącego się w rapperswilskim zamku od roku 1870. W szczegółach omówię ten problem w rozdziale „Żeromski jako bibliotekarz i muzealnik”. Powód drugi, to aktualna sytuacja, w jakiej znalazło się Muzeum, a dotyczy ona decyzji szwajcarskich władz o opuszczeniu zamku przez polską placówkę. Szwajcarzy postanowili w miejscu naszego najstarszego Narodowego Muzeum stworzyć muzeum historii zamku, obejmującej 800 lat istnienia średniowiecznej twierdzy. Nie jest wykluczone, powołując się na doniesienia szwajcarskiej prasy i moją rozmowę z jedną z wolontariuszek pracujących przez 12 lat w Muzeum Polskim, iż znajdzie się w tej historii i polski akcent, gdyż nasza placówka stworzona z darów polskich emigrantów miała siedzibę w zamku przez 150 lat. Dodam jeszcze, że tym samym tytułem opatrzył swoją multimedialną wystawę (o czym w jednym z poniższych rozdziałów) warszawski operator filmowy i fotografik Wojciech Walkiewicz.



Dzieje Muzeum i Biblioteki w Rapperswilu (1870 - 2020)

Muzeum Polskie w Rapperswilu powstało w 1870 roku z inicjatywy polskiego emigranta, powstańca listopadowego, dziennikarza i polityka emigracyjnego, hrabiego Władysława Broel-Platera. Hrabia, nie mogąc kupić popadającego w ruinę XIII-wiecznego zamku, wydzierżawił go od władz miejskich na 99 lat. Na remont zamku Plater wydał cały swój majątek a zbiory-dary, które napłynęły z Polonii z całego świata przekazał w testamencie przyszłej niepodległej Polsce. Muzeum Polskie miało służyć nie tylko jako placówka muzealna – „przybytek nietykalnych zabytków historycznych”, ale także ważny ośrodek polskiej kultury i nauki, wyposażony w pełną bezcennych dla

Polski źródeł bibliotekę, w tym ogromne archiwum mickiewiczowskie. Tu, na szwajcarskiej emigracji, miało bić serce ojczyzny. Pełniąc od 2005 r. funkcję dyrektorki Muzeum, Pani Anna Buchmann, przypomina: *„Pamiętajmy, że to jest druga połowa XIX wieku, kiedy ci ludzie są pozbawieni własnej ojczyzny. Są bezpaństwowcami. Należało zbudować instytucję, która by podtrzymywała tożsamość narodową, chroniła dziedzictwo kulturowe i pomagała młodym ludziom zdobyć wykształcenie i ułatwiała im późniejszy start. W to wierzył mocno Plater i w to wierzyli powstańcy styczniowi, którzy już nie byli tak bardzo prześląknięci romantycznymi hasłami, ale raczej hasłami pozytywistycznymi”*.

Nie można było wymarzyć dla tego muzeum lepszego miejsca, jak położony na wysokiej skale średniowieczny zamek, którego baszty odbijają się w wodach pobliskiego Jeziora Zuryskiego i góruje nad nim słynna Kolumna Barska, symbolizująca wolność (ufundowana również przez hrabiego Platera) z siedzącym na niej orłem z dziobem skierowanym w stronę Polski.

Muzeum Polskie oparte na trzech filarach: Muzeum, Archiwum i Biblioteka zaczęło się szybko rozrastać. Wspierali go nieustannie polscy emigranci, którzy z dużym zaangażowaniem słali dary na rzecz placówki. Pierwsze Polskie Muzeum Narodowe stało się dumą, miejscem kultu i licznych pielgrzymek Polaków rozsiansych po świecie. Placówka muzealna w Rapperswilu jest ściśle związane z historią naszego kraju i wybitnymi postaciami polskiej kultury, między innymi z Henrykiem Sienkiewiczem, Eliza Orzeszkową, Bolesławem Prusem i Stefanem Żeromskim. W 1875 r. był tu Józef Ignacy Kraszewski, który wszedł w skład zarządu Muzeum. Maria Konopnicka w listach pisała o obchodach na zamku setnej rocznicy Konstytucji 3 Maja w 1891 r.

Na przełomie XIX i XX wieku Muzeum posiadało największą bibliotekę polską na emigracji, która liczyła ok. 100 tys. druków, z bogatym zbiorem książek, rękopisów, starych druków, a także źródła archiwalne, w tym dotyczące powstania 1863 i fali emigracji po jego upadku.

Po odzyskaniu niepodległości, zgodnie z wolą Władysława Platera, zbiory rapperswilskie: 3000 dzieł sztuki, 2000 pamiątek historycznych, zbiór militariów, 20.000 rycin, 9000 medali i monet, 92 tysiące książek i 27.000 archiwaliów, zostały w 1927 r. wraz z urną z sercem Tadeusza Kościuszki przewiezione do Warszawy i wzbogaciły polskie dziedzictwo narodowe.

W 1936 r. otwarta została w zamku ekspozycja drugiego Muzeum Polskiego – Muzeum Polski Współczesnej. W czasie II wojny Muzeum przejęło kulturalną opiekę nad 13.000 internowanych polskich żołnierzy, którzy przybyli do Szwajcarii po walkach we Francji. Wielu z nich pozostało na zawsze w Szwajcarii; pracowali jako naukowcy, inżynierowie i artyści. I to oni przyczynili się w największym stopniu do utworzenia powojennego Muzeum.

W czasie II wojny światowej rapperswilianska została w 95% zniszczona. Spalili je Niemcy w gmachu Biblioteki Ordynacji Kasińskich po Powstaniu Warszawskim. Niewielka ilość obiektów się zachowała: można je jeszcze oglądać w Muzeum Narodowym w Warszawie i Muzeum Wojska Polskiego.

W 1952 r. Muzeum Współczesne zostało zlikwidowane. Umowa dzierżawna zamku po 82. latach została sądownie zerwana i zbiory zostały przetransponowane do Polski.

W 1975 roku Muzeum zostało ponownie odtworzone. Mieści się na II piętrze zamku. Posiada 7 sal, krużganek, kaplicę i wieżę. W salach znajdują się ekspozycje stałe; w krużgankach i w wieży – wystawy czasowe. W sali największej odbywają się koncerty, warsztaty i spotkania tematyczne. Obecne zbiory Biblioteki gromadzone były od lat 70. ubiegłego stulecia. Pochodzą one z prywatnych darowizn, od twórców i wydawców z Polski i z zagranicy. W zasobach Biblioteki pozostają stare mapy, ryciny, starodruki, jak również czasopisma. Biblioteka współdziała w organizacji wystaw i imprez na terenie Muzeum. Prowadzi dokumentację wizualną i prasową.

Niestety, przedstawione dzieje Muzeum kończą się w czerwcu 2020 r. W 2022 roku, po remoncie, decyzją władz samorządowych Rapperswilu, placówka zostanie zamknięta. Nie wiadomo, co stanie się ze zbiorami. Do przeniesienia są rękopisy, m. in. Cypriana Kamila Norwida, Henryka Sienkiewicza, Władysława Stanisława Reymonta oraz obrazy wybitnych polskich artystów malarzy: Józefa Chełmońskiego, Teodora Axentowicza, Jacka Malczewskiego, Olgi Boznańskiej i Józefa Brandta. Są także unikalne historyczne pamiątki: fotel Henryka Sienkiewicza, zegarek i medalion z włosami Tadeusza Kościuszki, czy tzw. niema klawiatura służąca do ćwiczeń Jana I. Paderewskiego.

Żeromski jako bibliotekarz i muzealnik (1892-1896)

W wieku lat 28. Stefan Żeromski z powodu kłopotów zdrowotnych (gruźlica) udał się do Szwajcarii, gdzie powstało pierwsze sanatorium przeciwgruźlicze. Lekarze zalecali mu dłuższy pobyt w alpejskim klimacie, który miał dobroczynny wpływ na drogi oddechowe. Problemy finansowe skłoniły Żeromskiego do wystosowania listu do Zygmunta Wasilewskiego, który wówczas pełnił funkcję bibliotekarza Muzeum w Rapperswilu. Prosił o „*zaczepienie się w charakterze pomocnika bibliotekarza, co by mu ułatwiło egzystencję*”. Z początkiem października miał zamiar podjąć pracę, ale zaraz po przyjeździe do Rapperswilu z żoną Oktawią i jej trzyletnią córeczką, dostał krwotoku i jego stan był ciężki. Pod troskliwą opieką żony i właścicieli domu, w którym zamieszkali, szybko doszedł do zdrowia i zaczął pełnić funkcję pomocnika bibliotekarza w rapperswilskim Muzeum. Pracy było mnóstwo. W zbiorach znajdowały się nie tylko książki i rękopisy, ale i źródła archiwalne, dokumenty związane z powstaniem z 1863 r. Żeromski pomagał Wasilewskiemu sporządzić katalog i uporządkować bibliotekę. Poza tym pisarz zajmował się obsługą czytelników, prowadził korespondencję i dokumentację darów. Wziął również udział w redagowaniu Księgi Jubileuszowej Muzeum Rapperswilskiego. Z powodu braku zawodowych kwalifikacji mógł liczyć na niewielkie wynagrodzenie, co pozwalało tylko na marną egzystencję młodej rodziny, stąd zasiłek pieniężny, nadsyłany przez rodziców żony, był zbawienny. Dzięki temu mogli Żeromscy poprawić swój byt codzienny a nawet wyjechać na urlopy za granicę (Włochy, Niemcy, Francja). Zadowolony z pracy swojego pomocnika, Wasilewski starał się o podniesienie

mu miesięcznej pensji. Pisał w podaniu do dyrektora Józefa Gałęzowskiego, że nie sposób *„wymagać filantropii od człowieka niezamożnego, a do tego filantropii z kapitału sił”*. Odmowa dyrektora nie zniechęciła Żeromskiego do intensywnej pracy. Z biegiem czasu przejął obowiązki bibliotekarza i jeszcze bardziej zaangażował się w biblioteczne prace, co zaowocowało spisaniem wszystkich zbiorów łącznie z prasowymi wycinkami. Całe godziny spędzał na III piętrze biblioteki, katalogując kolekcje akwarel i rysunków. To w tym wyciszonym miejscu sporządził kompletny katalog druków Mickiewiczowskich, składający się z blisko sześciuset tytułów, który wydał dopiero w Krakowie w 1898 r. Po jego ukończeniu, napisał: *„Spisałem wszystko, co nasza biblioteka posiada do najdrobniejszych wycinków z gazet”*. Żeromski jednocześnie pracował nad rozszerzeniem katalogu Kościuszkowskiego. Uporządkował katalog druków Kopernika, mając zamiar tworzyć zbiór „sobieścianów”. Skończył również katalogowanie starodruków (do 1700 roku). Najwięcej czasu poświęcił jednak opracowaniu ogólnego katalogu muzealnej biblioteki, liczącej na ten czas ponad 35 tysięcy woluminów.

Z powodu problemów kulturalnej instytucji, Żeromski został zatrudniony w Muzeum jako pracownik fizyczny: prznosił meble, naprawiał je, oprawiał obrazy, akwarele itp. Zygmunt Wasilewski tak wspomina w listach pracę pisarza: *„Pamiętam żywo Żeromskiego, który od razu wziął się do katalogu, jak wystawał przy szafach w niedostępnym serdaku zakopiańskim, w szaraczkowym ubraniu z nastroszoną czupryną i srogą, czarną brodą. Nie mógł donieść książki do pracowni, żeby się z nią po drodze nie bałamucić – tak go każda interesowała”*.

Jako muzealnik, wykazywał dużo inicjatyw dotyczących organizacji ekspozycji w salach Muzeum. Sugerował projekty gablot, mając na uwadze dostosowanie ich do nowej aranżacji wystawienniczej. Konsultuje się w tym zakresie z wiceprezesem Rady Muzeum, odpowiadającym za tworzenie muzealnej kompozycji, Henrykiem Bukowskim. W jednym z listów do niego pisze: *„Oprawiłem własnoręcznie 57 rysunków i akwarel, 10 oczyściłem z brudu i wszystkie 7 zawiesiłem na trzecim piętrze (...)”*. Przyszły pisarz projektował z zaangażowaniem muzealne „pokoje”: „pokój” Przyjaciół Polski, „pokój” Kościuszki. Urządził osobiście „pokój” Mickiewicza, gdzie zgromadził wszystkie posiadane po poecie pamiątki, jego utwory i przekłady, zawieszając na ścianach oprawionych przez siebie 29 portretów Wieszcza. Do ekspozycji dołączył rzeźby m.in. Tadeusza Baracza, biust wg J. L. Davida oraz medaliony Davida d'Angers i Cypriana Godebskiego. Bardzo emocjonalny stosunek do wyposażenia „pokoju” Mickiewicza wyraził w piśmie do Bukowskiego, gdzie w detalach informuje o rozmieszczeniu obrazów, rzeźb, gablot dołączając swoje rysunkowe projekty. Największym sentymentem darzył ofiarowany przez Leopolda Horowitza (najznamienitszego malarza Europy), portret Mickiewicza. Żeromski wraz z żoną oprawił go, informując Bukowskiego: *„(...) ponieważ ofiarowany portret był bez ramy, zdawało mi się, że najtańsza rama będzie pluszowa. Kupiliśmy z żoną 4 metry pluszu po 3 fr. 80ctm. I obiliśmy nim zwyczajną sosnową ramę. Wygląda to, o ile się znam, doskonale. Portret jest prześliczny (...) Na mój rozum – portret ten nigdzie*

piękniej, lepiej, w lepszym świetle nie będzie umieszczony, jak w pokoju Mickiewicza 7". W „pokoju” Mickiewicza znalazł się również portret autorstwa Stanisława Radziejowskiego, o który latami zabiegał pisarz, ale artysta malarz przekazał go dopiero w 1899 r. Żeromski zadbał też o wyposażenie pokoju „przyjaciół Polski”, znajdujący się vis a vis „pokoju” Mickiewicza. Zgromadził w nim dokumenty i pamiątki po wybitnych cudzoziemcach. Znalazł się w nim wyjątkowy dokument, tzw. „adres angielski” – dokument z podpisami stu tysięcy Anglików, który był wyrazem hołdu dla walczącej o niepodległość Polski. Został on wysłany z Birmingham w październiku w 1832 r. do hrabiego Władysława Platera, fundatora Muzeum. W bibliotece Muzeum znajduje się pokój Jana Nowaka-Jeziorańskiego, który przekazał swoje pamiątki z czasów pracy w Radiu Wolna Europa. Są też zbiory dokumentów i obrazy rodziny Romerów z Cytowian.

Angażując się w zarządzanie wnętrz muzealnych, Żeromski zdobył doświadczenie w zakresie sztuk pięknych, co wpłynęło na kształtowanie się jego postawy estetycznej. Nawiązane kontakty z czołowymi historykami sztuki i muzealnikami owocowały potem bogatą epistolografią i była ważnym materiałem źródłowym dla badań z zakresu historii sztuki.

Należy dodać, iż w okresie rapperswilem Żeromski napisał kilka nowel i opowiadań, m. in.: *Wybawiciela* (jedna z pierwszych wersji „Syzyfowych prac”), *Siłaczkę*, *Rozdziobią nas kruki, wrony*, *Obrazki z ziemi mogił i krzyżów*. Pierwszy zbiór opowiadań podarował B. Prusowi podczas jego pobytu w Rapperswilu.

Walka Żeromskiego o polski Rapperswil

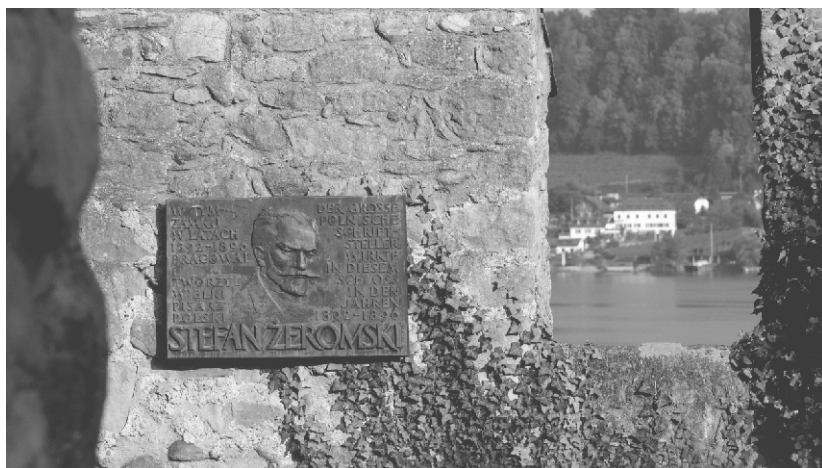
W 1895 r. do Muzeum zostało przywiezione serce Tadeusza Kościuszki. Złożyły je w darze córki Emilii z Zeltnerów Morsini, chrzestnej córki Kościuszki. Żeromski zabiegał o zorganizowanie Mauzoleum na ten cenny dar, z zastrzeżeniem, by miało ono charakter świecki, gdyż Muzeum w Rapperswilu nie było instytucją religijną. Wiele uwagi poświęcił pisarz samemu projektowi urny, który wykonał rzeźbiarz Wincenty Trojanowski. W kwestii umieszczenia jej w Muzeum, Żeromski wszedł w spór z kustoszem Zamku – Włodzimierzem Różyckim. Pisarz uważał, że urna powinna znaleźć się w specjalnej niszy Mauzoleum, a nie, jak planował kustosz, wmurowana w całości w ścianę. Nie był to odosobniony spór z Różyckim. Konflikty zaczęły się już na początku pracy w Muzeum. Różycki, rzekomy powstaniec, twierdził, że nauka jest marnością. Swoje obowiązki traktował bardzo niedbale, lub w ogóle ich nie wypełniał, utrudniając nagminnie pracę pracownikom Muzeum. Konflikt nabierał na sile, co wpływało bardzo niekorzystnie na psychikę, solidnie i z wielkim oddaniem pracującego, Żeromskiego. Spowodowało to jego odejście z pracy w Muzeum. Rezygnując z posady bibliotekarza napisał: *„Nie mogę dłużej patrzeć na niemoralne stosunki panujące w Muzeum, nie będąc w stanie solidaryzować się z istniejącym tam bezładem, stanowisko bibliotekarza opuszczam, klucze od zbiorów, które sam uporządkowałem, odsyłam kierownikowi wewnętrznego urzędnika (...). Stefan Żeromski”*. Tak naprawdę o definitywnym odejściu z pracy zdecydowało wydarzenie, którego pisarz był świadkiem: *„Wcho-*

dząc pewnego dnia z rana na podwórze muzealne, zobaczyłem, że z okna strychu, to znaczy z wysokości trzeciego piętra zamczyska rapperswilskiego spada masa strzępiastych druków i potarganą warstwą pokrywa błoto dziedzińca. Dwaj robotnicy szwajcarscy wyrzucali łopatami na świat owe wycinki Leonarda Chodźki, do Muzeum przywiezione po to, ażeby jako źródło nieocenione służyć mogły do badań”.

Żeromski po powrocie do Polski walczył o Muzeum i zdymisjonowanie kustosza. W 1911 roku w prasie polskiej rozgorzała dyskusja dotycząca zarządzenia zbiorami w Rapperswilu. Odbył się „proces rapperswilski”, podczas którego obywatelska komisja (w skład jej weszli m. in.: Henryk Sienkiewicz, Ignacy Paderewski, Władysław Mickiewicz) przesłuchiwała kilku świadków, w tym również S. Żeromskiego. Niestety, proces nie przyniósł spodziewanego efektu. Pisarz oburzony tą sytuacją, napisał broszurę „O przyszłość Rapperswilu”, która zmusiła Radę Muzeum do sfinalizowania sprawy i spowodowała zdymisjonowanie Różyckiego. Zbiory przekazano, założonemu z inicjatywy Żeromskiego – Towarzystwu Przyjaciół Rapperswilu.

Autor „Syzyfowych prac” po kilku latach, będąc kolejny raz w Rapperswilu (1906), w swoim notatniku podróжным napisał: „Kiedym ujrzał to stare zamczysko, serce po dawnemu zadrżało(...)Tyle trudów, uniesień, zapалу – a teraz tylko wspomnienie(...) Już na pewno nigdy nie będę w Rapperswilu. Wiele tu wycierpiał, nauczył się i zdobył w samotności. Żegnaj! Ludzie tu o mnie nie pamiętają. Może kiedyś przyjdzie czas, że sobie przypomnę”.

O roli pisarza w działalności Muzeum – najstarszej instytucji polskiej na świecie – przypomina dziś tablica na jego bocznym dziedzińcu.



Ciekoty – Rapperswil

Wystawa i film Wojciecha Walkiewicza w Sali Polskiej w Rapperswilu (2019)

Szkoda, że nie wcześniej, bo dopiero w 2018 roku nawiązała się współpraca między dwiema znaczącymi placówkami kulturalnymi: „Szklanym Domem” w Ciekotach i Mu-

zeum Polskim w Rapperswilu, placówkami które połączył wybitny pisarz – Stefan Żeromski.

W Ciekotach Stefan Żeromski spędził z rodzicami 12 lat. Od czerwca 1871 roku do jesieni 1883 roku. Miał niespełna 7 lat, kiedy rodzice przybyli do Ciekot i zostali administratorami wioski. Ta malownicza miejscowość, położona w Dolinie Wilkowskiej u podnóża Radostowej, z widokiem na Łysicę, stała się dla Stefana Żeromskiego najważniejszym i najcenniejszym miejscem na ziemi. Tu kształtował swoją wrażliwość na piękno ziemi ojczystej, ale też na krzywdę i biedę ludzką. O Ciekotach napisze: *„Tamta wieś – to mojej duszy częśćka i Każdy ma swoje miejsce ulubione miejsce w dzieciństwie. To jest ojczyzna duszy”*. Do Ciekot często nawiązywał w swoich utworach literackich. Tu doznał wstrząsających przeżyć: przedwczesną śmierć matki, rozbiecie rodziny, śmierć ojca, utratę domu, niepewność jutra.

Dom, w którym mieszkała rodzina Żeromskich, był zbudowany w 1753 roku. Całkowicie zniszczony w XX wieku, został odtworzony w 2010 r. Jest rekonstrukcją typowego polskiego dworu, wyposażonego zgodnie z prawdą historyczną, duchem epoki, dokumentami, „Dziennikami” i literackimi opisami Stefana Żeromskiego. Obok Dworku powstało Centrum Edukacyjne „Szklany Dom” z nowoczesnymi, szkoleniowymi i warsztatowymi salami. Odbývają się w nich liczne imprezy regionalne i cykliczne: „Imieniny Stefana”, „Narodowe czytanie” oraz spotkania z ciekawymi ludźmi i wystawy.

I oto na wieść, że ważą się losy Muzeum Polskiego w Rapperswilu, warszawski fotografik, autor filmów i teledysków, absolwent Wydziału Radia i Telewizji Uniwersytetu Śląskiego Wojciech Walkiewicz, postanowił przygotować wystawę o jego historii. Materiały do wystawy zebrał podczas swoich kilku pobytów w Muzeum Polskim w Rapperswilu w roku 2016., które odbyły się w ramach otrzymanego stypendium Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Multimedialna wystawa „O przyszłość Rapperswilu. Muzeum Polskie w Rapperswilu w obiektywie Wojciecha Walkiewicza” składa się z fotograficznych plansz, prezentacji multimedialnych, nagrań audio z fragmentami listów Stefana Żeromskiego w interpretacji Michała Lesienia oraz specjalnie skomponowanej muzyki Olgierda Mroczkowskiego. Plansze i katalog do wystawy zaprojektowała artystka plastyk, absolwentka ASP w Katowicach, Joanna Walkiewicz. Do Rapperswilu, na wernisaż wystawy i prezentację świetnie wyreżyserowanego filmu, Anna Buchmann zaprosiła polską delegację: dyrektor Centrum Edukacji i Kultury „Szklany Dom” – Krystynę Nowakowską (współautorkę projektu), obecnego dyrektora tej placówki, dziennikarza Wojciecha Purtaka i wójta gminy Masłów Tomasza Lato.

Autor wystawy, Wojciech Walkiewicz, w Sali Polskiej zamku, gdzie mieściła się kiedyś biblioteka Stefana Żeromskiego, wyznał: *„ta wystawa, to jest mój głos w sprawie obrony muzeum, które przez wieki było ostoją polskości”*.

W Sali Polskiej, w niezmiennym stanie od czasów pisarza zachował się m.in. drewniany, bogato zdobiony sufit – relacjonuje w pokaźnym artykule na łamach „Kuriera Masłowskiego” jego naczelny redaktor Wojciech Purtak. *„Nasza współpraca z mu-*

zeum – podkreśla – *to wyróżnienie, ale również kontynuacja promocji twórczości i działalności Stefana Żeromskiego*”. Wójt Masłowa – Tomasz Lato zaznaczył, iż Żeromski będąc w Rapperswilu tęsknił za rodzinnym dworem. Mieszkając z rodzicami w Ciekotach, malował obrazy, m.in. odbijającą się w ciekockim stawie Łysicę. Zgromadzeni na wernisażu liczni goście, nie tylko ze Szwajcarii, ale też zagraniczni turyści, wysłuchali prelekcji dyrektor Krystyny Nowakowskiej, która przybliżyła działalność dworku Stefana Żeromskiego w Ciekotach i podkreśliła niezwykłą rolę kustosz honorowej Kazimiery Zapałowej w wyposażeniu obiektu w eksponaty z epoki pisarza. Wernisaż uświetnił recitałem znakomity kielecki pianista Łukasz Mazur, który ma na swoim koncie m. in. kompozycje do tekstów Stefana Żeromskiego. Po zwiedzeniu ekspozycji Wojciecha Walkiewicza, wszyscy udali się na wystawę obrazów Rafała Olbińskiego, który wspominał swoją szkołę czyli I LO im. Stefana Żeromskiego w Kielcach. Każdy z uczestników przybyłych na zamek otrzymał od delegacji z Ciekot polsko-angielski przewodnik po dworze Stefana Żeromskiego.

Należy dodać, iż w 2018 r. – w 100- rocznicę odzyskania niepodległości Polski – wystawa Wojciecha Walkiewicza gościła w Centrum Edukacji i Kultury „Szklany Dom” w Ciekotach a potem w Galerii Sztuki „Dwór Karwacjanów” w Gorlicach.

Niestety, bogata i piękna ekspozycja „O przyszłość Rapperswilu” Wojciecha Walkiewicza zamknie 150-letnią artystyczną działalność Muzeum Narodowego Polskiego w siedzibie rapperswilskiego zamku, z czym tak trudno pogodzić się pracującym tam wolontariuszom i dyrektor placówki Annie Buchmann: „*Wyjechałam z Polski 7 grudnia 1981 r. – wspomina Pani Anna – nie mając pojęcia, że 13-go wybuchnie stan wojenny. Zamieszkałam 10 km od Rapperswilu. Poszłam oczywiście do muzeum i zobaczyłam, że ten mit zamku działał. Ten genius loci, który tutaj od ponad stu lat Polaków skupiał i przygarniał. Było to nie takie muzeum, jakie przedstawiały fotografie z XIX wieku, ale znów było to miejsce azylu dla przyjeżdżających tutaj Polaków: zdeorientowanych, nie znających języka. Postanowiłam, pewnie to wynika z wychowania domowego, że trzeba się zaangażować i przychodzić wtedy, kiedy mogłam, to znaczy w weekendy. Miałam szczęście poznać przedstawicieli starszego pokolenia. Tego, które zostało tu po wojnie, już okrzepło, znało tutejsze stosunki i miało dobre kontakty ze Szwajcarami. Przyjechałam w czasie, kiedy następowała zmiana pokoleń: odchodzili ci, którzy tworzyli muzeum w latach pięćdziesiątych i nie można było zaprzepaścić tego, co zostało osiągnięte (...)*”.

Po ostatecznej decyzji szwajcarskich władz o opuszczeniu zamku przez Muzeum Polskie, Pani dyrektor z żalem wypowiada słowa: „*To Muzeum ma być w Rapperswilu, bo Ono tutaj w Rapperswilu powstało. Założone w trudnym dla Polski XIX w. przez powstańców – ludzi wyrzuconych, a później, po drugiej wojnie światowej, ludzi pohańbionych przez rząd, ma zupełnie inny wymiar symboliczny. Jeśli się je tego symbolu pozbawi, to będą to zbiory jak każde inne, ale to nie będą zbiory Muzeum Polskiego w Rapperswilu. I to jest ten symbol. Jeśli się popatrzy na te schody, którymi chodziły tysiące Polaków. Pokoje, w których się odbywały tysiące dyskusji na temat kształtu państwa polskiego. Spory o historię Polski. Gdzie brzmiała polska muzyka,*

gdzie była czytana polska literatura, gdzie kształciły się całe pokolenia Polaków, to ma to miejsce rzeczywiście wymiar symboliczny. Jeśli się to przeniesie, to się ten symbol zniszczy”.

Niestety, opustoszeje to miejsce, w którym przez 150 lat biło serce Polski. Które było centrum myśli niepodległościowej. Ustanie krzątania oddanych placówce polskich wolontariuszy, z czasem zatrą się ślady na schodach, po których wspinały się tysiące polskich stóp. Zamilknie – jak w znakomitym sonecie napisała polska poetka Krystyna Konecka – „nostalgiczny kraju odprysk”.

ODPRYSK KRAJU

To miasteczko można zdmuchnąć. Ledwie spojrzysz
już w jeziorze tonie. Już nad wodę spada
pewien orzeł co tu niegdyś z listopadem
sfrunął z Polski – nostalgiczny kraju odprysk.

Podajemy sobie rękę. Ale w rynku
z autokaru w sklepy runął tłum rodaków.
A marzyciel niepoprawny hrabia Plater
z wyżyn zamku puszcza oko do naiwnej.

Więc to wszystko? To milczenie niby kamień?
Mech pochłania pracowicie każdy załom
schodów, które czas mierzyły Żeromskiego

śladowi. Ponad księgozbiorem martwy zegar.
W bibliotecznym sanktuarium wiek wspomina
siwowłosa ćma. W prochowcu z pergaminu.

Krystyna Konecka
Rapperswil' 89

Muzeum Polskie w Rapperswilu utrzymywane jest z darowizn Polonii oraz składek członkowskich Towarzystwa Przyjaciół Muzeum. W 2015 r. otrzymało nagrodę „Kustosz Pamięci Narodowej”, przyznaną corocznie przez Prezesa IPN.

Serdecznie dziękuję Panu Wojciechowi Walkiewiczowi za udostępnienie materiałów: filmów i fotografii z zorganizowanej w 2019 r. w Muzeum Polskim na Zamku w Rapperswilu wystawy „O przyszłość Rapperswilu”

Kraków, 05.09.2020



ROBERT MARCINKOWSKI

EPOKA PORTUGEISZ

niedziela

...jeszcze wczoraj: **epoka dalekiej jazdy. Allenstein.** Jeszcze kołaczą Kroniki Olsztyńskie w pustce głowy.

Straszny moment: nie wyprzedzało mnie, lecz p o j a w i ł o się przede mną auto. Zamknąłem oczy?! Chryste. Do Częstochowy jeszcze dwieście.

Na benzyniarni, czytaj benzyniarni, próbuję snu, lecz nijak. Wciąż ktoś właśnie obok nad uchem mi parkuje, mamrocze, trzaska i dookoła łązi.

Z estrady: Jestem ze starego miasta między Wieliczką a Oświęcimiem...
...a ja z Krzywego między Dołżycą a Przysłupem.

Gdy osiądziesz na **Przysłupie** możesz wszystko mieć głęboko, gdzie nie sięga innych oko.

morderczy poniedziałek Faro – Albufeira

6.20 Pyrzo, więc od 4.20 wjeżdżam autem w stopniową jasność. Wschód słońca oglądam w każdej fazie i z każdej strony (z piaskiem w oczach i) z zachwytem.

Spływają po żółtych TIRach cienie wiaduktów.

Kołuje m-niesennie A cztero-strada.

Lądowanie i w południe roz-wioz-busy. Albufeira Jardim Apartamentosz A2/71? Alogiczne uroczu numeracje, szurr walizek w powodziach kwieciana... Ulicą wspinam, by w klatki norę zleźć.

Lecz żem zamieszkał nisko – mam taras jak lotnisko.

Puste bez Ciebie luksusy. Dalekie skrawki morza jak przez mgłę... przymulenia. Przymulenia i mielizny... Olsztyna odsypianie? Lecz to za chwilę, bo każdej

szkoda. Już wabią postrzępione pierzeje, się zwlekam, na szafirze biel: jaskrawy kontur kamienia.

Króciutka wolność starówki. Tunel na plażę. Winda zmętniała od piachów **Algarve**. Taras pustawy, ruiny super-bramne i lodówka minimarketu.

Odsuwam od siebie klif i uporczywe marzenie o locie.

Skacze Angol! Odważny lecz nieuważny – i krwawiąc wraca. Utyka.

Kolebie się i ze śmietnika wyrywa strzępki na wiatr – bezczelny m e w! Żadnej mu chwiejby gałęzi: kontenery żarcia i twarde reje okrętów.

Wzbił się i wbił się – w klatkę schodową wypukły już D-księżyc.

Gaśnie smuga purpury, wschodzi chaos latarni i brakmicię na lotniskowcu A2/71 apartamentu.

wtorek

W rzadko-oleandrowe kozuchy węzowym ruchem wsuwa się autostrada.

Wypalone trawki, tym się żywią krówki. Rolnik tu ma fajnie, samo mu się robi siano... szemrze w słuchawkach pilotaż i do bólu zębów poraża. Julicjusz? *Tylko błagam nie Julicjan.*

Rany Julek.

Liszboa: Drzemią w manuelińskim półmroku Vasco i Luisz de Kamosesz. Żeglarz i poeta. Potężne duchem odbieram, choć niewidzialne zrazu, wibracje. Oraz Luizjady.

Nakarmić głodnych. Zmarłych pochować. A Miasto odbudować, odrzekł załamanemu królowi markiz de Pombał. I wypiękniała po trzęsieniu Lizbona.

środa

Klasztorzysko **Tomar**. Istotnie: *najlepiej zgubić się w nim*. Przebranzowali się ocalali Templariusze na Rycerzy Chrystusa i pod Henrykiem Żeglarzem znów zabłysnęli. Co za wiek mieli piętnasty!

Zestaw dziedziców: Cmentarny, Pralniczy¹ imiterio, Lavadores... Świętej Barbary małeńki, lecz z naj-hiper-słynniejszym oknem.

Kuimbra czytaj, **Coimbra**. Przemawia tu doktorant (zazdroszczę M(u))² pośród schodków obniżony.

Tutejsze mikropiwka: czytaj $\mu\pi$ wka. Ergo: 2 $\mu\pi$.

Noc niby **Braga** – lecz (qr!) sacrum aniśmy nie tkli.

czwartek

Barcelos: targ, park. **Porto:** Wieża Clerigos wyniosła, a pełna wspomnień – Katedra. Palacio da G i e ł d a³, kościoły. Stacja w tysiącach błękitków, czytaj azuleżusz, i niezmiennie nieziemski most⁴.

Pilotażejro nie zdzierżyłem i zabrałem Ślązaków na viewpoint – i cichą Ribeirą panoramiczny spacer w dół (gdy grupy degustacja).

Braga. Klasyka sakralna i tylko nazwa Dobry Żezusz w uchu mi chrzęści.

Ankiety nie dam, bo musiałbym gościa zamordować za mosty dla starosty i głędzenie w piwnicy zamiast pejzaży miast. Za brak (i Brag) uliczek Coimbry! – choć z III strony... pokochałem erudyte.

pilotowałemwycieczki.jużmniejwkurzony.pl

Piątek

sms: opieprzony p. Ślązaków wezbrał w sobie i maks-plusuje!

Santiago de Compostela. Cel pielgrzymek. Serce gwiazdy niezliczonych tras. Miasto szczęśliwych ludzi, którzy cokolwiek robią, robią r o z a n i e l e n i e m. Którzy kładą się na posadzkach placów, znalazłszy cel, a zwłaszcza w nim – s i ę.

Sanktuarium, relikwie, dookolna kolejka i coraz to czyjeś ręce obejmują od tyłu stopy Jakuba. Dookoła place, pielgrzymi, dziedzińce, kalmary, uliczki i stacja autobusów. Znów Braga i z Julicjuszem ważne jednak dialogi.

sobota

Bom Dżeżusz do Monte. Panorama. Kaskada fontann. Funikular napędza swym ciężarem w o d a. Pysznie! Niby wiem, a od nowa raduje. Pan wajchowy kręci zaworem. Niezbyt sakralnie seksowne gimnastyczki stretchingują się na krawędzi. Łodziostaw, kaskada górna i powrót parkiem.

Zdjęcie (przejmujące) z krzyża. Poraża mnie krwawy nadrealizm.

Guimareas, warownia prastolicy. Koronował się ok. 1330 Alfonse. Więc i czternasty mieli już niesamowity. Jak podobnie do Polski. Uliczki, market.

Aveiro, kanały, gondole, miniwenecja. Kładka wisząca, a pomost bujany.
Kamieniczki secesyjne! Pani w oknie malowana.

Tyle razy zbierałem słowa i nie zebrałem: **Fatima**.

Malownicze nabożeństwo, płachty ognia nad dookólną procesją. Każdy język zadziwia inaczej. Portugalski – poczuciem rytmu. Hiszpański – nagle zrozumiały. Trudny angielski. Jeszcze trudniejszy polski: jak z egzotycznej płyty. Lecz kulminacja w szokującym, cudnie szorstkim arabskim. *Hassalmolikum Marija...*

P o k o r a wyznania i skromność przedstawień.

Niedziela

Batalha MB Zwycięskiej ok. 1390. Niesamowicie Niedokończone⁵ Kaplice.

Z klifów **Nazare** starannie prowadzę obiektywem mewy. Tłok w dole omiń.
Knapkę drogą i drogi tylko chwilę.

Obidos. Akwedukt, pejzaże z murów. Dzińdzia-nińdzia⁶ to chyba wiśniówka?
Kwiaty, sokoły. Wysoko w cieniu leżysko piwno-namurkowe.

Lecz znów myślę obiektyw- nie i znów Ciutmibrak.

poniedziałek

4.20 wyjazd więc 4.00 idiotycznie ciemkopak, bo prąd szczezł. Piecze: rzuciło mi się na nos niedofiltrowane Słońce.

Szybkopak, a pakociemk.

I godzinaami⁷ straszliwe na lotnisku kibleiro. Przerywane dobrą na szczęście rozmową.

¹ Cimiterio, Lavadores

² Autor przegeścił skrót. Zazdrości doktorantowi ogólnie, a szczególnie doktorantce M.

³ Bolsa.

⁴ George Eiffel i tu wyprzedził swoje czasy.

⁵ Capelas Imperfeitas.

⁶ Gihjinha.

⁷ 5.50 – 12.20



JANUSZ ORLIKOWSKI

SPOJRZENIA NA EGO

1

„O Adamie! Zamieszkajcie, ty i twoja małżonka, w Ogrodzie, i jedzcie jego owoce dowolnie, skąd chcecie; lecz nie zbliżajcie się do tego drzewa, bo znajdziecie się między niesprawiedliwymi”. Tak czytamy w Koranie to, co w konsekwencji stało się przyczyną upadku pierwszych ludzi. W Starym Testamencie o zakazie dowiadujemy się natomiast w słowach: „Ze wszelkiego drzewa tego ogrodu możesz spożywać według upodobania; ale z drzewa poznania dobra i zła nie wolno ci jeść, bo gdy z niego spożyjesz, niechybnie umrzesz”.

Występują tu dwie narzucające się różnice. Pierwsza to ta, że Bóg w islamie formułuje swój wymóg już po tym jak pojawiła się Ewa, niejako w jej obecności, natomiast w chrześcijaństwie przed. Druga dotyczy kary za nieposłuszeństwo. U wyznawców Mahometa jest to obecność pomiędzy niesprawiedliwymi, natomiast dla chrześcijan to śmierć, czyli jak mówi historia – grzech pierworodny.

Islam powstał w VII wieku po narodzeniu Chrystusa. Można by więc rzec, że jest to religia wtórna w stosunku do tego, co proponuje nam chrześcijaństwo. Mahomet pomimo, że był analfabetą poznał przynajmniej zręby Starego i Nowego Testamentu i na tej bazie i w kontekście kultury, w której się wychował, stworzył Koran. Z pewnością nie było to w jego przypadku łatwe. Ale nie o tym tutaj.

Warto natomiast zwrócić uwagę na rzecz, o której wspomniałem przed chwilą. O zakazie dowiaduje się Adam w Koranie już po tym jak powstała Ewa, w Starym Testamencie przed. Ewy jeszcze fizycznie nie było, nie mogło więc się pojawić żadne współodczuwanie pomiędzy nią a jej małżonkiem. To wydaje mi się być istotne. Ona tylko powtarza przed węzem to, co usłyszała od Adama, gdy ten podjął kuszenie. Nie było jej jeszcze na miejscu, a potem nie uwierzyła Adamowi, gdy ten jej o tym powiedział. To ważne, myślę.

W Koranie ten problem wygląda inaczej. Ewa od początku, chociaż biernie (Bóg zwraca się do Adama), jest obecna, gdy mowa jest o zakazie i nie ma tam mowy jakoby Hałła`a (arabska Ewa) nakłaniała współmałżonka do popełnienia grzechu. Obydwoje zgrzeszyli słuchając szatana. Ba, z innych wersetów dotyczących tego kluczowego zdarzenia można nawet wnioskować, że to Adam jest odpowiedzialny za złamanie zakazu: „I szatan podszeptał mu pokusę, mówiąc: <O Adamie! Czyż mam ci wskazać drzewo wieczności i królestwo nieprzemijające?, I zjedli obydwójce z niego, (...), Adam zbuntował się przeciwko swemu Panu i zbłądził”.

Za to sprzeniewierzenie się woli Bóg islamu pozbawia Adama i Ewę Raju wysyłając ich na ziemię. Podobnie rzecz ma się w chrześcijaństwie. Skutki są jednak, jakby nie spojrzeć, inne. Co innego bowiem znaczy znaleźć się między niesprawiedliwymi, a co innego, jak mówi Kościół – Grzech Pierworodny. W Koranie poza tym czytamy: *„Wtedy otrzymał Adam od swojego Pana pewne słowa i On jest Przebaczący, Litościwy”*. Pojawia się nuta przebaczenia. Gdzie indziej z kolei dowiadujemy się, że Allah zapatruje nawet ową parę w pierwsze narzędzia do ziemskiej obecności. Dlaczego tak się dzieje? Dlaczego w islamie kara jest niewspółmiernie mniejsza? Tu warto wrócić do czasów wcześniejszych, gdy mowa w obydwu religiach o pojawieniu się zła.

Na dobrą sprawę Kościół chrześcijański nie ma jednolitego stanowiska co do pojawienia się szatana. Dlaczego doszło do buntu aniołów? Można snuć hipotezy. Pycha najpiękniejszego spośród nich, właśnie Szatana; próba zdekonizowania Boga; z powodu stworzenia człowieka; sprzeciw wobec wcielenia (chodzi o wcielenie w postać Chrystusa – ta tajemnica miała być udostępniona przez Boga u zarania; w wieczności wszystko dzieje się w jednocześnie); czy w imię wolności (najpiękniejszy spośród aniołów buntuje się w imię swojego indywidualizmu, nie może znieść pęt nałożonych przez Stwórcę), to tylko niektóre z nich. W islamie problem ten został rozwiązany przez Mahometa w sposób jednoznaczny. Podobnie jak w chrześcijaństwie aniołowie niepokoją się zamiarem stworzenia człowieka i pojawia się odpowiednik naszego Lucyfera w postaci Iblisa, ulubionego z aniołów. Bóg, po stworzeniu Adama nakazuje im pokłonić się temu, którego stworzył. Koran ujmuje to tak: *„Ja stwarzam człowieka z suchej gliny, z uformowanego mułu. A kiedy go ukształtuję harmonijnie i tchnę w niego z Mojego ducha, to padnijcie przed nim, wybijając pokłony!”*. Wtedy to pokłonili się wszyscy, z wyjątkiem Iblisa. Na pytanie Allaha (Boga) on odpowiedział: *„Ja nie będę wybił pokłonów przed człowiekiem, którego stworzyłeś z suchej gliny, z uformowanego mułu”*. Iblis czuł się lepszy od człowieka. A powody, które pojawiają się w rozważaniach, na podstawie dalszych słów w Koranie, że Iblis był uformowany z ognia, a człowiek z gliny i mułu, nic innego nie wnoszą. Według mnie, sam fakt wystarczy za komentarz. Iblis stawia własne ego ponad pokorę wobec Allaha. Ot istota zła, bez rozmieniania jej na drobne jak to ma miejsce w przedstawionych wyżej hipotezach. Jest w Koranie faktem, że na bunt ulubionego anioła ma wpływ zdarzenie, że ten wcześniej (zanim Allah tchnął w człowieka życie), widział go i zauważył, że ten wewnątrz jest pusty, co było dodatkowym impulsem do buntu. Nie pomyślał natomiast on, że w tę pustkę Najwyższy tchnie życie.

Człowiek więc był dla Mahometa kimś bardzo ważnym, ba poza Allahem pierwszym. Znane są z historii jego socjalne działania i prawne usankcjonowania wobec ubogich, sierot, czy byłych żon. Nie o tym tu jednak tutaj, chociaż warto o tym wspomnieć. Wróćmy do tematu.

Zwraca uwagę fakt, że jest pewna inność w postrzeganiu zła w obydwu religiach. Różnica polega na tym, że brak jest jednolitego stanowiska w religii chrześcijańskiej, natomiast islam na dobrą sprawę mówi wprost. Iblis nie pokłonił się człowiekowi. Jego grzechem jest brak pokory i to rozumianej jako coś absolutnego.

Kojarzy mi się postać Diogenesa i jednego z młodych, ewentualnych przyszłych adeptów jego nauki. Jak mówi anegdota, którą już przytaczałem w jednym ze swych esejów, Diogenes polecił temu nieść za sobą śledzia. Ten nie wiedząc dlaczego, odmówił. Mędrzec skwitował to stwierdzeniem, że śledź się stał powodem ich braku przyjaźni. Czyż nie pisz wymaluj – Iblis, zwłaszcza że człowiek wewnątrz był pusty, a śledź jest śledziem.

Pokora to fundament w zasadzie każdej religii. To stanowisko wobec zła, tylko dlatego w chrześcijaństwie to zło, na dobrą sprawę, nie ma jednolitego usankcjonowania? W zasadzie pozostawia się człowiekowi stwierdzenie, co jest złem, co nie. Z jednej strony jest to powodowane jego osobistą wolnością, wolną wolą, z drugiej – prowadzi do poczucia winy. A myśli człowieka zawsze tam prowadzą.

W islamie z grzechem pierwotnym nie mamy do czynienia. To pojęcie już przed islamem musiało być arabskiej społeczności obce. Kulturowe przesłanki (a te miały istotny wpływ na kształt Koranu) nie przewidywały tego, co niósł ze sobą Stary Testament w kwestii upadku Adama i Ewy, to znaczy ich grzech rozumiany przez chrześcijan jako coś danego. Nie było to w żaden sposób do pojęcia. Jak to jest możliwe, aby za wszystkimi nieszczęściami świata stało nieposłuszeństwo Ewy? Czy nawet w równej mierze obydwójka z nich, jak mówi islam? Czyż ta wążca na całym dalszym życiu kara nie jest zbyt okrutna? Czy tak rozumował Mahomet? On dobrze znał swój, arabski świat. I zgodnie z tym „zapisał” (był analfabetą, stąd cudzysłów) w Koranie tę newralgiczną część dziejów ludzkości według, by tak rzec, własnego postrzegania rzeczy.

Grzech Pierwotny to nic innego jak aż nasze ego. To nasze ja ma pierwszy i zasadniczy wpływ na dzieanie się wszystkiego, co w nas i jak postrzegamy to, co wokół. Zawiaduje rzeczywistością, to znaczy sposobem, w jaki ją widzimy. Mówi, co według nas jest dobre, a co złe, według własnego upodobania. Chętnie wpędza nas w poczucie winy, lub udaje, że zjawia się na zupełnie przeciwnym biegunie mówiąc, iż my z nim czujemy się całkiem dobrze. Tak czy inaczej jest powodem naszych rozterek lub „niepełnych” radości. I tu, i tu to powód, i fakt naszego sposobu myślenia, które owym grzechem jest powodowane. Albo też zjawia się bez udziału naszych myśli. Nagle i niepostrzeżenie. Jest reakcją na daną akcję. I tworzy się kolejny łańcuch zdarzeń, który by nie musiał być, gdyby nie – to nasze ego. A właśnie łańcuch zdarzeń tworzy naszą międzyludzką rzeczywistość.

Przypomina mi się anegdota, którą przeczytałem w zbiorze opowieści hinduskiego jezuity i psychoterapeuty Anthony de Mello *Modlitwa żaby*. Sądzę, że warto ją przytoczyć w całości: *„Żył sobie kiedyś pewien naukowiec, który posiadał sztukę tworzenia kopii siebie samego w tak doskonały sposób, że niemożliwe było odróżnienie tworu od oryginału. Kiedyś dowiedział się, że poszukuje go Anioł Śmierci, a więc stworzył tuzin swoich kopii. Anioł był w kłopotcie, nie wiedząc, który z trzynastu egzemplarzy przed nim stojących jest poszukiwanym naukowcem; zostawił je więc i powrócił do nieba. Jednak nie porzucił ich na długo, bowiem będąc znawcą ludzkiej natury, wymyślił coś sprytnego. Wrócił na ziemię i rzekł: - Musi pan być geniuszem, by stworzyć tak perfekcyjne kopie samego siebie, lecz zauważyłem pewną niedoskonałość w pańskim*

dziele; taką małą wadę. Naukowiec zerwał się na równe nogi i wykrzyknął: – To niemożliwe. Gdzie jest ta wada? – Tutaj – odparł anioł, zabierając naukowca spośród jego kopii i unosząc go ze sobą.” Sama ta opowieść może stać się przyczynkiem do napisania osobnego eseju. Tyle tu nasuwa mi się skojarzeń, tyle możliwości. Wróćmy jednak do tematu.

U wyznawców islamu grzech pierworodny, jak wspomniałem wcześniej, nie występuje. Nie znaczy to oczywiście, że Arabowie są szczęśliwie pozbawieni ego. To byłoby niedopuszczalne uproszczenie. Jeśli jednak źródłem działań człowieka jest jego stosunek do zła, a co za tym idzie i poczucia winy, to w przypadku chrześcijaństwa mamy do czynienia z pewną – nazwijmy to – ambiwalencją, natomiast w islamie nie, czego konsekwencję można zawrzeć w słowach: nie pytaj dlaczego masz być pokorny, bądź. I sądzę, że jest to możliwe, gdyż właśnie kara w Koranie za zerwanie owocu nie przyjmuje tak drastycznych konsekwencji.

Arabskie ja, mam wrażenie, tym różni się od chrześcijańskiego, że to pierwsze – nic o sobie nie wie w rozumieniu, jakie ma miejsce w przypadku ogólnie pojętego świata Zachodu. Tu bowiem ludzkie ego jest, by tak rzec, wysoko postawione (bo jest Grzech Pierworodny), tam nie. Nie ma żadnej wagi, gdyż u podstaw dzieje się – brak grzechu rozumianego w sensie religii chrześcijańskiej. Tym samym ludzkie ja nie staje się podstawą ludzkiego bytu rozumianego jako poczucie winy, czyli wolności tym obarczonej. Wolności, która i tak zawsze zmierza do niego, bo inaczej poprzez myśli, być nie może. Tam owo poczucie winy jest jakby wytracone z równowagi.

Myśli Arabów, z obserwacji sądzę, mają inny charakter. Stanowi o tym przede wszystkim ich inny stosunek do czasu. Dla nas czas jest czymś niewspółmiernie ważnym. Określa nasze nastawienie do rzeczywistości, wyznacza harmonogram działań. Dla osób spoza naszego kręgu kulturowego jest to nie do pojęcia. Dla nich to nic ważnego, ważniejsze są stosunki między ludźmi, a zwłaszcza tymi bliższymi, czy nawet dalszymi. To jest ich zegar, zupełnie inny niż nasz. Można z pewnym przybliżeniem powiedzieć, że ich czas w naszym rozumieniu nie obowiązuje. Znają to wszyscy, którzy w te obszary wędrowali i dziwili się niezmiernie, dlaczego autobus nie przybył na określoną godzinę, chociaż tak było w rozkładzie. Przybyć nie mógł, gdyż w międzyczasie ważniejsza była rozmowa z napotkanym może szwagrem, albo bratem, siostrą czy sąsiadem, lub chociażby znajomym. Lecz nie o tym tutaj, chociaż te zagadnienia z pewnością są współistotne. A może przede wszystkim ważne. O tym za chwilę.

Koran punktuje jednoznacznie co do sensu pojawienia się zła. To brak pokory ulubionego anioła Allaha, Iblisa, który nie chciał pokłonić się człowiekowi. Jej brak jest grzechem, którego należy się wystrzegać. Nie ma to jednak takich skutków ostatecznych jak w chrześcijaństwie. A tu już jakby mniej postrzega się to, że to Jezus Chrystus ustanowił chrzest jako zmycie skutków grzechu pierworodnego, jak mówi ewangelia Mateusza. To pierwotne znaczenie (znamię?), mam wrażenie, zwycięża. A zatem skoro jestem niepokorny, to jestem – „myśli” nasze ego. Czy czasem nie jest to powodem tego, że w chrześcijaństwie brak jest jednolitego stanowiska co do pojawienia się zła? Jeżeli poszukujesz, snujesz hipotezy to znaczy, że nie zgadzasz się z tym, co jest. To, co mówi ci

twoja kultura, religia. Chcesz dojść prawdy. Tę niezgodę możesz oprzeć na furtkach, które ona stwarza, a to ma miejsce w przypadku chrześcijaństwa, natomiast w islamie, moim zdaniem, nie.

Zwróćmy uwagę jak głęboko zakorzeniony jest w nas Grzech Pierworodny. Pisząc o pokorze, a właściwie jego braku jako grzechu o takim znaczeniu w islamie, piszę tak jakby to był grzech tak ważny jak nasz, chrześcijański. Porównuję je. A przecież takie porównanie nie ma żadnego znaczenia, jeśli kara za to samo przewinienie jest niewspółmiernie mniejsza i inne są konsekwencje. Jakże głęboko my tkwimy w nim, w tym naszym grzechu.

Znakomity i niezwykle wrażliwy antropolog Edward Hall pisał, że jeżeli chce się dobrze poznać własną kulturę należy wcześniej dobrze zaznajomić się z kulturami innymi, parafrazuję. To oznacza również obiektyw naszego spojrzenia. Nasz jest inny niż ludzi, by tak powiedzieć, spod znaku Mahometa. Grzech pierwszych ludzi inaczej widziany. On, by tak rzec, nie dotyka ich w sposób absolutny, nie staje się tym samym synonimem arabskiego ego.

Co to oznacza? Trudno jednoznacznie opisać. Jednym z przejawów jest zupełnie inny stosunek do czasu, o czym już wspomniałem wcześniej. Warto ten temat nieco rozwinąć.

Czas dla wyznawców islamu widziany jest inaczej niż ten, w naszym rozumieniu. Pod powierzchnią wyżej przedstawionych objawów i wyjaśnień (wyznaczona godzina nie jest czymś na tyle ważnym, aby obligowała moje tu i teraz) musi kryć się coś jeszcze. To coś to, moim zdaniem, by tak powiedzieć, mgliste spojrzenie w przeszłość, a przede wszystkim na przyszłość. One niby są, ale tak bez zarysowanych bardziej wyraźnych konturów, tak że właściwie ich w codziennym życiu nie pełnią tej roli co u nas. Za to zainteresowanie teraźniejszością, chwilą, jest niebywale obfite. W zasadzie zajmuje całą obecność. Tym sposobem ego wyznawców islamu inaczej funkcjonuje. Jest jakby zawężone do czystego teraz. To zawężenie powoduje, że brak jest możliwości rozbuchania ja (na przeszłość i przyszłość) i na dobrą sprawę, w tym ściśnieniu niewiele znaczy. Obrazowo pisząc – nie ma możliwości rozwinięcia swych haniebnych skrzydeł na rzeczywistość rozumianą w kategoriach większych niż teraz. Tym sposobem ego zdaje się być małe i takie, sądzę, jest. Grzech pierwszych ludzi, według Mahometa, również nie był aż tak wielki.

Nasze natomiast ego z uwagi na Grzech Pierworodny zauważyło widzieć siebie inaczej. Nie tylko teraz, ale również przeszłość i przyszłość są jego niewspółmiernie większym udziałem. Tym sposobem ja ma możliwość właśnie wspomnianego wcześniej rozbuchania. To dobre określenie, dobrze poprzez nasz język się tu kojarzy.

Świat Zachodu skradł Bogu czas w sensie – ustanowił go jako przeszły, teraźniejszy i przyszły. Poprzez to wydawało mu się, że będzie miał całkowitą kontrolę nad dziejącą się rzeczywistością. Sytuacja całkowicie, nawet z psychologicznego punktu widzenia, której nie lubię, uzasadniona. Chęć kontroli pojawia się wtedy, gdy zjawia się lęk, czyli niczym nieuzasadniony strach w określonej sytuacji, a z taką przecież mamy do czynienia w przypadku upadku pierwszych ludzi. To mitologiczne przedstawienie znalezienia

się tych dwojga na zupełnie obcej wtedy ziemi. Taki fakt to wystarczający powód do ogromnego lęku. Już nie muszę dodawać, że u Mahometa wygląda to inaczej. Oczywiście jest wygnanie z raju na ziemię, lecz wygląda to o wiele bardziej łagodnie. Bóg islamu nawet zaopatruje pierwszych ludzi w niezbędne narzędzia do zadomowienia się w nowej sytuacji. Wspominałem o tym już wcześniej. Poza tym, był grzech, lecz nierzutujący w przyszłość, czyli pierwotny.

Przypomina mi się wiersz napisany na początku lat dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku, zawarty w tomie *Nierozumny diament*. Chodzi o utwór bez tytułu; jest krótki, przytoczę go w całości:

*obarczeni chrześcijańskim trudem istnienia
zwielokrotniamy ból
marzenia – czytamy jak spełnienie*

*tak rodzi się obojętność
w sidłach
poczucia winy*

Sądzę, dobrze on się tu tłumaczy. Ból zwielokrotniony ma rację i podstawy bytu w naszej religii. Nadmierne poczucie winy z pewnością może tworzyć drogę do obojętności, która stanowi najgorszy z symptomów ludzkiej obecności na ziemi. Powód podany w wierszu? „*marzenia – czytamy jak spełnienie*”. Ten wątek warto rozwinąć. Co to oznacza? Gdy Zbyszek Jerzyna, pamiętam, czytał ten wiersz przy tym wersie na chwilę się zastanowił, po czym dokończył kiwając z aprobatą głową. Wtedy to, odetchnąłem z ulgą. Pozwolę sobie na dygresję. Dawne czasy.

Czas skradziony Bogu ujęty w przeszłość, terażniejszość i przyszłość z naciskiem na te dwa skrajne pojęcia, a zwłaszcza na to co przed nami to owoc tego wersu i naszej codzienności. Rozbuchane ego, gdy nie odczytuje swych pragnień i pożądań teraz, choćby w czasie przyszłym „spełnia się” jako bez wątpienia mające nastąpić. Tak mówi natarczywie ja danej osobie. Gdy tego nie ma, żąda w sposób niepodlegający dyskusji. Nalega i uporczywie się domaga. I co najbardziej okropne, gdy jakieś działania temu sprzyjają poczyną, pisząc obrazowo, czując krew, domagać się więcej i więcej. Człowiek ogarnięty lękiem nie widzi siebie, a tylko ten lęk. I nie wierzy, że jest lękiem, a że właśnie normalną rzeczywistością. Zupełna tym samym niedorzeczność. „*marzenia – czytamy jak spełnienie*” to nie może mieć miejsca z uwagi na to, że tego jeszcze nie ma. Jest tylko domaganie się. Stąd „*tak rodzi się obojętność*”.

Dlaczego? Bo marzenia tak pojęte się nie spełniają. Pojawiła się blokada dla ich ewentualnej realizacji w postaci właśnie tak pojętego marzenia. Marzenie jest zniewolone uporczywą myślą o nim i co przede wszystkim myślą wytworzoną w atmosferze lęku. Jej brak to warunek konieczny by ewentualnie zadziało się inaczej. Obojętność jest wynikiem muru, który wydaje się być nie przebycia w tym splocie myśli powodowanych lękiem; muru, który poprzez to dzieje się „*w sidłach/ poczucia winy*”. A winy to nie

innego jak obraz naszego domniemanego niespełnienia, co powoduje zażartą wręcz chęć kontroli nad rzeczywistością i koło się zamyka. To ono również, owo niespełnienie potrafi i przeinaczać naszą przeszłość. Przeinaczać ją tak jakby była inna niż faktycznie była zgodnie z zakodowanym scenariuszem, owocem powziętej kontroli.

Ostatnie słowa to opis skrajnego rezultatu rozumienia, odczuwania grzechu widzianego jako pierworodny. Wiele strat, żadnego zysku. Zresztą nikt nie powiedział, że będzie łatwo. Poza tym nie o to tu chodzi. Interesują nas przecież spostrzeżenia i ewentualne wyjaśnienia.

Czasem zdarza się tak, że po czasie, bądź przypadkowe zupełnie zauważenia dają lepsze rezultaty niż kurczowe trzymanie się pierwszych stwierdzeń. Do czego zmierzam? Ano do tego, że Koran Mahometa pojawił się siedem wieków po objawieniach Biblii. I że *„Islam nie uznaje grzechu pierworodnego, dlatego też nie zna nauki o odkupieniu i Odkupicielu. (...) Nie może też być mowy o zmartwychwstaniu Chrystusa. Wobec tego Jezus Koranu nie może być uważany za Zbawiciela świata.”* jak pisze Edward Chat, katolicki ksiądz, w książce *Chrześcijaństwo a islam*.

Nie, nie mam zamiaru zajmować się tu bliżej odkupieniem, czy Odkupicielem w postaci Jezusa. Chrześcijańscy czytelnicy, czyli my wszyscy, sądzę, znamy te zagadnienia. Można też o tym pisać eseje. Nie o konsekwencje bowiem, a pierwotne znaczenia tu mi chodzi.

2

Piszę tu o micie, który przetrwał wieki. I to zarówno w islamie (choć o siedem mniej) jak i chrześcijaństwie, o tyleż więcej oraz tegoż, różnych konsekwencjach tu i tam. Zupełnie odmiennych, a tak dobrze widzianych w kulturach wschodu i zachodu. Te widzenia to, moim zdaniem, całkowicie inaczej zauważane ego, czego dobrym obrazem jest widoczne w codzienności inne postrzeganie czasu. Genezą jest grzech rozumiany tylko jako grzech, albo pierworodny.

Mit to nic innego jak obraz pewnej rzeczywistości, której w sposób dosłowny przekazać się nie da. Najchętniej posługują się nim literaci, tak jak ja, gdy przeczuwane prawdy opierają się tzw. dokładnie znaczącym słowom, bowiem nie znajdują tam pełnego odbicia tego, co chciałoby się przekazać. Jest tym samym niebywale pomocny. Ta wiedza znana jest od początku, gdy człowiek piśmienny zaczął tworzyć zdania. Już wtedy z pewnością zauważył, że to, co zapisał nie było adekwatne do tego, co chciał przekazać. Z pewnością tak powstał ten o Adamie i Ewie oraz to, co nas tu najbardziej interesuje, ich wygnanie w kontekście grzechu pierworodnego, albo tylko grzechu.

Z pewną pomocą przyjdą tu teraz najnowsze ustalenia teologii i to te, które stają w szranki z tak przeciwstawną dziedzina nauki, jaką jest biologiczna teoria naturalna oparta na dokonaniach Karola Darwina. Dzisiejszy stan tej drugiej jednoznacznie wskazuje na to, że człowiek jest wynikiem poczynąń natury od bakterii powstałych w wyniku Wielkiego Wybuchu, czy jakkolwiek by się chciało to nazwać. A czym jest Wielki Wybuch? To przecież też jakiś rodzaj mitu, tyle że na poziomie mikro, a nie

makro jak ma to miejsce w przypadku Biblii czy Koranu, czyli Adam i Ewa. Stąd też jest również możliwość ustosunkowania się współczesnej teologii.

Oczywiście zagorzali zwolennicy tradycyjnego podejścia mogą powiedzieć o naginaniu faktów do współczesnego stanu wiedzy i tkwić przy swoim. Z uwagi na wspomnianą przed chwilą także mitologiczność Wielkiego Wybuchu (brak możliwości ustalenia relacji przyczynowo – skutkowej) nie ma powodu, aby się z tym stanowiskiem spierać. Tak jak nie ma co się dziwić, że Bóg kontekście biologii naturalnej nazywany jest Bogiem ewolucji; to przecież zawsze to ten sam Bóg.

Nie byłoby powodu, aby się tym bliżej tu zajmować, gdyby nie rezultaty dociekań współczesnych teologów zajmujących się, by tak rzec, brakiem sprzeczności między biologią naturalną a teologią trynitarną. Ewolucyjny, a zatem i relacyjny charakter myślenia w tej pierwszej ma również miejsce w przypadku drugiej; pomiędzy Bogiem, Synem i Duchem Świętym dzieje się bowiem również relacja. Na bazie tego możemy mówić o pewnym podobieństwie pomiędzy nią, czyli nauką o pochodzeniu człowieka, a Trójcą Świętą. Tu i tu mamy do czynienia z pewnym współdziałaniem. Taka relacyjność odzwierciedla się też w zagadnieniu nas tu przede wszystkim interesującym, czyli grzechu pierworodnego.

Przed wszystkim gdzie on jest, by tak rzec, umiejscawiany. To z jednej strony uwarunkowania genetyczne, a z drugiej kultura, jak ustala współczesna teologia. Genetyczny przekaz to wszystko to, co dziedziczymy po naszych przodkach od pojawienia się homo erectus, później homo sapiens, a nawet i może wcześniej (?), kultura to wszystko to, z czym mamy do czynienia od zarania ludzkości do dnia dzisiejszego na poziomie ludzkiej świadomości, jej braku, instynktów i intuicji. Na tej płaszczyźnie dzieje się możliwość jego rozważania. Genetyka to przede wszystkim terytorializm, żądze i popędy. Kultura to łagodzenie tych odniesień poprzez widzenie dobra i zła jak mówi biblijne drzewo. Ale kultura to też wprowadzanie restrykcji, które człowiekowi nie sprzyjają, a pojawiły się tu to tam, jako odpowiedź zbyt natarczywa na genetyczne uwarunkowania i umocniły się tak bardzo, jak te pierwsze. I z czasem mogły dominować. Nie o tym jednak tutaj.

Genetyka i kultura – oto to co nazywamy grzechem pierworodnym. Nie ma tu jakiejś tajemnicy, która w rezultacie u większości ludzi tworzy poczucie winy. Co nie znaczy, że wszystko jest ok. Takim mnie Boże stworzyłeś, takim mnie masz. Słuszne poczucie wolnej woli mówi, aby było inaczej. I tu dzieje się zarzewie grzechu. Czy możemy go nazwać pierworodnym, a więc nieuniknionym, zawsze obecnym?

Denis Edwards w książce *Bóg ewolucji. Teologia trynitarna* tworzy na bazie wcześniejszych dociekań swych kolegów po fachu (nie będę ich tu wymieniał, bo nie ma takiej potrzeby) zajmujących się, między innymi, widzeniem grzechu pierworodnego w kontekście ewolucyjnej biologii naturalnej, trzy tezy opisujące to zagadnienie. Pierwsza z nich głosi: *„Istoty ludzkie są omylnymi symbiozami genów i kultury, które doświadczają popędów i impulsów zarówno od strony genetycznej swojego dziedzictwa, jak i kulturowej, a te popędy oraz impulsy mogą być nieuporządkowane*

*i wzajemnie sobie przeciwstawne. To doświadczenie jest **nierozerwalnie** związane z faktem bycia człowiekiem powstałym w procesie ewolucji, ale **nie jest** grzechem.*

Wszystko się tu poniekąd tłumaczy. To, co jest wynikiem genetycznych uwarunkowań z jednej strony i kulturowych wskazań z drugiej, nie możemy traktować jako grzechu. Przez co rozumiem również w znaczeniu pierwotnym. Druga natomiast mówi tak i to jest dla nas tu ważne: „Grzech pierwotny oznacza, że ludzie podejmują swoje decyzje i dokonują swoich wolnych wyborów w świecie już zmienionym przez grzech poszczególnych ludzi i całych społeczności. Ten cudzy grzech wpływa na naszą sytuację i rzutuje na nasze wybory, staje się naszym wymiarem.” Pierwszą reakcją na tę tezę może być zawód. To niczego nie rozwiązuje. Mówi wręcz o tym, o czym pośrednio donosi mit o Adamie i Ewie, ich upadku. Pytania bowiem brzmią: skąd się wziął ten świat, który jest zmieniony przez „grzech poszczególnych ludzi i całych społeczności.”? Tak, że ten „cudzy grzech wpływa na naszą sytuację i rzutuje na nasze wybory, staje się naszym wymiarem”.? Denis Edwards, ksiądz katolicki i profesor teologii pracujący w katolickim uniwersytecie w Australii, pisze rozwijając tę tezę: „Grzech pierwotny wiąże się z wewnętrznym efektem, jaki na człowieka i jego status jako Bożego stworzenia wywiera historia odrzucenia Boga przez ludzką społeczność.” I stwierdza, że: „To nie struktura człowieka (jako omylnej symbiozy genów i kultury) jest tym, co konstituuje grzech pierwotny, ale wewnętrzny wpływ na wolną sytuację każdej osoby, jaki miało wcześniejsze odrzucenie Boga.” Tylko dla czego ono miało miejsce? Tego już tu się nie dowiemy, ale poczekajmy. Jego teza trzecia, będąca jakby dwóch poprzednich dopełnieniem, głosi: „Grzech pierwotny ma wpływ na wszystkie aspekty życia człowieka. Nie powinien być utożsamiany tylko z biologiczną stroną człowieka ani tylko z kulturową. Obejmuje nasze dobrowolne odpowiedzi zarówno na nasze dziedzictwo genetyczne, jak i kulturowe uwarunkowania.”

Te trzy tezy tworzą triadę, która po namyśle wydaje mi się być adekwatna. Zwłaszcza to kończące zdanie ostatniej. Grzech pierwotny obejmuje „nasze dobrowolne odpowiedzi zarówno na nasze dziedzictwo genetyczne, jak i kulturowe uwarunkowania.” To jakby jednoznacznie wskazuje na to, że **grzech pierwotny w konsekwencji nie jest czymś nie do pokonania**. A zatem, nie jest czymś danym, ale zadaniem. Zadaniem w sensie możliwości jego pokonania i nie danym w rozumieniu fatum. A tak przecież, by tak rzec lapidarnie, jest na ogół pojmowany. O tym nie daniu mówi przecież wprost ostatnie zdanie tezy pierwszej. Przypomnijmy: „To doświadczenie (czyli dziedzictwa genetycznego z jednej strony i kulturowego z drugiej – przyp. J.O.) jest **nierozerwalnie** związane z faktem bycia człowiekiem powstałym w procesie ewolucji, ale **nie jest** grzechem.” Warto tu uczulić na wyróżnienia pochodzące od autora.

W analizie trzeciej tezy Denis Edwards również stwierdza: „Grzech pierwotny jako rezultat narastającej historii grzesznego odrzucenia Boga, która narusza naszą wolność, może obejmować brak akceptacji i integracji którejkolwiek ze stron ludzkości przed Bogiem (genetycznej lub kulturowej – przyp. J.O.). Gdy nasza biologiczna strona dominuje, to możliwe, że potężne, służące sobie popędy pochodzące

z naszej genetycznej strony mogą zaciemniać relacyjne tendencje mające źródło w dziedzictwie kulturowym. Ale innym razem szczególne formy kulturowego uwarunkowania mogą być tak dominujące, że zdrowe genetyczne popędy i życiodajne impulsy mogą zostać przyćmione lub zepchnięte w cień. Odrzucenie Boga może obejmować wypaczenie, zaprzeczenie, zahamowanie ze strony żądz albo brak integracji po którejkolwiek stronie naszego dziedzictwa. Obie strony odrzucenia mogą wykrzywić i zniekształcić obraz człowieka przed Bogiem.” Sądzę, że to znaczące słowa i tłumaczą się same. Zresztą wspominałem o tym problemie nieco wcześniej. Tuż przed cytowaniem też Edwardsa.

A zatem grzech pierworodny powinien być rozumiany jako nasza dobrowolna odpowiedź na nasze dziedzictwo genetyczne i kulturowe biorąc pod uwagę nasze relacje z drugim człowiekiem, którego obecność w owym grzechu może być warunkowana wspomnianym wcześniej grzesznym odrzuceniem Boga, choćby się wydawało temu człowiekowi, że jest akurat inaczej. A zatem jak ta odpowiedź winna wyglądać? Milczenie i cisza wobec wszelkich prowokacji. Nie powodowanie łańcucha zdarzeń, na którym drugiemu człowiekowi (działającemu pewnie w dobrej wierze) może zależeć, aby nas do grzechu przywieść. Cierpliwość w formowaniu relacji z drugim człowiekiem. Myślę, że Bóg lubi ciszę i nie kojarzy mu się ona z nudą. Sądzę, że wręcz przeciwnie jest przyczynkiem do budowania. Spokój jest możliwością tworzenia dobrych zdarzeń.

Współczesna teologia trynitarna tłumaczy sens pojęcia grzechu pierworodnego w kontekście biologii naturalnej, nauki o ewolucji zapoczątkowanej przez Darwina. Widzi go w charakterze relacyjnym, a nie jakiegoś fatum, takiego constans, które jest tylko dane, a nie zadane. I to należy tu podkreślić. Nie jest to coś nie do przeczywienia, co nie znaczy że nie jest zawsze obecne. **To jest, tak jak zawsze będzie obecne nasze ego.**

Zwolennicy tradycyjnego podejścia do Pisma Świętego mogą mi w tym momencie raptownie przeczyć, uznając, że to co zapisane w drugiej części tego eseju nijak się ma w stosunku do tego, co pisałem w części pierwszej. A stanowisko tam przedstawione też uznać za niewystarczająco uzasadnione. Nie będę się sprzeczał. Natomiast chcę zwrócić uwagę na fakt, że odkrycia naukowe w dziedzinie ewolucyjnej biologii naturalnej są mocne. Uczą o tym w szkole. Teologia trynitarna z kolei, myślę, dobrze się w tym umiejscowiła. Nie można powiedzieć dziecku urodzonemu w wierze, że to dwie różne prawdy, albo – nauka kłamie. Nie można też poczynić odwrotnie.

Ten konflikt zresztą, od początku poruszał myśli wybitnych filozofów. Nie będę tu bliżej się tym zajmował, bowiem nie należy to do tematu eseju. Świetny tego opis przedstawił w książce *Ewolucja i stworzenie* światowej sławy filozofa nauki Ernan McMullin. Tam też pisze i o tym tu warto wspomnieć, co w tym temacie sądził już Galileusz podejmując wcześniejsze myśli Augustyna (już czterysta lat po Chrystusie): „Ponieważ rzeczywisty konflikt między dwoma źródłami prawdy, jakimi są objawienie oraz odpowiednio przez nas sprawdzona prawda o świecie, jest czymś niemożliwym, możemy przypuszczać, że w chwili, gdy posiadamy < pewność > co do naszej wiedzy naturalnej i jednocześnie stoimy wobec będącego z nią w pozornym

konflikcie tekstu biblijnego, powinniśmy ten tekst interpretować w taki sposób, aby tę sprzeczność wyeliminować.” Autor książki natomiast proponuje dziś nam takie podejście: *„Jeżeli zaistnieje pozorny konflikt między dobrze uzasadnioną teorią naukową i jakimś punktem doktryny chrześcijańskiej, to chrześcijanin powinien z dużą starannością przeanalizować racje przemawiające za tą doktryną. Postępując w podobny sposób, może się okazać, że wiedza naukowa przyczyni się do ponownego, bardziej adekwatnego wyrażenia tej doktryny.”*

Takim bardziej adekwatnym podejściem jest struktura umiejscowiona w książce Denisa Edwardsa, katolickiego księdza, *Bóg ewolucji. Teologia trynitarna*. Zatem moje przejście od tego, co pisałem w pierwszej części eseju do tego, co piszę teraz nie jest czymś zgoła odmiennym i nieprzemyślanym. Wróćmy zatem do tematu.

Bóg w znaczeniu ewolucyjnym zmienia diametralnie nasze myślenie o sposobie widzenia mitu o Adamie i Ewie i ich wygnaniu. Już teraz nie dziwi nas fakt, że Koran mówi o grzechu, ale nie w znaczeniu, jak ma to miejsce w tradycyjnym chrześcijaństwie, pierwotnym. On po prostu od początku tak go nie widział. Nie widział go jako ciężące nad człowiekiem to coś, które zawiaduje ludzkim bytem, jeśli ten byt temu nie sprzyja. Pojęcie, a właściwie możemy powiedzieć - przydomek „pierwotny” znaczy nie więcej i nie mniej niż to, że grzech od początku ludzkości jest nam po prostu zadany. Jego danie w micie o upadku pierwszych rodziców **należy traktować jako potencjalność jego obecności**, a nie inaczej.

Zauważenie, że nie jesteśmy obarczeni, jak to przez wieki było rozumiane, chrześcijańskim trudem istnienia w znaczeniu nieuniknionego znaczenia grzechu pierwotnego, a jego obecności w sensie pokonywania, jest sędzę niebywałym odkryciem. Mówi nie mniej i nie więcej, a tylko to, że od grzechu nie jesteśmy religijnie, genetycznie czy kulturowo, uzależnieni. Pierwotny w znaczeniu chrześcijańskim tak naprawdę znaczy tyle, że nie jesteśmy naznaczeni grzechem, a potencjalnością jego obecności w nas i przez nas, co nie znaczy, że dzieje się jego konieczność. Powiem też inaczej: najpierw dziejemy się my, a jeśli tak się stanie, to dopiero on. To zupełnie tak, jak nasze ego.

DANUTA PERIER-BERSKA

WĘDRÓWKA W DOLINIE ŻYCIA

Na jasnozielonym tle zdjęcie drogi w dolince otoczonej skalistymi zboczami porośniętymi drzewami. Nad zdjęciem grubą czcionką tytuł: W DOLINIE ŻYCIA (fragmenty). Tom został wydany przed kilkunastu laty w języku angielskim, a tytuł jego w oryginale „In the Valley of Life”.

Piotr Pieczonka, bowiem tak brzmi nazwisko autora, swoją wędrówkę przez dolinę rozpoczyna wierszem POSADŹ DWA DRZEWA. Miałam to szczęście, że i ja zostałam zaproszona do tej wędrówki.

Rozpoczynamy ją od wiersza, którego pierwsze cztery wersy brzmią: *Posadź dwa drzewa, gdy dziecko się rodzi/ Posadź dwa drzewa, na wypadek gdyby/ Ojciec padł ofiarą makabrycznej wojny/ Po awanturze dwóch sprawiedliwych*. Wiersz liczy jedenaście zwrotek i każdą rozpoczynają słowa (anafora): *Posadź dwa drzewa*. Ostatnią pozwolę sobie zacytować także w całości: *Posadź dwa drzewa, by znaleźć dziecko/ Chociaż byś musiał szukać w sobie/ Niechaj przy drzewie stoi drzewo/ A ja cały las dołożę*.

Kiedy czytam ten wiersz, całość układa się w piękny obraz z przesłaniem jakże potrzebnym i mądrym. Ten wiersz będzie mi towarzyszył przez długi czas, będę do niego wracała. Mieści w sobie magnetyzm, którym przyciąga do siebie ludzi o podobnym myśleniu. Kolejny z wybranych wierszy, a zapewniam wybór jest trudny, to wiersz PASTORAŁKA – tu niski ukłon w stronę autora, jego wyobraźni i pięknej metafory. Chętnie przytoczyłabym całość, ale wybrałam z niego tylko mały fragment (czwartą i piątą zwrotkę kończącą ten wiersz:

(...) Marzył cesarz: dam dziecku powitalny upominek/ Dam mu milczące posłuszeństwo tłumów/ Wszak milczenie podwładnych jest jak złoto/ Myślał filozof: wiozę dla dziecka prezent/ By godnie je przywitać/ Logikę, której żadna myśl nie złamie/ Którą jak najtwardszą podkowę/ Kazałem wykuć w moim pałacu/ Szeptał poeta: mam dla dziecka na powitanie/ Dar pięknej mowy, niech dla ludzi się stanie/ Oratorem wszech czasów/ Którego elokwencja i sarkazm/ Będą w stanie zmienić losy świata./ Trzej dumni władcy nie znaleźli człowieka/ W niehumanitarnej pustce się pogubili/ I krążą teraz z obłędem w oczach/ Z widokiem na przyszłość/ Która zmienia się w koszmar. Zbędna jest moja interpretacja tej zwrotki, każdy z czytelników zrobi to na pewno doskonale sam. Nie byłabym sobą, gdybym nie napisała o erotykach Piotra – wszak erotyki to mój ulubiony temat w wierszach. W wierszu EROTYK ZAWIŁY ilość

zwrotek nie pozwala mi go w całości zacytować. Wybiorę te fragmenty, które zatrzymały mnie na dłużej.

Autor rozpoczyna wiersz delikatnym budzeniem ukochanej w pięknie zapowiadający się poranek. Zapewnia, że nawet dla ptaków jest to stosowna pora na spożycie pierwszego śniadania. (...) *obudź się spójrz/ dziwny rój ptaków krąży tam w dole/ pod oknem zachodnim//*.

Zaproszenie do śniadania na chmurach z malowniczym opisem – nie wiadomo kiedy – w delikatny sposób przenosi czytelnika do tematów czysto kulinarnych, gdzie *chleb na talerzu ocieka miodem*. Już w następnej zwrotce możemy przeczytać: *jak najmniej dla mnie w mnie myśli/ tyle, by można wiersz napisać/ ale w wierszu cię nie zgubię/ w wierszu na pewno cię nie stracę/ nie znikniemy/ nie spadniemy na ziemię ze wstydu/ czas jest dla ptaków/ dla nas śniadanie*. Ten wiersz ma dalszą część równie interesującą, jak zacytowany powyżej fragment. Wypada, aby czytelnik poznał zakończenie tego wiersza: *Po śniadaniu będziemy z pewnością/ Wpatrywać się w arabskie litery obłoków/ Biały mak na niebieskim pergaminie/ Z pewnością ułoży się/ W twoje niepowtarzalne imię: Amber*.

Amber, to imię kobiety pochodzące od nazwy bursztynu używanego do produkcji biżuterii, wydaje mi się, że w ten sposób autor sugeruje nam jego miłość do kobiety jako niepowtarzalnego cudu natury, a może w jego odczuciu natura to właśnie kobieta... Aż dziw bierze, że mężczyzna potrafi tak pięknie malować obraz miłości.

Czytając te wiersze, potrafię zapomnieć, że istnieje czas i daję się prowadzić za rękę autorowi. W DOLINIE ŻYCIA Piotra Pieczonki czas zatrzymuje się w miejscu, i to jest wielka umiejętność autora. Moim największym pragnieniem (jako poetki) byłoby móc wędrować w towarzystwie metafor i pięknego słowa autora tej poetyckiej książki jak najdłużej.

Podążając dolinką Piotra, zastanawiałam się, skąd u mnie taka fascynacja Jego poezją i nagle przypomniałam sobie, że przed paru laty dostałam w prezencie maleńki, mocno podniszczony, tomik poezji z wierszami miłosnymi poetów amerykańskich, między innymi KENNETA PATCHENA. Zamieszczone w tym tomiku wiersze stały się (w pewnym sensie) lekarstwem dla mojej duszy. Bo pięknym słowem można wyleczyć każdą duszę.

Przypuszczam, że gdyby udało mi się odnieść w tym materiale do każdego utworu z osobna, to powstałaby książka z opowiadaniem pt. „O doznaniach poetki podczas czytania poezji z wybranego tomu Piotra Pieczonki”. Zazdrosna – w dobrym tego słowa znaczeniu – o metafory autora, o jego wyobraźnię i brak zbędnych ozdobników, mogę napisać, że dawno już nie czytałam tak dobrej poezji, a na dowód, że to co napisałam, nie jest wytworem mojej wyobraźni mogę dodać, że wiersze z tego tomu zachwyciły nie tylko mnie. Na zakończenie przytoczę pierwszą zwrotkę wiersza, który jest wierszem zamykającym tomik poezji W DOLINIE ŻYCIA (fragmenty) już sam jego tytuł sugeruje naszą wędrówkę przez życie, tym razem przez malowniczą i często zaskakującą swoim pięknem, dolinkę. Dokąd zatem prowadzi ta droga? Jaka tajemnica kryje się w wierszu – tego domyśli się czytelnik po jego przeczytaniu.

W DOLINIE ŻYCIA

W Dolinie Życia pozostał mój dom, by/ umrzeć// Mocarny Zamek Znikąd, w którym wzrosłem jak jastrząb// By od niego odrosnąć we wczesnej młodości/ Gdy moja przyrodnia siostra Ziemia/ Wstąpiła na tron i mnie wygnała/ Ale przecież zdążyłem być wyrzeźbić/ Lata dzieciństwa w najgłębszym Wnętrzu// – tak kończy się pierwsza zwrotka. Korci mnie, by udostępnić cały wiersz, ale może lepiej, gdy czytelnik sam przejdzie tę drogę. Pokuszę się tylko na zakończenie zacytować ostatnie trzy zwrotki zamykające moją podróż z autorem: *To słońce mnie upaja, takie niebywałe/ Dusi mnie wiatr i opary płonącej gwiazdy/ Takich wolnych i takich nieokiełzanych// Młode drzewo z gruzów już powstaje/ Rozbija kamienną klatkę dzieciństwa/ To drzewo być może największym zwycięstwem/ Moim jedynym szczęściem/ Niebieskie chrząszcze śpią na jego liściach// Odżywa zamek w Dolinie Życia/ Czas się zatrzymał, a jednak zbliża się pora/ narodzin/ Gdy ręce murów wznoszą się ku niebu...*

Więc jednak drzewo, siła idąca od korzenia, nieprzemijająca uroda tego, co się rodzi, aby nas zachwycić, ochronić – trwa. Umiera, aby narodzić się od nowa. Drzewo, a raczej drzewa, w Dolinie Życia, czyli wszystko co nas otacza – jednym słowem natura, przez którą wędrują autor i czytelnik.



BOLESŁAW FARON

**WYJŚCIE Z RAJU
O NOWEJ HUCIE OPOWIEŚĆ...**



Kiedy wziąłem do ręki książkę Leszka Konarskiego *Nowa Huta. Wyjście z raju* (Warszawa 2020), przypomniały mi się te chwile z mojego życia, które spędziłem w tej dzielnicy Krakowa. Był rok 1958. Po ukończeniu studiów polonistycznych w krakowskiej Wyższej Szkole Pedagogicznej rozpocząłem pracę w Bibliotece Głównej macierzystej uczelni. We wrześniu udałem się do naszego domu studenckiego w Nowej Hucie w poszukiwaniu tymczasowego mieszkania. Od kierownika, *nota bene* mojego kolegi, dowiedziałem się, że zakwaterowanie tam nie jest możliwe. Na osiedlu szkolnym (B1), na placu przed akademikiem spotkałem Michała Osieckiego, dyrektora Zespołu Szkół Elektrycznych, który zaproponował mi trzy czwarte etatu wychowawcy w Internacie Zasadniczej Szkoły Zawodowej (30 godzin tygodniowo) i pokój służbowy na czwartym piętrze w budynku znajdującym się opodal. Ofertę przyjąłem. Tak zaczęła się moja przygoda z Nową Hutą. Poza pracą – spacerować nad zalew, na Plac Centralny, Aleję Róż, sporadyczne wizyty w restauracjach Wisła czy Stylowa, wyprawy do Mogiły i na Kopiec Wandy. I codzienne podróże do Krakowa, najpierw tylko do WSP, później również do II Liceum Ogólnokształcącego im. Króla Jana III Sobieskiego, gdzie od 1959 r. pracowałem także jako nauczyciel języka polskiego. Mieszkałem tu do czerwca 1961 r. Potem do Nowej Huty wracałem często, zwłaszcza do Teatru Ludowego, który za dyrekcji Krystyny Skuszanki i Jerzego Krasowskiego prezentował bardzo ambitny repertuar. Odwiedzałem też artystę malarza Janusza Trzebiatowskiego – 35 lat tu mieszkał i na Osiedlu Kolorowym miał pracownię.

Książka Leszka Konarskiego jest ważnym uzupełnieniem dość licznych ostatnio publikacji na temat Nowej Huty, która dzięki młodym, ambitnym mieszkańcom, potomkom budowniczych miasta, zyskuje teraz blask, staje się coraz bardziej atrakcyjnym miejscem dla turystów odwiedzających podwawelski gród.

„Ta książka to moja autorska historia Nowej Huty – przyznaje Leszek Konarski – od początku jej budowy aż do 23 listopada 2019 r., gdy zgaśł ostatni wielki piec w kombinacie metalurgicznym. Widziana i opowiedziana przez dziennikarza, a nie historyka. Chciałem uchwycić, jak to miasto z bardzo lewicowego zmieniło się w prawicowe. I chciałem pokazać, jaka jest dzisiaj ta trzystutysięczna dzielnica Krakowa. Znałem zarówno tych, którzy tu budowali socjalizm, jak i tych, którzy go obalali, przyjaźniłem się z jednymi i drugimi, mam szacunek dla tych i tamtych. [...] Losów Nowej Huty nie dzieliłem nigdy na socjalistyczne i solidarnościowe. Bo zarówno w jednych, jak i w drugich czasach ludzie chcieli żyć lepiej i szczęśliwiej.

To będzie opowieść o ludziach, którzy budowali miasto marzeń i wielki kombinat metalurgiczny dla siebie, aby mieć dom i pracę. Powstało ich wysiłkiem największe w Europie miasto, w którym tak bardzo myślano o mieszkańcach, gdzie miało nie być slumsów ani ciemnych podwórek, podziału na biednych i bogatych” (s. 5-6).

Przytoczyłem dłuższy fragment wypowiedzi wstępnej autora książki o Nowej Hucie, gdyż objaśnia on jego stanowisko wobec tej inwestycji, ludzi, którzy ją realizowali, decydentów z PRL-u, czy później „Solidarności”. Ponieważ po przemianach po roku 1989 wielu polityków, a także dziennikarzy, nie zostawiło na Nowej Hucie suchej nitki, ta „socjalistyczna” dzielnica Krakowa stała się przedmiotem ataków zarówno za socrealistyczną architekturę, jaki za styl życia (opisywano aglomerację jako siedlisko przestępczości), Leszek Konarski zajął stanowisko arbitra, obiektywnego obserwatora, który umie docenić zarówno trud budowniczych miasta, ich poświęcenie, radość, że wznoszą swój dom, jak również rolę opozycji, której działalność doprowadziła do przemian ustrojowych. System uległ zmianie, pozostało miasto zbudowane w latach 50. ub. wieku, które swą koncepcją wzbudza zainteresowanie fachowców, jak choćby Philippe’a Hugueta, redaktora naczelnego miesięcznika poświęconego architekturze, wydawanego w Paryżu.

Konarski przypomina, że to nie komuniści projektowali założenia urbanistyczne Nowej Huty, a kombinatem metalurgicznym przez cały okres stalinizmu kierowali przedwojenni inżynierowie. Przykłady: Tadeusz Ptaszycki, główny projektant aglomeracji urodził się w Petersburgu, gimnazjum kończył w Odessie, politechnikę w Warszawie. Brał udział w kampanii wrześniowej, okres okupacji spędził w niewoli niemieckiej. Nigdy nie należał do PZPR. Pierwszym dyrektorem naczelnym huty był w latach 1949–1954 Jan Anioła, absolwent Budowy Maszyn Politechniki Gdańskiej. Podobnie jak Ptaszycki brał udział w walce z Niemcami, potem we Francji i Anglii służył w polskich formacjach zbrojnych. Do Polski wrócił w 1946 r.

Socrealistyczny styl architektury dzielnicy zrodził się w Stanach Zjednoczonych, z kolei w latach 30. XX w. naśladowano go w budownictwie w Związku Radzieckim. „Attyki na budynkach Nowej Huty – pisze Konarski – nie są kopiami detali architektonicznych z rosyjskich miast, lecz nawiązują stylem do polskiego baroku, do budowl w Krakowie, Tarnowie, Zamościu” (s. 7).

Autor tworzy swą narrację na podstawie notatek z setek rozmów z mieszkańcami i pracownikami kombinatu, jakie przeprowadził w różnych latach swej dziennikarskiej pracy. Nie buduje Nowej Hucie pomnika, nie dzieli jej losów na tę sprzed 1989 r., dzisiaj niejednokrotnie potępianą, i na współczesną, która wychowała pogromców komunizmu. Mówi zarówno o faktach budujących, jak i o wstydliwych, o ludziach uczciwych, jak i o kombinatorach, bandytach, mordercach, alkoholikach. Również nowohucką „Solidarność” opisuje w niejednolitych barwach. Nie dostrzega bohaterskich przywódców, nie znalazł wśród nich „drugiego Wałęsy”. „Dlatego też – pisze – najważniejsze wydarzenia, jak zakładanie struktur „Solidarności” w roku 1980 czy kierowanie strajkiem na przełomie kwietnia i maja w 1988, były dziełem ludzi przypadkowych, nieraz po wyrokach sądowych” (s. 8).

Nowa Huta projektowana była na miasto idealne, zapewniające wszystkim szczęśliwe życie. Służyć temu miały nie tylko założenia architektoniczne miasta opartego na figurze pięcioboku i placem centralnym, od którego promieniście odchodzą główne szlaki komunikacyjne z szerokimi ulicami i dużą ilością zieleni, ale również z całym szeregiem instytucji kulturalnych i socjalnych, oświatowych, jak żłobki, przedszkola, szkoły, świetlice, biblioteki, domy kultury. W założeniu miało to być miasto świeckie bez nowych kościołów. Po akcjach mieszkańców w latach 50. w sprawie budowy świątyni i ta sfera życia duchowego nowohucian została zaspokojona. Od lat 60. rozpoczęto budowę nowych kościołów wraz z obszernymi zabudowaniami parafialnymi.

Nie wszystkie jednak inicjatywy, które miały organizować życie mieszkańców po pracy w idealnym mieście, się przyjęły. Konarski skrupulatnie wylicza te, które nie zyskały uznania nowohucian, a więc jadalnie osiedlowe (kobiety tradycyjnie gotowały posiłki w domu), restauracje osiedlowe (społeczność Nowej Huty nie była przyzwyczajona do korzystania z nich jako miejsca życia towarzyskiego), podobnie zamarły pralnie domowe i suszarnie bielizny na strychach, świetlice osiedlowe czy „czerwone kącki” (miejsca do czytania gazet), kompletnym niewypałem okazały się radiowęzły (radioodbiorniki i później telewizory zniweczyły ten pomysł).

Dziennikarskie doświadczenie autora daje o sobie znać w tych partiach książki, w których śledzi on nieprawidłowości, uchybienia zarówno w procesie budowy miasta, jak i organizacji produkcji w kombinacie. Po okresie autentycznego entuzjazmu, zaangażowania pod koniec lat 60. i 70., przyszedł czas stabilizacji, a z nim pojawili się ludzie nie zawsze odpowiedni na zajmowanych stanowiskach. Przynależność partyjna, a nie kwalifikacje, poczęła dominować. Prowadziło to do różnych wynaturzeń. Na budowach rozprzestrzeniło się zjawisko kradzieży materiałów, w efekcie coraz częstsze szkody budowlane, w kombinacie różnego rodzaju praktyki, jak prace prywatne dla kierowników, jak martwe dusze na listach płac i inne tego typu nieprawidłowości. Nie uległo to zmianie po nastaniu „Solidarności”. Teraz również obowiązywała nomenklatura, choć zapanowały inne kryteria.

Są w książce Konarskiego fragmenty poruszające kwestie obyczajowe, kwestie miłości, wręcz seksu. Tego dotyczą m.in. rozdziały: *Miłość na suwnicy*, *Gwałt w świetlicy*, *Seks w kotłowni*. To typowe materiały dziennikarstwa interwencyjnego, podejmujące tematy raczej skrywane, rozstrzygane przez kolektywy pracownicze, a nie sądy, by nie psuć opinii w zakładzie produkcyjnym. Sprawy często, jak w przypadku oskarżenia o wymuszony seks, trudne do udowodnienia.

Warto w recenzji drukowanej w „Literacie Krakowskim” odnotować rozdział *Literaci jak szczury*, w którym po wstępnych paru uwagach na temat pisarzy opiewających Nową Hutę, jak Marian Brandys, Ryszard Kapuściński, Wiktor Woroszyński, Andrzej Braun, Jerzy Litwiniuk i prawie wszyscy autorzy krakowscy z Wisławą Szymborską na czele, Konarski konstatuje:

„W latach sześćdziesiątych pisarze jako pierwsi zaczęli opuszczać niczym szczury Nową Hutę [...] Dopiero pod koniec 1980 roku, gdy rodziła się „Solidarność”, pisarze

i dziennikarze masowo najechali Nową Hutę. Pojawiło się sporo literatów, którzy kiedyś byli piewcami tego socjalistycznego miasta, ale teraz już mieli inne poglądy” (s.277).

Pozostała część rozdziału to wywiad ze Stanisławem Stanuchem, „jednym z nielicznych, którzy nie opuścili tej dzielnicy”. Przyznać muszę, że więcej się spodziewałem po tym fragmencie książki Konarskiego. Autor kwestie środowiska artystycznego pokazał tu bardzo marginesowo. Nie rozwinął tematu prężnego tutaj środowiska plastyków, działań literatów, roli teatru. Przemilczał rolę opublikowanego w 1955 r. *Poematu dla dorosłych* Adama Ważyka i ważnej dyskusji literackiej i politycznej wobec tego utworu. Ciekawym przyczynkiem do tych kwestii jest choćby artykuł Anny Grochowskiej *Kultura w nowym mieście. O rozwoju życia kulturalnego w Nowej Hucie w latach 1949-1956*, drukowany w „Roczniku Biblioteki Kraków” 2019 czy też *Literatura w Nowej Hucie. W: Nowa Huta w kulturze kultura w Nowej Hucie*, Kraków 2019 i innych autorów.

Osobną wartością książki Konarskiego jest materiał dokumentalny, jakim on operuje. Często cytuje wypowiedzi mieszkańców i pracowników huty. Wymienia nazwiska robotników, majstrów, dyrektorów. Wreszcie cytuje fragmenty materiałów z ówczesnej prasy. Również materiał ikonograficzny z różnych etapów budowy dzielnicy, ludzi, którzy ją tworzyli, pejzaży wsi Mogiła, sytuacji rodzajowych itp. podnosi wartość merytoryczną książki. Ważnym uzupełnieniem jest też kalendarium *Najważniejsze daty z historii Nowej Huty* i indeks nazwisk.

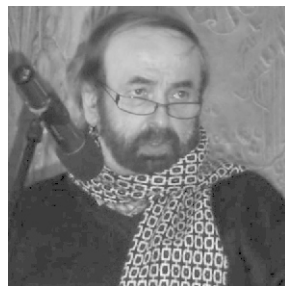
Na koniec warto zauważyć, że *Nowa Huta. Wyjście z raju* ukazała się w Bibliotece tygodnika „Przegląd” Fundacji „Oratio Recta”. Serii zasłużonej dla odkłamywania historii PRL-u. Ukazały się w niej m.in.: Andrzeja Karpińskiego *Prawda i kłamstwa o przemyśle*, dwa tomy tekstów znakomitych autorów (Andrzej Walicki, Bronisław Łagowski, Ludwik Stomma, Andrzej Werblan, Dariusz Jarosz, Lech Mażewski, Dariusz Łukasiewicz, Krzysztof Wasilewski) pt. *Polska Rzeczywistość Ludowa*, tom I *Od Jałty do października 56* i tom II *Od Gierka do Jaruzelskiego*, Roberta Walenciaka *Modzelewski. Buntownik*, Brunona Drwęskiego *Zagrabiona historia „Solidarności”*. *Został tylko mit*, „Ogień”. *Falszywy mit* Tadeusza Byrdaka, Pawła Dybicza, Leszka Konarskiego.

Leszek Konarski, *Nowa Huta. Wyjście z raju*, Biblioteka „Przeglądu” Fundacja „Oratio Recta”, Warszawa 2020, ss. 249.

PS Na skrzydełku obwoluty książki Leszka Konarskiego przeczytamy taką m.in. informację: „W lutym 2020 roku Nowa Huta zajęła pierwsze miejsce w rankingu na najlepszą europejską dzielnicę mieszkaniową, przeprowadzonym wśród czytelników brytyjskiego dziennika „The Guardian”. Spośród społecznych i architektonicznych atutów tej dzielnicy Krakowa największe uznanie czytelników pisma wzbudziły: atrakcyjność i wygoda zagospodarowania miejskiej przestrzeni, wszechobecna zieleń, różnorodne możliwości spędzania wolnego czasu, ale również oryginalność wysokiej klasy zabytków socrealizmu”.

IGNACY S. FIUT

GLOBTROTER SŁOWA



Domeną pisarstwa, w tym również poezji **Dariusza Tomasza Lebiody**, są utwory powstające w podróży po kraju, Europie, ale i świecie. Są to podróże realne, ale i typowo mentalne, odwołujące się do świadomości historycznej. Powstaje więc hybryda mentalno-realna, podobna do rzeczywistości wirtualnej, po której można serfować bez końca.

W tomiku pt. „Jasny dzień. Wiersze słowiańskie 1981-2018” pierwsza obszerna część zawiera utwory powstałe głównie w Bratysławie, ale również inspirowane podróżami wzdłuż Dunaju (Węgry, Austria), po których autor podążał często pieszo, wchłaniając tamtejsze klimaty społeczne, przyrodnicze, ale i architektoniczne. Nieobce były mu również pozostałe tam ślady polskości, np. kojarzone z Wilnem czy Moskwą. Jeśli idzie o Bratysławę to na pewno Zamek zrobił na autorze ogromne wrażenie, ale i uliczki starego miasta. W utworze pt. „Bratysława” możemy więc przeczytać: „Słyszę odgłosy miasta szum samochodów/Zgrzyt tramwajów pisk trolejbusów/widzę czerwone, niebieskie żółte/Światała i ludzi zmierzających do domów/restauracji na spotkania w cichej samotni/ich myśli jak sploty energii poczętej/i zgubionej ich słowa jak wersy wierszy/(...)//krok za korkiem odmierzamy co dzień/dystans do zastygnięcia do zniknięcia/energii krok w krok idziemy ku niecce/ostatniej chwili bez kształtu/i wymiaru”. Nietrudno zauważyć, że poeta płynie i wiosłuje słowami po mieście, które podpowiada mu tematy myśli i skojarzeń o charakterze bardziej uniwersalnym. Te wiersze na dobrą sprawę nie mają ani początku, ani końca, a nawet jedno bezkolizyjnie przechodzą w drugie. Tutaj i świata i narracja poetycka w miarę równolegle płyną względem siebie, a nawet się na siebie nakładają. Poeta zagląda przez okna do mieszkań i pokoi hotelowych, ogląda pomniki i kościoły, wędruje dniem, ale i nocą, wacha zapachy jesieni panoszącej się w mieście, jak również myśli o naszych wybitnych poetach: Cz. Miłoszu, W. Szymborskiej. Norwidzie, Baczyńskim, Leśmianie, Bursie, Grochowiaku i Poświatowskiej. Czuje również jak świadomość pcha go ku gwiazdom i przestrzeniom kosmicznym, choć zdaje sobie sprawę, że gwiazdy i galaktyki – to wyraz milczącego wszechświata.

W następnej części tomiku znalazły się wiersze poświęcone Litwie, ale i Wilnu, a koło starego obserwatorium ukazują się mu duchy Mickiewicza, Słowackiego, Kraskiewskiego, a niedaleko od nich sam Gedymin. Zastanawia się nad wyglądem trumny B. Radziwiłłówny, która podsuwa mu obraz postać św. Faustyny. Fantazja i wyobraźnia przenosi go do Rosji i widzi ikony, skupia się na ich wybranych treściach, by stwierdzić,

iz: „(...) ikono geometrio bólu/ikono katorgo oczu popadii/ikono skazo i masko/ikono soli spełnienie//ikono lśniąca łożo/prawosławia”. Ostatnia partia tej książki została nazwana „Wiersze polskie”, gdzie poeta zastanawia się ironicznie m.in. nad postacią Poloniusza, który zamierzał zdradzić nawet samego Hamleta. Od dramaturgii angielskiej autor przechodzi do dramaturgii polskiego Holocaustu, tj. do wspomnienia ludobójstwa Żydów (wiecznych tułaczy) pochowanych na Cmentarzu Żydowskim w Lesku. Dwa wiersze zostały tu poświęcone myśli Augusta Cieszkowskiego, głównie związane z pojęciem „bytu”, ale także sylwetkom Wojtki Sobeckiego, Aliny Jelińskiej i bohaterom tzw. „straconego pokolenia”.

Drugi tomik Lebiody zawiera wiersze powstałe w wyniku jego podróży głównie, mentalnych do Afryki i nosi tytuł – „Rzeźba z hebanu. Wiersze afrykańskie”. Pod dziecinnyymi marzeniami o podróży do Afryki, zamieszcza autor wiersz – „Zebry”, pisząc: „Dlaczego podeszłyście tak blisko/ruchliwej drogi wyraziste/pośród akacji i agaw//pasące się spokojnie słoną/trawa października//czy uczynił to lew czy stado/hien zagnało was w tę okolicę//stojące spokojnie wpatrzone/w swoje przeznaczenie/(...)//jak pradawne centaury/jak pasiate jednoróżce//na skraju życia/i śmierci”. Kolejne wiersze traktują o innych zwierzętach, krajobrazie sawanny, Kilimandżaro, okolicach Nairobi, Kiss, życiodajnym deszczu w Kenii, ludziom sprzedającym orzeszki, „czarniej miłości” mieszkańców, jezioru Wiktorii i rybakom łowiącym tam ryby, drodze do Mombasy, przemowie imama, życiu na safari i Serengeti, przebiegającym tam drogą i bezdrożom, po których wędrują za życiem zwierzęta i ludzi, przez Egipt, Tanzanię, aż do Konga. Następne wiersze zamykające tomik podnoszą doświadczenie oraz przeżywanie oddali w tym afrykańskim krajobrazie, konfliktom plemiennym ze względu na wyznanie i kolor skóry, specyfice życia kobiet i mężczyzn, ale i wszechobecnej śmierci wszystkich istot żywych. Nad głową autor postrzega Krzyż Południa, zaś niedaleko hieny patrolujące sawannę i węszące zapach padliny. Dalsza droga prowadzi poetę do Pretorii, ku pomnikowi Nelsona Mandeli, do zuluskich wojowników, świata Parku Krugera, gdzie lwy, pantery, hieny, cywety, likaony i szakale próbują nawiązać kontakty z człowiekiem. Po drodze spotyka martwego bawoła, zanurza się w klimaty Johannesburga i Soweto, gdzie zadziwia go bliskość mieszkających tam ludzi.

Nie ma wątpliwości, że D. T. Lebioda to bez wątpienia globtroter słowa, pełnym duchem i całym ciałem korzystający z faktu, że świat uległ globalizacji i właściwie każdy może realnie lub wirtualnie dotrzeć na „krańce” naszego świata, a nawet światów alternatywnych, które może sam z siebie tworzyć, jak czyni to bydgoski poeta. Ta poezja jest prawie uniwersalną realizacją tego, co zwykło nazywać się poezją ponowoczesną, która jednak nie zapomina o swoich dziejach i genezie, czyli „braniu na język” w nieskończoność naszego świata, na co pozwala syntaktyka i semantyka danego języka.

D. T. Lebioda, *Jasny dzień. Wiersze słowiańskie 1981-2018*, Biblioteka „Tematu”, Nr 141, Bydgoszcz 2018, s. 134 i D. T. Lebioda, „Rzeźba z hebanu. Wiersze afrykańskie”, Biblioteka „Tematu” Nr 145, Bydgoszcz 2019, s. 156.

CIELESNOŚĆ KOBIECEJ POEZJI

Twórczość poetycka **Marceliny Koncewicz** ma charakter typowo dialogiczny, co wyrażają wersy jej utworów, w których nietrudno zauważyć dialogi z utworami: ks. Jana Twardowskiego, Haliny Poświatowskiej, Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej, Stanisława Barańczaka, Wojciecha Wencła, czy Ewy Lipskiej. Tłem tych wszystkich dialogów jest pogłębione doświadczenie własnego ciała, ale i świata, w które jest ono jakby wplecione. Poetka w tym celu tworzy własny, osobisty i niepowtarzalny język narracji. Wiersze te sugerują wielorakie wewnętrzne rozdarcie autorki między sobą i nie-sobą, dające przestrzeń w pełni wolnego oglądu siebie w świecie, ale i świata w sobie. Nie ma tu jakiejś wyrafinowanej metafizyki, ale prym wiedzie w inspiracjach fizyczność i biologiczność cielesna – typowa dla poezji kobiecej. Widać w niej również deficyt pierwiastka męskiego, który jednak nie jest konieczny, by utwory te miały pełne semantyczne dopełnienie. Nawet byt boży staje się niekoniecznym składnikiem wiary poetki, bo właśnie owa cielesność i biologiczność stanowią podstawę spajającą jej inspiracje artystyczne.

W wierszu pt. „Stworzenie” czytamy: „(...) nareszcie Bóg rzekł/uczyńmy zlepek prochu/pył popiołu/proch w bucie/kurz na wietrze/i mnie stwórzyl”. Widać, że autorka identyfikuje się z całością stworzenia i uczestniczy w jego niekończących się procesach poza czasem i przestrzenią. Niepokoją ją liczne związki miłości i ze śmiercią, która jak zwierciadło stara się dopełnić jej doskonałość. Właściwie wszystkie utwory w tym tomiku są wypełnione typową kobiecą cielesnością, która jest zarazem dynamiczna i wybuchowa. I dlatego ważna jest dla autorki „tajemnica chwili”, w której ukazują się „kolory życia” szczęśliwego.

Inną ciekawą kwestią jest tu nawiązania do „Mistrza i Małgorzaty M. Bułhakowa, ale poetka widzi swoją mistrzynię właśnie w Małgorzacie i przypuszcza, że w swoim życiu podąża jej drogą. Sądzi zatem, iż nie potrzebuje „przysłowiowego mistrza” (mężczyzny, narzeczonego), który dopełniałby istotę jej kobiecości. Przy tym Koncewicz jako typowa kobieta, dla której miłość zawsze musi mieć wyraz cielesny, jest osobą wręcz detaliczną w tej materii. W wierszu (bez tytułu) zamykającym tomik wręcz stwierdza: „nie wiem/czy jeszcze w ciebie wierzę/czy jesteś tylko/zasianym we mnie ziarnem/plamką na skórze/ukrytą chorobą/odwiecznym pragnieniem/by moje oddechy/znaczyły coś więcej/niz szyby wystawowe”. I nie jest ważne dla poetki czy chodzi tu o mężczyznę, czy formę jakiegos „bytu bożego”.

Dawno nie ukazał się tak ciekawy tomik poetycki, który byłby tak w sposób naturalny wypełniony ucieleśnionym duchem kobiecości. Warto zwrócić na niego uwagę i przeczytać ze skupieniem.

M.. Koncewicz, *Ciało moje*, posłowie – Paweł Kuzora, Wydawnictwo i Drukarnia Towarzystwa Słowaków w Polsce, Kraków 2020, s. 56.

IRENA KACZMARCZYK

**POETYCKA REZYDENCJA
JERZEGO STANISŁAWA FRONCZKA**

*Czy wiesz jaka jest miłość?
To jakby najdrobniejszy deszcz
w którym idziesz i nie wiesz że pada.
A potem czujesz, żeś przemókł do samego serca”
(z poezji ludowej Kurdów)*

Jerzy Stanisław Fronczek. W przeciwieństwie do wielu twórców, ten krakowski poeta, autor piosenek, prozaik i publicysta, chodzi własnymi drogami. Nie wychyla się, ale też i nie chowa, chyba że we własnych wierszach, które urzekają pogodną aurą, uwodzą metaforą, zapraszając do pięknie zaaranżowanego wnętrza, gdzie chce się zdjąć z ramion strudzony plecak i odpocząć, posiedzieć, pomilczeć, albo też podjąć stonowany dyskurs z podmiotem lirycznym na temat uroków natury, ulubionych artystów, czy zaplatać się w sieć uczuć łączących mężczyznę i kobietę, bo mowa tu przecież o ostatnim Zeszycie Jerzego St. Fronczka, któremu autor nadał tytuł: „Babie lato. Erotyki dawne i nowe”.

Zeszyt zawiera raptem 23 wiersze, ale jest to wystarczająca porcja. Są to smaczne, pachnące świeżością kąski, jakie poeta podaje na stół w swoim oryginalnym i na wskroś „lirycznym domu”. Przed drzwiami poetyckiej rezydencji Jerzego St. Fronczka z przyjemnością „potykamy się” o czterowers, zaczerpnięty z poezji ludowej Kurdów. Stał się on niewątpliwie świetną inspiracją dla autora erotyków dawnych i nowych. Trudno dostrzec jednak, by pomieszczone w „Babim lecie” liryki dzieliły się na stare i nowe. Miłości przecież, jeśli jest prawdziwą, nie koroduje czas. I poeta to wie.

Przyjemnie czyta się strofy miłosne Jerzego St. Fronczka. Nie ma tu wystawionego na poklask, wyrafinowanego seksu. Nie ma chaotycznego gwaru, kakofonii, pośpiechu a dominuje czułość, opiekuńczość, troska. W dialogu wspomnień króluje dobry nastrój, przyjazna pogoda:

* * *

*nie śpię
czuwam przy twoim jaskółczym
brzuchu pełnym motyli i ptaków
kto tak potrafi?
Słucham jak w jego wnętrzu*

*śpiewa ptak – pit pik pit
jeszcze cichutko
echo niesie po wodzie
nasz refren*

albo w impresji dedykowanej dla Eweliny:

* * *

*może cię
nie obronię
przed złymi wiadomościami
ze świata
ale pamiętaj że
zawsze byłem jestem
i będę w twoim
pokoju zasłoniętym
firanką z zielonych
wzgórz*

czy w zawołowanym spełnieniu:

* * *

*biorę cię
delikatnie
w dłoń
zanoszę do domu
i kładę na
czyste prześcieradło
zmierzchu
nasze ciała
unoszą się
jednostajnie
i tylko
rumieniec
wstydu
mówi
o wszystkim*

Nie da się nie zauważyć, iż niekiedy sposób obrazowania i tematyka wierszy Jerzego St. Fronczka przypomina liryczną twórczość Księcia Krainy Łagodności – Jerzego

Harasymowicza. Zapewne niejednokrotnie Homer Łemkowszczyzny, jak go nazywano, gościł w poetyckiej rezydencji autora "Babiego lata", bo Jerzy St. Fronczek bardzo cenił swego Mistrza. Był przecież członkiem grupy poetyckiej „Weranda” skupionej wokół Jerzego Harasymowicza. Daj Boże, każdemu lirykowi mieć takiego Nauczyciela. Wtedy wyobraźnia skreśli tak fantastyczną poślubną podróż, jak w wierszu Fronczka:

Winda

*zamek błyskawiczny
rozsuwa się szybciej niż
chmury na niebie
słyszę szelest spadającej
sukni
biorę cię w ramiona i wnoszę
do windy
to nasza najszybsza podróż
poślubna
dobra bo tania i nie trzeba
kasować biletów
będziemy tak jeździć
cały dzień całą noc całą
wieczność
spełnią się nasze marzenia
winda uniesie nas
w kosmos*

Jest w zbiorze Jerzego St. Fronczka sporo dobrej poezji. Są króciutkie impresje i tradycyjne kilkustrofowe wiersze sylabotoniczne, w których melodyjnie kołyszą się przepiękne i oryginalne metafory, proszące o nuty jak choćby „Piosenka z gór” czy „Domowa ballada”. Ale te musicie, drodzy czytelnicy i wielbicielowie poezji krakowskiego poety, zrzęzonego w Związku Literatów Polskich, przeczytać. Zapraszam zatem do poetyckiej rezydencji Jerzego Stanisława Fronczka. Dajcie się uwieść. Zapalone świece czekają...

Kraków, 19.09.2020

Jerzy St. Fronczek: *Babie lato. Erotyki dawne i nowe*, Eksplorator, Kraków 2020, ss. 23

ANDRZEJ WALTER
DZIENNIK NOSTALGII



„Po co żyjemy, skoro wiatr, zanim zdążymy unieść nogę, zmiecie nasz ostatni ślad. Przeszłość nie istnieje, przyszłość – wątpliwe czy nadejdzie. Czas powraca jak fala, wichura, która nigdy nie ustaje.”

[Cieniem jesteśmy zaledwie, wiatrem, dymem]

Zaiste piękną była moja ostatnia przygoda z lekturą... Nie potrafię się od tej książki uwolnić, otrząsnąć z niej, przejść do codzienności, nie potrafię przestać o niej myśleć i chyba nie potrafię na nią właściwie odpowiedzieć. Mowa o „Dzienniku zdrady” Emiliosa Salomou, cypryjskiego pisarza, dziennikarza i nauczyciela urodzonego w 1971 roku w Nikozji. Książka ukazała się dzięki fenomenalnemu tłumaczeniu Ewy T. Szyler, warszawianki o ogromnym dorobku nowogreckich przekładów oraz Wydawnictwu Książkowe Klimaty z Wrocławia w ramach serii klimatów greckich...

To banalna historia opowiedziana w sposób iście niebanalny. To dziennik nostalgii, który otwiera naszą świadomość na głębokie zamyślenie. To wreszcie piękna opowieść o tym, że miłość ma swoje źródło w pamięci i jest całkowicie niezależna wobec czasu.

Georgios Doukarelis, archeolog i profesor Uniwersytetu Ateńskiego, powraca po 20 latach na małą wyspę Kufonisi na Cykladach. Ostatni pobyt w tym miejscu zmienił jego życie na zawsze: romans ze studentką zaważył na jego życiu rodzinnym, a prowadzone przez niego wykopaliska odkryły szczątki młodej kobiety, zamordowanej ponad 5 tysięcy lat temu. Niezwykła opowieść o czasie, zniszczeniu, pamięci i miłości, które jako jedyne wprowadzają harmonię pomiędzy "dawniej" i "dziś".

„– A ludzka natura? Zmieniła się jakoś od czasu, gdy żyła na tej wyspie tamta nieszczęsna kobieta?”

– Myślę, że nie. Ludzka natura okazuje się bardzo odporna na upływ czasu, jest taka sama przed czterema czy pięcioma tysiącami lat. Jeśli coś się zmieniło, to codzienność. Człowiek odmienił swoje środowisko, ale nie siebie.

Rozważania o niezmiennej naturze ludzkiej wprowadzają go w ponury nastrój. Odnoszą się i do jego własnej natury, wystawionej na pułapki czasu, splecionej z losem otaczających go ludzi. Niewolnik codzienności, którą sam sobie wybrał, uwię-

ziony w teatrze kukielkowym, marionetka poruszana niewidzialnymi sznurkami, za które pociąga z wysoka ktoś inny.”

Po co żyjemy?

Tak, to pytanie wszelkich pytań, pytanie, które nieustannie dręczy nasze trwanie i ciągle powraca w chwilach koncentracji lęków. Pytanie duszne, bolesne i retoryczne, a jednocześnie będące szansą na pełniejsze jutro. Warto wciąż je zadawać. Stawiać je jako drogowskaz. Może nawet każdego dnia. Uzmysławiać sobie: swoje miejsce, swój los, swoje dążenia, swój czas. Przeżywać go i napełniać go sensem. Szklanka jest przecież, równocześnie – do połowy pełna i w połowie pusta. Te proporcje nie są stałe. Są tak dynamiczne, jak pulsuje nasze życie: w rytm zdarzeń, w kołowrocie codzienności i w pętli tego, na co czekamy.

Dlaczego powracamy na miejsce zbrodni? Czy to była zbrodnia, czy tylko przypadek sprawił, że my, wtedy, i do tego właśnie tam, się wówczas znaleźliśmy? Jakie siły nami kierują – własne, samoistne czy może raczej jakieś zewnętrzne? Co jest zbrodnią, a co wyzwoleniem? Jak to jest, czy faktycznie trzepot skrzydeł motyla obok mnie może spowodować na drugim końcu świata huragan? I po co myśleć o drugim końcu świata skoro świat jest na wyciągnięcie ręki?

„Dziennik zdrady” stawia te pytania pomiędzy słowami, stawia je subtelnie, dyskretnie, niedostrzegalnie. Oscyluje bardzo blisko poezji oraz jej wymiaru. Ujarmia nas, z pewnej perspektywy myśli, a równocześnie wyzwala z okowów pewnych natręctw małostkowych zakotwiczeń na mieliznach życia. „Dziennik zdrady” jest typowo greckim, filozoficzno-psychologicznym studium stawania się, dojrzewania i docierania do samego siebie. Jest wędrówką Odyseusza – wyprawą, powrotem, zagubieniem – wszystkim jednocześnie i każdym z nich z osobna. To książka klucz – do siebie, do rzeki czasu, do wszelkich nagromadzonych warstw świadomości, do spraw banalnych oraz do spraw wielkich, wydaje się, iż ostatecznych, splecionych ze sobą nierozzerwalnie i z goryczą tłumiących nasze serca. Co z tego rozpoznamy, ujarzmimy, obłaskawimy – to już jest tylko nasz autonomiczny wybór, nasze, że tak powiem wyzwanie, nasze zadanie na tym świecie i w pewnym sensie – nasze przeznaczenie.

Jest w tej książce jakiś ogromny estetyzm godzenia się z czasem. Jest jakiś seans iluminacji istnieniem. Jest wreszcie balsam godnego przemijania oraz wszelkie aspekty pogodnego spoglądania na głęboki sens naszego nieuchronnego odchodzenia. Odchodzenie to bowiem pozostawia wyraźny ślad. Jest to ślad wszystkich tych myśli i wątpliwości. To ślad bólu i przeżywania tegoż życia najpełniej jak się da. Boli po to, aby się czuło, że się żyje. Tylko ta odpowiedź wszystko wyjaśnia... Wszystko?

A cóż to jest – Wszystko?

I nagle konstatujemy, że nie był to „Dziennik zdrady”, że samo pojęcie zdrady jest jakby zdefraudowane wobec naszego miotania się w sieci dylematów i wyborów, że jest

ono nieuchronnym atrybutem rozchodzenia się dróg, że te dróg dramatyczne rozstaje, to jakby nasza realna, przejmująca rzeczywistość, a każda „zdrada” może okazać się jedynie próbą odpowiedzi na pytanie o samego siebie...

„(...) w istocie rzeczy narodziny i śmierć, początek i koniec, rozkwit i upadek pozostają niezmiennie, i to one wyznaczają granice czasu. To on, czas, kieruje życiem ich obojga, jego życiem i jej życiem. Są jak dwie linie proste, które kiedyś przypadkiem przecięły się w wirze świata, a potem biegły dalej w bezkres, niosąc piętno pierwszego kontaktu (...)”

„I znów ogarnia Dukareliś wrazenie, że on także jest marionetką poruszaną przez siły wyższe. Że ktoś o nim decyduje. Że to, co przeżywa, o czym myśli, istnieje jedynie w wyobraźni nieznanego bytu, który chce i może uczynić swoje fantazje jego rzeczywistością. Zimny dreszcz przeszedł mu po plecach ... Wyprostował się, odwrócił wokół własnej osi, bezradny, wirujący derwisz, spojrzał na morze, niebo, na jałową ziemię. I znów zadał sobie pytanie, czy istnieje naprawdę, czy jest tylko idea, myślą, zjawą w umyśle nieznanego, mirażem rzeczywistości. Chciałby wziąć sprawy w swoje ręce, odmienić swój los, zbuntować się przeciw przeznaczeniu, przeciw scenerii stworzonej dla niego w teatrze absurdu. Albo brać rzeczy takie, jakie są, przeżywać je całą mocą ducha i nie szukać niczego innego poza odczuciami.”

Bo tak naprawdę – cóż istnieje innego poza odczuciami? Cali jesteśmy – odczuciami. Jesteśmy impulsami tych odczuć, wzniecany mi wszystkim, co dzieje się wokół nas. Cała nasza przez lata misternie budowana konstrukcja emocjonalnie sklejona jest z tych odczuć... Cała reszta, ba, cały wszechświat, to energia, materia, jakaś tajemnicza dusza, jakieś ciało, mechanizm je poruszający, jakieś zagadki, pytania, intelektualne budowle wzniesione przez człowieka, który może mieć słuszość, ale i może się mylić – a nam? nam pozostają jedynie emocje i odczucia. To nasz byt – nasza realność. Pogódźmy się z tym.

Sądzę, że kawałek znakomitej literatury europejskiej wkroczył do nas dzięki Emiliowi Salomou. Dzięki temu, że możemy przeczytać tak fantastyczną książkę i wejść w samych siebie. Takie rozważania nigdy nie są daremne. Nawet w każdym przejmującym poczuciu zagubienia jest przecież jakaś recepta na coraz roztropniejsze obławianie codzienności.

Recepta na życie

Emilios Salomou, cypryjski pisarz młodego pokolenia, swoją nową powieścią „Nienawiść, to połowa zemsty” przekroczył Rubikon powieści wielkich.

Z reguły staram się właśnie zdecydowanie ulegać uczuciom oraz emocjom, aby jednocześnie wystrzegać się jak ognia słów granicznych, tandetnych, pochopnych

zachwytów czy pseudoliterackich szaleństw z nadużywaniem słów o pisarzach „wybitnych”, o twórcach, których tak naprawdę oceni (Bóg i Historia) ... ktoś inny, a najrzetelniej czytelnicy, tudzież upływający czas i przestrzeń naszych światów ewoluujących ku światom innym, nowym, jeszcze nieodkrytym. Patyna owego czasu pokryje więc: słowa, znaczenia i przesłania, z jednym wszakże wyjątkiem, a wyjątek ten będzie stanowić pewnego rodzaju manifest społeczny w czasach degrengolady wszechświatowej, na użytek troglodytów, ku którym to czasom bezwiednie i nieuchronnie zmierzamy, chcąc tego, bądź nie.

Nowa książka Salomou jeszcze, jak sądzę, nie stanowi tej odezwy, jeszcze bliżej jest jej być może jedynie do zarzewia, do iskry - owego buntu mas, społeczeństw i pokoleń, ale na kanwie entuzjazmu po lekturze, tych grubo ponad sześćuset stron powieści utalentowanego cypryjszycy, mogę, mam prawo i mam chęć, i taką głęboką potrzebę - tam ją właśnie ujrzyć, taką ją Wam przedstawić i niejako tak do niej zachęcić, gdyż szczerze sądzę, że każdy człowiek współczesny powinien poddać się tej lekturze, powinien ulec magii słów, ulec sile przekazu oraz głębi treści czy podrażnienia naszej świadomości poprzez moc postawionych w niej tez.

Fenomenalna powieść. Nowatorska w swej: konstrukcji, języku i przeprowadzeniu narracji. Opierająca się na najlepszych wzorcach klasyki literatury światowej, a jednocześnie szukająca bardzo zdecydowanie własnego literackiego wyrazu. Powieść. która niejako, być może bardzo odległe, lecz jednak, może nam przywołać w mgłę skojarzeń twórczość Fiodora Dostojewskiego, albo choć jej wymiar, atmosferę oraz warstwę tamtej estetyki, ale wszystko to jest napisane jakby dalece od nowa, a w zasadzie całkowicie od nowa.

Po prostu, nasza historia, wydaje się, dotarła do podobnego punktu na mapie ludzkich dylematów, przeżyć i doświadczeń, która determinuje takie, a nie inne, postawienie problemu wręcz ludzkości dziś, tu i teraz, parafrazując odwieczne człowiecze rozterki opierające się na rozważaniach banalnej zbrodni i kary.

Jednak w tym wszystkim, w jakby całokształcie tej powieści, możemy ową, zarówno zbrodnię jak i karę, odczytać na nowo, z duchem naszych czasów, z perspektyw naszych dylematów, naszych uczuć i naszego, na wskroś współczesnego spojrzenia na świat. To wszystko, powtórzę dobitnie i wyraźnie, jest przetransponowane całkowicie od nowa, a w zasadzie – warto to podkreślić – samo jądro ciemności, sam problem, dylemat i sedno jest tutaj odwrócone totalnie. Charakteryzuje się to jaskrawym postawieniem dylematu – nie zbrodnia rodzi bowiem karę, a sama kara, ucieleśniona, uwymiarowana kara, sama jakby idea kary, doprowadza do zbrodni, do zbrodni pozornie doskonałej, do zbrodni, o której wiemy prawie wszystko i (o zgrozo) trzymamy sztangę zbrodniarzem.

Ta powieść ma nam dać pełnię psychologicznego wymiaru zbrodni, która rodzi zbrodnię kolejną i która rozprzestrzenia na ten świat całą wręcz epidemię zbrodni,

wszelakie jej barwy i odcienie, jej zdemaskowaną współczesność, jej postać denominowaną postawą homo oeconomicusa i homo faber razem wziętych i spotęgowanych degeneracją psuedo-wolności rodzącej nowoczesne niewolnictwo. Matnia codziennego uwikłania, nici opowiedzianych historii oraz wyrafinowanie przedstawiony stan ducha i emocji bohaterów tej powieści dosłownie powalają. Wgniatają w fotel. Unicestwiają. Tę jakże potężną objętościowo powieść połyka się w kilka dni. Czas staje w miejscu.

Salomou nie daje wytchnienia. Napisał coś, co może wydać się z bardzo daleka namiastką kryminału, coś co jest świetną analizą stanu ducha współczesnych społeczeństw, jako takich oraz każdego z nas z osobna, również – jako takich. Każdy odnajdzie tu część siebie, ale i każdy odnajdzie tu sąsiada zza ściany, przechodnia na ulicy, siostrę, brata, vipa i uchodźcę, emigranta cienia i wędrowca poszukującego szczęścia, z góry skazanego na klęskę współczesności, która raczy nas raczej namiastkami szczęścia, ersatzem radości oraz pozorami prawdziwego życia.

Salomou da nam jednocześnie twardą i mocną odpowiedź na naszą potrzebę szczęścia, właściwie określi nam otwarcie czym ono tak naprawdę jest, a czym nie jest. Od wieków. Zrobi to perfidnie i podstępnie. Jak wielki i ważny pisarz. Jak pisarz, którego rola dziś, nie bójmy się tego wyrazić, jest jaka jest. Pisarz, którego zepchnięto do miana dziwaków, w większości ledwo wiążących koniec z końcem.

„Nienawiść, to połowa zemsty”. Książka klucz. Metafora współczesności. Czyrak czasów. Poprowadzona wielowątkową narracją filmową, jakże niezbędną współczesnemu czytelniko-widzowi do osadzenia bliskich mu bohaterów, w rozpoznanym i odgadnionym świecie, a jednocześnie w świecie pełnym niepewności jutra i gąszczu pytań o przyszłość. Książka żyjąca z historii, czerpiąca z niej, a jednocześnie jawnie ją oskarżająca i manifestująca nasze historyczne nieuctwo, aby nie rzec niechęć do wyciągania z historii wniosków i uczenia się od niej jak żyć i jak ten świat ulepszyć. Nie chcemy go jednak ulepszać. Naszą ojczyzną są pieniądze, a ich ojczyzną jest władza. Władza nad umysłami. Kontredans tych sił i jawne ostrzeżenie – ależ tak, to załążek diagnozy współczesności – to zacznij manifestu nowej rewolucji, która może się stać zarzewiem otrzeźwienia niczym nowa wojna łaknących z sytymi. Nie wolność, nie idea, nie światopogląd nam wytyczy przyszłość, ale czucie i wiara. W co? A, o tym książka Emiliosa Salomou kompletnie milczy zachowując powściągliwość i dyskrecję godną współczesnych zlaicyzowanych społeczeństw, które oddzieliły już sacrum od profanum i być może nawet gdzieś tam jeszcze rozważają czy są dzięki temu szczęśliwsze, lecz nie to z gruntu je przecież zajmuje.

Zajmuje je bardziej jak przeżyć i się nie zeszmacić, nie ześwinić do reszty, jak przeżyć w demokracji kompromisu, jak przeżyć w tej globalnej szachrajskiej grze z siłami dalece przekraczającymi nasze racje bytu i racje egzystencji?

Ta książka wykracza poza ramy tradycyjnego pisarstwa. Dostarcza nam wszystko to, czego oczekujemy od współczesnej powieści, dostarcza: akcji, działania się, genialnej

narracji, wyrazistości, acz i tajemnicy każdego z bohaterów, pełnych natłoku emocji klisz współczesności z całym wachlarzem pytań, dylematów, przeżyć i lęków, a jednocześnie ta powieść po prostu wciągająca, poruszająca i najzwyczajniej w świecie po prostu świetnie się ... czytająca. Czyta się to tak, że aż zapiera dech. Jakże mało dziś takich książek. Są dziś albo zbyt powierzchowne, skrojone pod mało wybrednego czytelnika romansów czy kryminałów, albo pod zesnobowanego egoistę, który mniej czyta, a bardziej obnosi się z tytułem.

„Nienawiść...” to wręcz coś przeciwnego – normalna książka, duża powieść, chciałoby się powiedzieć – „jak dawniej”... Bez kiczu, prostoty czy uproszczeń, ale i bez patosu i słów zbyt mądrych, aby były prawdziwe. Czytelnicze wyzwanie (kilku rozdziałów „wciągnięcia się”) zrekompensowane z nawiązką całą resztą. (Ale i warto nadmienić, że zrekompensowane perfekcyjnie nostalgicznym i artystycznym stylem, o którym rozprawialiśmy już przy okazji omawiania „Dziennika zdrady” sprzed kilku lat).

To jest bardzo ważna dziś książka. Nie, nie zdradzę Wam żadnych szczegółów, oprócz tych, przywołanych przez Wydawcę. Siła zaskakiwania czytelnika, to siła tej książki. Siła opowiedzianych historii mówi sama za siebie. A Wydawca opowiada o książce tak (jak poniżej przytaczam) i Wydawca mnie nie przekonuje i nie zachęca, a szkoda...

„21 kwietnia 1870 roku w Dilesi, mieście na beockim wybrzeżu, zostaje porwanych czterech prominentnych Europejczyków: trzech obywateli Wielkiej Brytanii i jeden Włoch. Porywaczami są greccy rozbójnicy, a wydarzenie to staje się bezpośrednią przyczyną kryzysu na linii Grecja – Wielka Brytania. Po dziesięciu dniach mężczyźni zostają zamordowani. Wydarzenia te przeszły do historii jako masakra w Dilesi i zwróciły Europę przeciwko Grecji oraz odsłoniły głęboko zakorzenione mechanizmy korupcyjne greckiego systemu politycznego i jego związki z tymi tragicznymi wydarzeniami.

21 kwietnia 2013 roku: brutalne morderstwo członków europejskiej Troiki w jednym z hoteli położonych w centrum Aten znów zwraca europejską opinię publiczną przeciwko Grecji. Ta zaś, w samym środku wieloaspektowego kryzysu znów otrzyma łatkę czarnej owcy. Zakodowana wiadomość zostawiona przez mordercę na miejscu zbrodni powiąże zdarzenie z masakrą w Dilesi. Greccy rozbójnicy z przeszłości powracają do życia po 143 latach.”

Właściwie jestem pewien, że ta „reklama” bardzo źle spełnia swoją funkcję. Ta książka jest po prostu nominalnie o tym. Te wydarzenia stanowią pewną kanwę, sztafaż, szeroko pojęte ramy tej opowieści. Jej esencja wkracza zdecydowanie w naszą jaźń, porusza naszą wrażliwość, porusza sumienia i zmusza do myślenia, przeżycia oraz postawienia samemu sobie wielu fundamentalnych pytań. To tak jakby napisać, że „Ziemia obiecana” to książka o Polaku, Niemcu i Żydzie, czy „Quo vadis” to książka jak to lwy zjadają chrześcijan...

A „Nienawiść, to połowa zemsty”. Tytuł jest wyzwaniem. Reszta jest podobno czynem. Czy jest to zatem książka o nienawiści? Tego Wam nie powiem. Nie żebym nie

chciał. Sam się nad tym po lekturze zastanawiam. Pierwszy raz dałem się ponieść książce, w której niejako postawiony zostałem kibicowaniu zbrodni, w której stanąłem po stronie złooczyńcy, w której sam siebie pytałem, czy jest to uprawnione, czy mam prawo rozgrzeszać, było nie było, szaleńca. A jednak Salomou napisał to tak, że nie będziecie w stanie przejść do porządku dziennego nad ludzką krzywdą i ludzkim nieszczęściem, że nie otrząśnięcie się prędko z myśli o losie tak swoim, jak i swoich najbliższych, że odłożycie tę książkę z poczuciem głębokiej satysfakcji oraz spełnienia, a równocześnie otwartości wielkiego finału. Choć finał wcale nie będzie wielki... A w trakcie lektury jakby podskórnie czujemy, że ofiara, faktycznie powinna być ofiarą, że jest winna, że zasłużyła, że żadna lepsza „sprawiedliwość” jej nie sięgnie i że ta ofiara jest doszczętnie: zepsuta, zblazowana i wynaturzona...

Salomou udowodnił, że choć jest cypryjczykiem, to właśnie literatura grecka stanowi ogromny potencjał, że idzie własną drogą, daleką od mód, póż oraz blichtru współczesności, że ma własną, wielką dykcję, że stanowi dla nas jednocześnie wyzwanie, jak również kopalnią rzetelnej pisarskiej propozycji dla zagubionych dziś czytelników. Cypr jest bowiem – to dygresja, taka na marginesie „sprawy” – erupcją grecko-tureckiego odwiecznego konfliktu, a jako taki, jest w zasadzie wykwitem żywej Historii Europy na przestrzeni wielu wieków i jako taki nadal podlega jej procesom i ewolucji. Jest wynikiem działania wielu sił, mocarstw oraz wydarzeń. Jest dowodem na to, że idea Europy jest wciąż żywa i nawet zakopywana pod ziemię, czy deformowana przez brukselskie elity, bądź lewackie pseudoelity, zawsze będzie dowodem na kontrast kultur Wschodu i Zachodu.

Grecja jest na tym tle państwem granicznym, państwem od zawsze poddawany swego rodzaju eksperymentom i doświadczeniom, państwem wciągany w grę mocarstw silniej niż jakiekolwiek inne i państwem kolebką naszej europejskości. Jesteśmy bowiem dziećmi szeroko pojętego hellenizmu, którego korzenie sięgają hen poza horyzont nawet chrześcijaństwa. Ten wymiar greckości zbliża nas do głębszego pojęcia zachodzących tam, w tej przedziwnej Grecji – procesów i traum. Nie da się bowiem jednoznacznie ocenić słynnego już greckiego kryzysu bez wnikania w kondycję współczesnych społeczeństw Zachodu – ich mentalności, deformacji dziejowej oraz ideowego wynaturzenia. Tym procesom podlegają też, bez żadnych wyjątków zarówno społeczeństwa i polskie jak i greckie, a dziś nawet – we właściwym sobie sensie i tureckie, choć to zdecydowanie odrębna sprawa i nie temat naszych rozważań.

Lektura prozy Emiliosa Salomou skłania do takich właśnie refleksji, daleko snujących się przemyśleń nad: zarówno losem człowieka, pozornie wolnej jednostki, jak i nad emancypacją społeczeństw poddawaną grze sił ekonomicznych, za którymi stoją szare eminencje rzeczywistości, o bliżej niesprecyzowanym autoramencie, acz silne, zwarte i gotowe, aby nam życie i świat urządzić, wtłaczając nas w nowy wymiar niewolnictwa, albo swoistej. ładnie brzmiącej, wolnej niewoli, jak kto sobie tam woli.

Grzech pychy i tolerancji. Grzech samowoli i do woli, bez granic, bez sumień, bez osądów. I w tym wszystkim: beznadzieja, mur, ściana, połączana klatka codzienności, z dnia na dzień odzierana za złudzeń, a w Grecji nawet ze środków na przeżycie. To rodzi bunt, to rodzi żal, gniew, rozpacz?... co jeszcze?...

Odpowiedzi na te pytania, rzecz jasna w książce Salomou nie znajdziecie. Tym lepiej. Znakomicie, że nasz autor do pytań tych doprowadza cichutko, dyskretnie, zdaje się bardzo subtelnie, mimochodem. Te pytania krążą nad powieścią jednak bardzo jawnie. Wyraźnie, mocno i zdecydowanie.

Kim zatem jest autor – Emilios Salomou?...

Emilios Salomou jest cypryjskim pisarzem, dziennikarzem i nauczycielem urodzonym w Nikozji. To literat z klasą, którego druga, po debiutanckiej, dość obficie już poznana w Europie książka „Dziennik zdrady” była książką ujmijmy to – bardzo piękną i zwyczajnie dobrą. Wyróżniającą się. Obecna książka „Nienawiść, to połowa zemsty” jest już książką bardzo dobrą (używając terminologii szkolnej, jeszcze nie celującą, na celującą przyjdzie czas po 50tce). Jest powieścią zdecydowanie lepszą i dojrzałą. Ten postęp jest ważny i znamienity. Ewidentny. Pisarz rozwinął skrzydła. I to jak. To znakomity, jak się okazuje, twórca, którego horyzonty są bardzo gęste, pełne, bogate, różnorodne i hojne w literacki potencjał. Wróżę mu zaszczytną przyszłość... Choć sądzę, że gdyby Parlament Europejski przeczytał sobie oto dziś „Nienawiść...” ów autor tej nagrody by nie dostał. Może to i perwersja odautorska, który w najlepszy z możliwych sposobów odplaca się hipokrytą.

Co zostawia po sobie Emilios Salomou „Nienawiścią...”? Zostawia nam ostrzeżenie. Sygnał ostrzegawczy. Przestrożę. Głęboko wewnętrzną analizę stanu ducha jednostki wobec świata zepsutego nowoczesnością, cybernetyką, nowym wymiarem rzeczywistości. Do tego wszystko w atmosferze greckiej (ale nie tylko) klęski, upadłości, bankructwa wręcz i końca końców. Zadłużamy się bowiem nie tylko materialnie. Zaciągamy też mroczny, wstydlivy i zdeformowany moralnie dług duchowy wobec przyszłych pokoleń jaki to wspaniały świat im zostawiamy... Sami trzymamy „rękę w nocniku”, a tych co po nas uczymy i tresujemy jak w tym nocniku świetnie pływać, jak się dostosować i zaadoptować i jak pokornie ulegać tym naszym, pożałujcie Boże, osiągnięciom.

A po nas choćby i potop. Salomou odwróceniem ról określa ten Potop. On już nadciąga, czujemy go podskórnym, podświadomym, wewnętrznym. Czujemy się jak zbójcy (ci dawni, ale i ci współcześni), jak zbiry, najmowane pokątnie do nie swoich ról, ale do ról „społecznie potrzebnych” i daremnie wciągających, stałych, trybów w maszynie cywilizacji... Cywilizacji śmierci, choć to zabrzmiało znów banalnie. Ta śmierć jest tu fantomem. Ułudą dziania się realnego bytu. Ta śmierć, ta krew, odcięte głowy... pachną tu groteską, choć wydarzają się realnie. Kara i zbrodnia. Patchwork postmodernistyczny. Za co kara? Za postęp? A zbrodnia? Czy komuś potrzebna, czy zbędny balast obciążający i tak wyprane już z wątpliwości sumienie? Jakie to na czasie...

Ile jest jeszcze nas w nas? Dokąd zmierzamy? Z kim, po co, dlaczego? Nikt już nie pyta. W ziemskim lunaparku mamy się zapracować, a potem bawić, niewiele myśląc, a wszystko tylko w celach jak największej konsumpcji. To już nie ta bajka opowiedziana nam przez Salomou. To już smutne myśli, z którymi nas zostawił. Choć ta książka jest potężna. Potężniejsza niż te myśli. Jakby mimochodem. Jakby w tle, w cieniu jest ogromna fascynacja człowiekiem – jego miłością, uczuciami, emocjami, wnętrzem, jego duchem i jego abstrakcyjnymi formami egzystencji. Odwiecznością natury i jej praw. Emilios Salomou kocha ludzi. To się czuje na każdym kroku. Nawet ich brudy pokazuje biorąc ich w obronę... To bardzo ważna cecha jego tekstów... one przywołują nadzieję. Nakazują ją niejako. Kierują nas w jej nurt i atmosferę.

Emilios Salomou w „Nienawiść, to połowa zemsty” przekroczył Rubikon spraw najważniejszych. Scalił nasze wczoraj z naszym jutrem i ukazał nam gdzie jesteśmy i co najważniejsze przypomniał nam, że Ziemia, to planeta ludzi. Nikt na niej nie jest samotną wyspą. Znaczymy na niej tyle ile mamy siebie nawzajem... i ile dajemy sobie nawzajem. Taka prosta recepta... na szczęście wbrew karom i zbrodniom.

Emilios Salomou *Dziennik zdrady*. Wydawnictwo Książkowe Klimaty, seria Greckie Klimaty, Wrocław 2015. Stron 320. ISBN: 978-83-64887-17-8
– tłumaczenie i przekład: Ewa T. Szyler

Emilios Salomou *Nienawiść, to połowa zemsty*. Wydawnictwo Książkowe Klimaty, seria Greckie Klimaty, Wrocław 2018. Stron 652. ISBN: 9788365595812
– tłumaczenie i przekład: Ewa T. Szyler i Beata Żółkiewicz-Siakantaris

Emilios Solomou (ur. 1971)

Cypryjski pisarz, dziennikarz i nauczyciel urodzony w Nikozji. Studiował na Uniwersytecie Ateńskim. Pracował jako dziennikarz, obecnie jest nauczycielem języka greckiego i historii. Współpracował z literackim magazynem "Anef" i Stowarzyszeniem Cypryjskich Pisarzy. Za swój prozatorski debiut *An Axe in Your Hands* (2007) otrzymał literacką nagrodę Cypru, zaś jego druga powieść *Dziennik zdrady* (Ημερολόγιο μιας απιστίας, 2012) został uhonorowany Europejską Nagrodą Literacką. Jego prace tłumaczono do tej pory na język angielski i bułgarski.

Ewa T. Szyler

Tłumaczka z języków angielskiego i nowogreckiego, dziennikarka, publicystka. Absolwentka Politechniki Warszawskiej i Uniwersytetu Warszawskiego. Przetłumaczyła na polski ponad trzydzieści książek beletrystycznych i popularnonaukowych. Z nowogreckiego tłumaczyła między innymi utwory Nikosa Kazantzakisa, Kostasa Tachtsisa, Mimisa Androulakisa. Jej dorobek obejmuje też teksty polskie do ponad dwustu filmów dokumentalnych oraz fabularnych. Wieloletnia członkini i prezeska Towarzystwa Przyjaciół Grecji. Stypendystka Fundacji im. Aleksandra S. Onassisa w Atenach. Mieszka w Warszawie.



HANNA WIETRZNY

MOJE DORASTANIE
(ciąg dalszy)



28.12.1953: W oba święta rano jeździłam na łyżwach. Pierwsze święto wieczorem spędziłam na kolacji u wujostwa Emilów. Ewa taka cicha, nic nie mówi, oczy ma wielkie, czarne jak Zbyszek, nosi grube szkła (mówią, że po Danusi jest strasznym krótkowidzem). I smutna, smutna. Zaczęłam ją łaskotać, a ona w płacz. Nie mogłam jej uspokoić. Jest o pięć lat młodsza. Ma teraz macochę. Trochę do Danusi podobną. Ponoć będzie miała przyrodną siostrę, albo brata. Zazdroszczę jej. Może mama z panem Jasiem będą mieli dzieci, jakby się pobrali? Chciałabym mieć brata, ale starszego. O! Już pukanie do łazienki...

Później:

Nie ma spokoju! Jutro napalę pod kożą w pokoiku Romka. Wczoraj wrócił do Bytomia do swoich. Do tej Dory pewnie. Jego panna. W pokoiku będę miała spokój! A kalendarz schowałam pod pudła, żeby nikt nosa nie wsadził. Mam zimowe wakacje w szkole, więc pojutrze jadę pociągiem do Wisły ze swoją szkołą. Do tego schroniska na Stecówce. To jest na górze między Wisłą, a Ustroniem. Wezmę tylko zeszyt do zapisywania, jeśli będzie coś ciekawego. Plecak, narty i kijki. Pantofle muszę spakować i ręcznik duży, no i piżamę. Honorcia pożyczyła mi sweter – piękny. Z wełny sobie wydzierała sama, bo ich szkoła dostała przydział. B ł ę k i t n y! W sklepie nie kupisz. Na Sylwestra go ubiorę. Od babci pożyczyłam jej brązowy pulower pod kurtkę narciarską, którą dostałam w paczce. Do paczki taty moja kuzynka Kamila, co mieszka w Chicago dodała fajną, prawie czarną kurtkę z kapuzą. A tata szalik, rękawiczki i czapkę z pomponem – wzór norweski z wełny szafirowo, żółto, czerwonej. Śliczny komplet. Śliczny, śliczny! Muszę dobrze zapakować proszek do zębów, żeby się w plecaku nie rozsypał na rzeczy. Ciekawe, czym nas tam karmić mogą? Mówią, że napadało dużo śniegu. Babcia prosi, żebym aparatu po dziadku nie zgubiła. No oczywiście, bardzo będę uważać – trzymać na szyi, jak to robią inni. Chciałabym, żeby grzało słońce, żebym się opaliła. Oczywiście mama zmusiła mnie do wzięcia dwóch par ciepłych majtałów. Szerokie, że dwie pupy by się zmieściły. Teraz ledwo zapinam narciarskie spodnie od cioci Wisi. Bagatela! Przedwojenne. Ciemno brązowe, ładnie się komponują z babci swetrem. Pod niego ubiorę flanelową, męską koszulę od Zbyszka (w kratkę brązową na białym tle). O jej! Wszystko od kogoś... A na Warszawskiej widziałam w prywatnym sklepie, śliczny, żółty sweter z wełny. Ale cena! Prawie mamina pensja. Aha! Dostałam stypendium częściowe. 300 złotych. Jak wrócę, to w lutym kupię mamie kapelusz. Widziałam koło kina Rialto, na ulicy Kościuszki. Prywatna modniarka. Kapelusz Greta Garbo – taki napis

obok niego... Greta Garbo! Mówią, że mama ją przypomina. Może. Ale mama jest najpiękniejsza na świecie! Zwłaszcza w szlafroczku kwiecistym z falbankami, który dostała od taty.

31.12.1953: Przyjechaliśmy wczoraj. Od razu po południu ścigaliśmy się na nartach, bo dookoła schroniska (wielkie z drewna bele) jest zupełnie płasko. Ale z dworca, musieliśmy na tych nartach iść. Szliśmy i szliśmy, potem pod górę (chyba z dwie godziny) podchodziliśmy i wprost na późny obiad. Taki góralski kapuśniak ze słoninką i ziemniaczkami, a do tego chleb. Pycha! Herbata i kołacz z kruszonką i jagodami na deser. Tylko herbata mi nie smakowała – ziołowa. Wieczorem jeszcze dali nam chleb ze smalcem, ze skwarkami (i z jabłkami podobno). Pycha, pycha! Gospodyni po góralsku – śląsku godo. Mają synów w naszym wieku. Sienniki ze słomą! Kłuje przez prześcieradło. Mieszkam z Krysią S. i Baską M. – dyrektora córką. Nic powiedzieć nie można.

Jest Sylwester. Mają tu gości oprócz nas, w domu obok. Śnieg nie pada, a niebo gwiazdzone – księżyc w czapie, bo mróz, że hej! Przyszła kapela góralsko i bedom rzempolić po góralsku. A Tomasz Marzecki z trzeciej klasy coś się koło mnie kręci, ciągle zagaduje... Precz, precz! Potem się zacznie wiadomo co... Gospodyni synuś – (ach jaki pikny blondas, wysoki hań pod niebo) już się koło Kryśki wierci.

3.1.191954: Rocznicą śmierci mojej siostry Mieci. Miałaby 27 lat, to ja już chyba byłabym ciocią. W Sylwestra i w Nowy Rok, nic nie spalisz. Tańce po góralsku zmuszały do radości. Chłopcy chołupce się nauczyli, a my dreptanego. W Nowy Rok od rana bitwa na śnieżki na apelu i dalej w tany. Po dwunastej narty na nogi. Zjeżdżaliśmy ze Stecówki i pod górę wchodząc, zjazd w dół, aż do obiadu o trzeciej. Ale obiad! Kotlet schabowy z kapustą zasmażaną, barszcz z ziemniakami i oczywiście ciasta góralskie z serem i kruszonką. A na śniadanie kakao z chlebem góralskim – wielkie kromiska z masłem i dali po plasterku szynki. Pycha! Wszystko mi smakowało. Dziś od rana zdjęcia robiliśmy, bo piękne słońce wstało po śniadaniu (kawa zbożowa z mlekiem kozim i ten pyszny chleb ze smalcem albo masłem i takie małe bułeczki słodkie), więc narty na nogi, aparaty na szyję i robimy teraz zdjęcia krzewów, drzew, szczytów gór i panoramę... Sobie nawzajem też. Boże! Nie wiedziałam, że świat taki piękny w górach. Już nie tęsknię za Krakowem i geologią. Marzecki zaglądał mi przez ramię co też piszę... Podsunęłam mu pod nos i mówię: pisz też, zapisuj każdą chwilę, bo ona nigdy się nie powtórzy i pokazałam mu język. Poszedł sobie. „Filozofka” powiedział... Głupek. Muszę przerwać, bo naszło wiary i przyszli z basetlą. Śpiewają po góralsku i znowu tańce. Jo tys byda tańcowała. O la boga! Warzecki skacze pod sufit. Fajnie tańczy, fajnie. Ale mu tego nie powim. Nie jest brzycki, ale chuderlawy taki... Ech! Co mi tam! Zapomniałam napisać, że mi Krysia przed Sylwestrem warkocze obcięła. Co w domu powiedzą? Włosy kręcę na papiloty z kawałków gazety, bo są proste jak drut.

4.1.1954: Dziś od rana duży i śnieg pada. Chłopcy mówią, że jak tak dalej to nas zasypie i przez komin będziemy zjeżdżać z dachu! A kto przywiezie zaopatrzenie? Saniami nie wjedzie, bo konie się w śniegu zakopią!... Przypomniałam sobie, że za oknem mam zamrożony kawał tortu z fasoli, co mamusia na święta upiekła. Masą kawową przelożyła. Zgniótł się cały, ale na wierzchu miał prawdziwe orzechy, więc się zakopały w fa-

solowym cieście. Jak lody. Skosztowałam, ale zostawię ten tort na później, bo kto wie czy dowiozą jedzenie. Nie wiadomo co będzie, jak nie przestanie padać. Mąki ponoć mają w duckę, więc chleb upieką. A jak jest chleb i ten ich pyszny smalec, to wszystko furda – burda. Wiem, że mają jeszcze kiszzone ogóreczki i kapuchę. Nie martwię się, bo z ziemniaków, ogórków, cebuli można zrobić sałatkę. A jak jeszcze fasoli dodać, to się człowiek naje, że hej!

5.1.1954: Cały dzień duło i padało. Graliśmy w skata i w kierki. Śpiewaliśmy, a kapela góralsko, jak po obiedzie położyła się w sieni pokotem, to wstali dziś skoro świt i zrobili nam pobudkę, po pokojach chodząc. Nie ubrałam się, poszłam w piżamie na śniadanie. Bo przez te pięć dni tak przytyłam, że guzik od spodni odleciał, a w kroku pękły, jak ukłękłam. Nici od gospodyni wzięłam. Igły z dużym oczkiem nie znalazła, ale udało się nitkę przewlec. Wystarczyło jej tylko na zeszytanie kroku. Zicherką (po naszymu agraftką) w pasie się zczepiam. Trzeba tłuszcz spalić na nartach! Po drugim śniadaniu (moim pierwszym) poszliśmy na narty i fotografować. Ale pięknie drzewa w śniegu stojące wyglądają. Są nie do zapomnienia. Tylko słońca brak. Nasza chałupa od wschodu nie widoczna – tak śnieg zasypał! Ale jak słońce zagrzeje to się pewnie stopi. A syn gospodarzy zarzucił linę, zaczął o gont i wciągnął się na dach, żeby śnieg zrzucić. Drugi mu paczkę wrzucił, to zjechał w niej z dachu. Na dole zakopując się głową. Nogi stały nad nim. Musieliśmy go na nie postawić. Puch leży. I się zaczęły wygłupy. Potem obiad, potem drzemka, potem domino, potem idziemy spać po barszczu z ziemniakami i chlebem. Postanowiłam nie jeść z ziemniakami (tutaj mówią kartofle). No tak. Dlatego mój brzuch to kartofelbauch – czyli kartoflane brzucho. Jeszcze tylko trzy dni tego szczęśliwego czasu...

6.1.1954: O matko! Saniami przywieźli mamę z Honorcią. Na zapasach! Ale tylko na parę godzin przyjechały, my przecież wyjeżdżamy ósmego. A one zrobiły sobie wycieczkę, bo mają też wolne. Słońce od rana, więc Maśka na tych saniach zaraz się opaliła. Ma cerę śniadą, nie taką białą jak ja. Zastanawiam się czy to inspekcja? Zaraz od gaździny kupiła kamionkę ze smalcem dla babci i bochen tego góralskiego chleba. Zrobiłam im kupę zdjęć. Moja mama położyła się na śniegu i zrobiła orla, tak jak robiła to dzieckiem, gdy mieszkali na Kresach. Na tym śniegu szurała rękami. Odbiły się jakby skrzydła. A nad głową pięściami wytłukła koronę. I jest orzeł z koroną! Ja to widzę, a mama mruga do mnie: lepiej to zatuszuj Haniu - woła. Zatuszuj koronę! Ale po co? Też mi ! Też. Aha. Przywiozła mi dwa filmy do Leici – szkoła dała. Wspaniale, bo mi zostało tylko pięć klatek. Mama z Honorcią wyjechały po obiedzie, już było szarawo. Napisałam sobie wierszyk:

Mamciu mamciu

furda burda

chłopca nie mam

bo wciąż drzemam

A Marzecki przy dyrektorównie się teraz kręci. Słusznie!

7.1.1954: Szkoda, że nie zostały, bo znów wstało przepiękne słońce. Jest lekki mrozik. A przed chwilą mama zatelefonowała, że zostały na dwa dni w Wiśle u znajomego Ho-

norci. Jakiś fryzjer, co u nich w szkole uczy. Wrócą z nami pociągiem do S. Idziemy pojeździć i sfotografować to piękno. Marzecki przyszedł do pokoju wynieść Molinównę narty. Moich nie wziął, ale Krysi też nie... Szkoda, że na Stecówce nie ma kolejki linowej. Jest w Zakopanym na Kasprowym. Zjeżdżać pięć minut i podchodzić pod górę godzinę, to naprawdę głupie! Wolę już po płaskim biegać. Nauczyłam się jeździć na nartach tak, jak się na łyżwach jeździ. Strasznie tak lubię biegać. Taki ślizg na boki...

Miałam dziś przygodę. Chciałam choinki omijać slalomem, a za którąś, jak nie wjadę na muldę! Tak mnie wyrzuciło do góry! Spadłam na dwie narty, ale o mało się nie wywaliłam. Hamowałam pupą. Teraz boli mnie kość ogonowa. Wariackie pomysły tak się kończą. Ale to fraszka, bo Krystyna chodzi z guzem na czole. Nabiła sobie na klamce w ubikacji na górze. Tam jakoś mało miejsca. Wstała i wyróżnęła czołem w klamkę, tak blisko były drzwi. Przykładamy jej kule śniegowe na zmianę z Bašką. Jutro wyjeżdżamy.

Jeździłam do zmierrchu, aż gwiazdy i księżyc wyszedł. Postanowiłam nie jeść zupy tylko drugie i bez chleba i bez deseru. Basta z tym jedzeniem!

Cieężko będzie wrócić do szkoły, do nauki. Chciałabym, jeśli mama puści mnie, wyjeździć na narty raniutko, w niedzielę. Krysia mówi, że jest fajna trasa. Ona z ojcem jeździ: pociągiem do Bielska, tam tramwajem do Mikuszowic, kolejką na Szyndzielnię, a z niej zjazd na dół i podchodząc do góry i znów zjeżdżając na dół, można tak kilka razy. Za ostatnim razem (wchodząc na Klimczok) je się obiad w schronisku i stamtąd zjazd do Bystrej, do pociągu. Będę się z nimi umawiać. Z nimi mnie mama chyba puści?...

10.1.1954: Boże! Ale smutno, nudno i na ulicach brzydko. Rozdeptany śnieg, oddychać nie ma czym. Jednak co góry, to góry. Jutro zaczyna się szkoła. Najbardziej ucieszyła się mną babcia. Tofusia też – a jednak! Babcia jest u nas do dzisiaj do wieczora. Czekala na mnie. Dwa dni spędziłyśmy razem. Zbyszek znów przyjechał do wujostwa. Matula taka opalona po tej Wiśle i pełna optymizmu. Wracając ze szkoły kupię jej kapelusz. Nic na Stecówce nie wydałam.

11.1.1954: W domu koleżanki Honorci – ma imieniny, hucznie obchodzi. Od rana jest u nas jej krewna – Marysia. Jest półsierotą. Będzie chodzić do ich szkoły. A ja nic Honorci nie kupiłam. Wydałam wszystko na mamy kapelusz. Wygląda w nim bosko. Honorci dam książkę „Profesor Przedpotopowicz”. Znalazłam ją kiedyś w pociągu do Krakowa, ktoś zapomniał. Bardzo stare wydanie – jeszcze z 1879 roku. Z carskim pozwoleniem dla Wolfa – wydawcy, a Honorcia zbiera stare wydania. Niedługo skończę piętnaście lat. Wyrosłam na nartach aż trzy centymetry. Ciekawe, czy będę wysoka jak tata, bo matulę przerosłam, nie mówiąc o babci... Ale nie chcę urosnąć jak dziadek, bo ciężko będzie o męża. Miał przecież prawie metr dziewięćdziesiąt.

Dostałam od profesor Szwej piątkę za opowiadanie o wybranej postaci z „Chłopów” Rejmonta. Mówiłam o Hance, bo to moja imienniczka. I bardzo mi tej postaci żal. Mimo przeciwności jest silną kobietą. Walczy o męża, o dzieci – pomaga biedakom. Harda jak ja...

6.2.1954: No i skończyłam piętnaście, a zaczęłam szesnasty rok. Wielki jubel urządzi mi u siebie ciocia Zosia. Zaprosiłam wszystkie psiapsiółki, Romka z dziewczyną, no i takiego chłopaka z pierwszego roku z inżynierii. Andrzej Grabowski, a poznałam go na

korytarzu, jak mi się książki rozsypały. Przyprowadzi kolegę do pary. Basia pogoniła Marzeckiego, więc ich nie będzie, ale czekam na Magdę z Michałem. Na ich ślubie nie byliśmy, bo wszystko kręci się wokół choroby babci. No i Zbyszek z nową żoną przyjechał na święta. A Magda... w ciąży... Ale maturę będzie zdawać, bo urodzi wcześniej.

Dwa torty – sernik olbrzymi od cioci i prawdziwy, orzechowy od mamy dostałam. Michę sałatki ciocia zrobiła, a Wisia przytargała szynkę. Lepiej mam, niż na świętach było. Od babuni słodki liścik. Jak ona ślicznie równo pisze. To się nazywa kaligrafia. Teraz nie uczą. Ja skrobię jak kura pazurem. No, tatuś przysłał, jak wiadomo komplet czapkowo - rękawiczkowo - szalikowy. Prezent na święta i urodziny. Honorcia na zawsze dała mi ten śliczny niebieski sweter z golfem, który pożyczyła na Stecówkę.

7.2.1954: Balowaliśmy wczoraj do północy – wiadomo sobota. Jakiś cieńkusz przywiozła Krysia. Pełno śmiesznych prezentów dostałam i książki. Ten Andrzej to bardzo miły chłopak. W Krynicy ma mamę i brata. Ze Lwowa są. Jakiś parterowy domek niedaleko Patrii mają. Mówi, że mnie kiedyś w Krynicy widział. Pewnie wtedy w zimie. Aha – na Górze Parkowej. No tak. Z mamą tam często kolejką jeździliśmy, by się opalić.

Muszę odrobić matkę, polski, biologię i pouczyć się o wywoływaczach i utrwalaczach. Jutro cztery lekcje retuszu – nie lubię – oczy bołą.

25.4.1954: Nic nie pisałam, bo matula dostała rwy kulszowej – cierpi okropnie. Przychodzi ślepy masażysta. Ciocia pożyczyła gdzieś lampę kwarcową. Muszę gotować, sprzątać i chodzić z psem. Zosia P. na jakiś kurs poszła – cały dom na mojej głowie: sklepy, kolejki, palenie w piecach, pod kuchnią i w boilerze w sobotę. Dobrze, że już wiosna. Wczoraj grabiłam w ogródku od strony ciotki pokoju i zasadziłam (posypałam jakieś kwiatki). Bez już ma zawiązki. Niedługo zakwitnie. Zdobyłam dla babci pomarańcze i stałam u Wedla po taką krajankę w czekoladzie, co jej strasznie smakuje (mamusi też). Babcia udaje, że pomarańczy nie chce, że nie lubi. Akurat! A ja bioram i daję jej do buzi. Krzyczy – nie, nie, a ja wiem, że z przyjemnością przełyka, bo potem łatwiej oddycha. Mnie tylko ślinka cieknie przez zapach, ale nie rozumiem dlaczego takie kolejki po nie. Wolę nasze jabłka – zwłaszcza papierówki i antonówki. A z innych owoców oczywiście truskawki i agrest. Uwielbiam jeszcze nie dojrzały, kwaśny. Z jabłek zostawiam tylko ten koniuszek – szypułkę. Zjadam ze wszystkim. Mama nawiązała znów kontakt z panią Gromską, z Rzeszowa. Namawia mamę, żeby się spotkały w Kołobrzegu, gdzie jej znajomy jest naczelnikiem stacji. Tam u niego można by mieszkać. Lubiliśmy się z jej synem – Jackiem, jako dzieci. On młodszy o rok. Teraz ponoć wyrósł i zmężniał. Trenuje boks. Chyba w lipcu pojedziemy, jeśli z babcią się nie pogorszy. W sierpniu babcia będzie z nami. Emilowie do syna – na Wysoką Łąkę pojadą. A Honorcia z ciocią Wisią do Ustronia. Podróż do Kołobrzegu mnie przeraża. Przecież mama z tą rwą, czy korzonkami na buforach nie pojedzie. Na stopniach też nie. Pociesza, że zrobimy przerwę w podróży w Poznaniu. Chce odwiedzić dziadka siostrę z rodziną. Poznam naszych dobroczyńców – Fedyków. Agronom, społecznik – gdy moi stracili wszystko w 1920 roku „po Ukrainie”, załatwił dziadkowi szkołę, zaraz koło Wrześni. Teraz mieszkają w Poznaniu. Och! Tofusia ma cieczkę. Można zwariować. Lata od drzwi do drzwi drapie, skomle i sprint przez cały długi hol. Jak z nią wyjść, strasznie ciągnie. I nie daj Boże, żeby szedł jakiś pies...

5.5.1954: Nie szłam w pochodzie pierwszomajowym. Szkoła szła. A Pałac Młodzieży w białych kostiumach kąpielowych i czepkach. Zimno jak nie wiem co, a oni każą się wygłupiać. Mama też nie była, ale ma lekarskie zwolnienie. Choruje od świąt Wielkanocnych, bo się uparła i wymyśla szyby. Ja pastowałam podłogi i myłam, ale mama dorwała się do pieczenia. No i wszystko wróciło. Leczenie na nic. Ciocia gdzieś indyka zamówiła. Niewielki, ale pyszny. Dla babci to wszystko! Umiera, a biedactwo na utrzymaniu córek. Nie ma emerytury. Bo emeryturę po wojnie zabrali. A co robią te stare kobiety, nie mające dzieci? Im też zabrano emerytury. Co robią? Okropność, okropność!! Ciocia Wisia jako dyrektor szkoły, musiała maszerować. Sto kilogramów wagi, przy wzroście metr pięćdziesiąt pięć! Nogi kulfony, a ona poszła. Jak można tak o siebie nie dbać! Pani Jadzia Siwiec – mamusi była uczennica, a teraz ucząca w mamy szkole i przyjaciółka domu, znów pożyczyła nam pieniądze. Kochana pani Jadzia. Pojedziemy do Kołobrzegu!...

21.5.1954: Prawdopodobnie tylko trzy tróje na świadectwie mi grożą. Nie tylko, ale aż! Brak czasu na naukę, jak stałam się gospodynią domową: kucharką, sprzątaczką i zaopatrzniowcem. Trudno – świetnie! Żeby tylko matulę przestało boleć! Co za choróbsko okropne! Babcia, mamusia, Tofusia... Dość chorób! Dość! Jeszcze miesiąc i wakacje. Może uda się poprawić ocenę z retuszu. No, nie lubię – nie lubię!

Coś się dzieje, bo rozmowy w domu cichną, jak wchodzę. Czy coś o mnie mówią, czy tak w ogóle? A ja dostałam paczkę od Kamili. Cieszę się, bo w niej halka z falbanek i sukienka różowa – prześliczna. Tylko do takiej sukni nie pasują tenisówki, ale butów w paczce nie było... Honorcia mówi, że ma bon na buty, to mi coś kupi. Przecież o różowe będzie trudno – może nie być, a każde inne: czarne, białe, to nie ma sensu tracić taki bon. Przyda się na buty zimowe. Może odpowiednie buty przyjdą w następnej paczce. Napisałam podziękowanie, ale dodałam, że stosownych butów nie mam... Do takiej krynolinki – jak mówi mama. Andrzej Grabowski u m ó w i ł s i ę z Krystyną. No oczywiście! Widziałam na moich urodzinach, że ciągle na nią patrzył, a i parę razy tańczył... Dobrze! Lubię go, bo miły, spokojny, ale ja gustuję w blondynach z niebieskimi oczami – i już! Życzę im miłości dożgonnej. Nie spotkam już nigdy Saszy od Minina. I Gustawa Gabora i Ludwika Meinchaima. Nic nie piszą. Może dlatego, że matura? A może, że nie przyszedł pod kino – dostałam tyfusu! Pomyślał, że nie chcę się spotykać... Marzecki znów z Bašką się trzyma. Tylko ja zakochać się nie mam w kim. Gdyby Sasza znów przyjechał... Myślę o nim i tyle! On nie tylko mi się podobał, ale serce bardzo mocno mi biło – czułam jak wali, gdy on patrzył na mnie! To pewnie pierwsza miłość... Serce! Dlaczego wybrało żołnierza radzieckiego? Nic nigdy mamie nie powiedziałam – wstyd mi czasem, skoro dziadka we Lwowie aresztowali radzieccy żołnierze. Jestem głupia! Głupie serce! Pusta głowa!

1.6.1954: A jednak... coś się stało i po dwóch lekcjach retuszu dostałam bd! To może na świadectwie da mi dobrze? Mamusi się poprawiło. Ręce ślepego masażysty czynią cuda. Tylko babcia jakoś przycichła. Siedzi zamyślona. Tak ją okropnie pilnuje Tofusia, że to aż dziwne. Umarł nagle dozorca. Biedny. Upadł i już nie żył. Co zrobi żona? Nigdy ponoć nie pracowała. Ciocia mówi, że dadzą jej dziadowską po nim rentę... Więc przyjęła jęgo

syna do szkoły jako mechanika od maszyn. I jeszcze cała kamienica zebrała pieniądze dla nich. Ewa Albrecht – chodziłam z nią do podstawówki w szkole Konopnickiej (mieszka parę kamienic wcześniej) spotyka się od dawna z Fredkiem Molisakiem, co z Francji wrócił w pięćdziesiątym. Ojciec jest górnikiem. Lubię Ewę. Nieraz na placu Andrzeja siedzieliśmy na ławkach ucząc się. Tutaj zaraz jest więzienie ogromne i w tym miejscu, zastrzelił ktoś mężczyznę (podobno prokuratora). Może o jego śmierci szeptano w domu? Tajemnicza śmierć – mówi Ewa. Ona go ponoć widziała. To zaraz przy kościele Garnizonowym. Zabić przy kościele człowieka! Strach siedzieć tutaj!

Poznałam Janinę Martini – uczy w mamy szkole matematykę. Jest z Krakowa. Odwiedzała nas czasem. Zawsze głaszcze mnie po policzkach i tak śmiesznie mówiąc, zarzuca łokciem. A rękami macha z dłońmi zwiniętymi w pięść. Dzięki temu, że wytłumaczyła jak rozwiązywać, a nawet układać równania z niewiadomymi, pokochałam rozwiązywanie tych zadań.

22.06.1954: Rozdano świadectwa. O dziwo, nie wiem jak to się stało, mam tylko... trzy dobre. Tróje zniknęły i... kazali dać zdjęcie na tablicę przodowników nauki. Wisieć na tablicy trochę głupio! Dałam zdjęcie, co robiłam sobie w domu na lustrzance niemieckiej. Sama powiększyłam, wywołałam i utrwaliłam. Na lustrze szafy wysuszyłam. Mam na nim bardzo krótkie włosy – niedługo po obcięciu warkoczy. Wyglądam jak chłopak. A włosy już urosły, więc może nikt nie pozna. Ze świadectwa najbardziej ucieszyła się babcia. Wyściskała mnie i dała mi w rękę Matkę Boską (podobno przywiezioną dla babci przez ciocię Zosię) znaną po pochówku w kieszeni dziadka spodni. Popłakałam się. Pięcioro wnuków i prawnuczki, a babcia dała tę relikwię mnie... Babusia moja kochana! Pamiątka wielka dla mnie i dla mamy, przede wszystkim. Jej ukochany tatuś miał ją w ostatniej godzinie przy sobie.

27.6.1954: Przyjechał wujek Władek z Przemyśla – brat ojca, ale zupełnie do taty nie podobny. Wysoki, potężny blondas z niebieskimi oczami, okrągły na twarzy, podobny do babci Eugenii. Przyjechał, bo ponoć tata poskarżył się w liście do niego, że... matula chce rozwodu... Ale przewrotnik! Mama! Jeszcze rodzinę wciąga w atmosferkę! Wszystko słyszałam w służbowce Romka, bo drzwi nie zamknęli od pokoju i ja też. Ciekawe co z tego wyniknie! W Przemyślu mieszkają też kuzyni, Marysia i Janusz, starsi ode mnie, bo już po studiach. Nie widziałam ich, to znaczy nie pamiętam z 1939 roku, kiedy mama ze mną na plecach przeszła przez Rusko – Polską (Niemiecką) granicę, w ucieczce ze Lwowa, a raczej już ze Świrza. Rodzina ojca mieszkała tam od 1905 roku. Po Plebiscycie na Śląsku tata wyruszył, by uczyć młodzież. Wuj Władek z żoną został w Przemyślu, a po śmierci dziadka Wietrznego w 1935 roku babcię do Krakowa zabrała córka Matylda z mężem. Druga siostra ojca, ciotka Stefa z mężem mieszkali przed wojną we Lwowie. Wuj poszedł na wojnę, a oni pod koniec 1939 roku uciekli z Bolszewii do nas do Rzeszowa. Babcia Maria z wujkiem Józkim, z jego żoną i Moniką ze Śląska też uciekli do nas pod koniec sierpnia. Tak jak dziadek Stanisław z ciotką Zosią do Lwowa, bo nazwisko Łukaszewicz, było na Śląsku spalone. To opowiedziała mi ciocia Stefa. Że został ostrzeżony przez Ślązaka górnika, że jest na niemieckiej liście obywateli polskich do rozstrzelania. Zresztą Niemcy w 1942 roku szukali dziadka i wuja Emila u nas w Rzeszowie...

2.7.1954: Postanowione. Z czternastego na piętnasty lipca jedziemy do Kołobrzegu. Zobaczą morze. Na razie maluję podłogi, już po raz drugi, by wyręczyć mamę. Babcia na ten czas u cioci Zosi. Smród w domu okropny. U babci od razu pomalowałam i na jej werandce, gdzie kosze stoją, a na nich palma i inne donice. Okieneczka pootwierałam i drzwi od werandy i okna w pokoju. Wszystko otwarte na oścież, a paść można trupem. Idzie mi szybko to malowanie. Czerwona podłoga. Mówię mamie, że mamy flagę komunistyczną na podłodze! Nie mogę napisać co o tym myślę... Mama patrzy na mnie przerażona. No cóż, mama bardziej się boi niż ja.

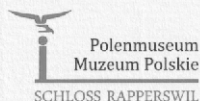
7.7.1954: Odnowiłam fornitem, gdzieś przez mamę zdobytym, jadalnię starą, co ją nam Ślężacy przechowali. Jestem bardzo dumna z siebie. Pęknięcia się zalały. Tylko marmurów nie można naprawić. Kładli gorące garnki na nich i marmury popękały.

17.7.1954: Od dwóch dni jesteśmy w Kołobrzegu. Pierwszy dzień cały przespaliśmy. I chociaż ciocia Wisia załatwiła nam (nie wiadomo jak) cały przedział, to mama, jak to mama, patrzeć nie mogła, że starsze panie stoją w korytarzu i wpuściła je do przedziału. Miałśmy spać na ławkach... Siedzenie to bardzo niezdrowe dla korzonków, ale mama już taka jest. Myśli o sobie na końcu. Pół wagonu zajmowały dziewczyny jadące na obóz też do Kołobrzegu. Może się tak udało załatwić ten przedział – przez kogoś z ich szkoły, kogo ciotka zna.

Mieszkamy z panią Gromską i jej synem Jackiem. Na dworcu u zawiadowcy stacji. Mili ludzie spod Lwowa. Do Polski przyjechali w 1946 roku. Z naszego pokoju wychodzę wprost na dach peronu, który ocalał. A chodzimy wśród zburzonych domów, a raczej willi. Ogrody ocalały i dają owoce. Wszystko bezpańskie. Na plażę (podobno odminowaną) chodzimy wyznaczonym szlakiem, na lewo od wejścia na dworzec. Jest piękna pogoda, parzy słońce i lekki wietrzyk. Dach peronu strasznie się nagrzewa i w naszym pokoju piekarnik. Po dachu gonimy się z Jackiem, gdy nam gorąco. Na plaży od morza wiatr i nie czuje się upału. Tak właśnie wyobrażałam sobie morze. Jest cudnie. Cudowna kołobrzeska plaża. Kołobrzeg to przed wojną niemieckie uzdrowisko. Tutaj Kościuszkowcy w 1945 roku, w morzu zatknęli polski sztandar. Zaślubiny z morzem, tak to nazwali w kronice filmowej. Leżymy na piasku, a z lewej, te dziewczyny, co z nami jechały; śpią w namiotach w parku, który biegnie nad morzem, zaraz nad plażą. A koło nich obóz chłopców (jak się okazało z Bielską). Ich wychowawca nie wiele ode mnie starszy, ale jak mama mówi bardzo przystojny, czarny. Pięknie zbudowany mężczyzna dodaje mama i jeszcze, że jeszcze nigdy tak pięknie zbudowanego nie widziała. To tata nie jest zgrabny? Widzę, że on jest tak umięśniony, jak ten Włoch z filmu „Nie ma pokoju pod oliwkami”. Niedawno widziałam go w kinie. Jakoś tak się stało, że dziewczyny i chłopaki zaczęli grać w dwa ognie, więc dołączyłam do dziewcząt i długo nie dałam się „skuć”. Lubię tę grę. Kąpałam się zaraz przy brzegu. Woda lodowata i trudno pływać w poprzek fal...

cdn.





Rapperswil, 21 września 2020

Krakowski Zarząd Związku Literatów Polskich

Szanowni Państwo,

Stefan Żeromski obejmując w roku 1920 funkcję Prezesa Związku Zawodowego Pisarzy Polskich był zamożnym człowiekiem, cenionym pisarzem i uznanym przez społeczeństwo autorytetem moralnym.

Jakże inaczej wyglądała jego sytuacja materialna i społeczna w październiku roku 1892, kiedy przyjechał z Nałęczowa i przyjmował, załatwione dzięki protekcji żony, stanowisko bibliotekarza w Muzeum Polskim w Rapperswilu.

Jako nikomu nieznanemu początkujący literat obarczony rodziną, borykający się z ciężką chorobą płuc i brakiem pieniędzy, podjął się uporządkowania biblioteki i opracowania katalogu oraz bibliografii starych druków.

Do jego obowiązków należało również prowadzenie korespondencji, księgi darów oraz opracowanie projektów ekspozycji sal muzealnych. Zygmunt Wasilewski, kolega szkolny Żeromskiego, również bibliotekarz rapperswilski, utrwalił w swoich wspomnieniach *"Pamiętam żywo Żeromskiego, który od razu wziął się do katalogu, jak wystawał przy szafach w niedostępnym serdaku zakopiańskim, w szaraczkowym ubraniu z nastroszoną czupryną i srogą, czarną brodą. Nie mógł donieść książki do pracowni, żeby się z nią po drodze nie bałamucić - tak go każda interesowała"*.

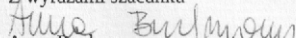
Cztery lata spędzone w Rapperswilu z pewnością wpłynęły na krystalizację umysłowości i poglądów Żeromskiego. Pracując w największej polskiej bibliotece emigracyjnej i w archiwum miał dostęp do źródeł historycznych nieznanych wówczas w rozbiórowej Polsce.

Muzeum było w tych latach centrum polskiej emigracji politycznej. Pracowali tu i spotykali się starsi od młodego bibliotekarza o pokolenie tułacz - powstańcy styczniowi.

Pobliski Zurych był ośrodkiem współczesnej myśli socjalistycznej. Żeromski poznał środowisko polskich studentów i polityków wszystkich politycznych barw. Tu rozpoczęła się jego przyjaźń z Edwardem Abramowskim, w Muzeum poznał Marię Konopnicką, gościł Bolesława Prusa. Doświadczenia tych czterech rapperswilskich odnajdujemy na kartach jego powieści i stały się one jego źródłem inspiracji i kamieniem węgielnym późniejszej sławy.

W setną rocznicę powstania Związku Literatów Polskich przesyłam Państwu z pomieszczeń rapperswilskiego zamku, z pokoju pracy Żeromskiego serdeczne gratulacje wieloletniej pracy osiągnięć. Niech wyrobnikom słowa nadal przyświecają wzorce etyczne bliskie Żeromskiemu, poszanowania człowieczego losu i wiedzy. Niech wiatr od morza i gór niesie jego przesłanie umieszczone jako motto w Ludziach Bezdomych: *„Miłość między ludzi należy siać jak złote zboże, a kłóki nienawiści trzeba wyrwać i deptać nogami. Czuj człowieka oto nauka"*.

Z wyrazami szacunku


Anna Buchmann

Dyrektor Muzeum Polskiego w Rapperswilu

SPIS TREŚCI

Anna Pituch-Noworolska - Rozważania o literaturze	5
---	---

OPOWIADANIA

Andrzej Maria Hrabiec - Tajemnice kamienicy.....	7
Roma Jegor - Dobranocki dla znajomych.....	15
Bronisław Koziński - Bajka o człowieku	20
Paweł Kuzora - Miniatury	29
Dorota Lorenowicz - Szpital	31
Jan M J Masłyk - Tryptyk z perspektywą... ..	35
Danuta Perier-Berska - Wdowie puzzle	36
Maciej Pinkwart - Boska część	38
Anna Pituch-Noworolska - Wulkan	46
Ryszard „Sidor” Sidorkiewicz - Miszczu	51
Alicja Tanew - Szczęście	54

FRAGMENTY POWIEŚCI

Krystyna Alicja Jezierska - Mumie	57
Leszek Konarski - Idiota z konwertorów	59
Joanna Krupińska-Trzebiatowska - Prolog	64
Danuta Sułkowska - Nieznany Element	69

ESEJE, REPORTAŻE

Józef Bratko - Dlaczego piszę?.....	77
Arkadiusz Frania - Reportaż z wyjazdu dwóch prozaików z województwa śląskiego na festiwal literacki w stolicy	83
Irena Kaczmarczyk - O przyszłość Rapperswilu	93
Robert Marcinkowski - Epoka portugaisz	102
Janusz Orlikowski - Spojrzenia na ego	106
Danuta Perier-Berska - Wędrowka w Dolinie Życia	117

RECENZJE

Bolesław Faron - Wyjście z raju. O Nowej Hucie opowieść... ..	121
Ignacy S. Fiut - Globtroter słowa	125
Cielesność kobiecej poezji	127
Irena Kaczmarczyk - Poetycka rezydencja Jerzego Stanisława Fronczka	128
Andrzej Walter - Dziennik nostalgii	131

WSPOMNIENIA

Hanna Wietrzny - Moje dorastanie	141
--	-----



1920 - 2020

100 lat

Związku Literatów Polskich